

Rozdział I

Tytuł oryginału E STATUS CIVILIZATION

Ilustracja na okładce: CHRIS FOSS

Opracowanie graficzne: DARIUSZ CHOJNACKI

Redaktor: MACIEJ BŁASIAK

Redaktor techniczny: JANUSZ FESTUR

Copyright © 1960 by ROBERT SHECKLEY

For the Polish edition

Copyright © by Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

Warszawa 1991

ISBN 83-85079-44-0

Rozdział 1

Powrót do przytomności był procesem powolnym i bolesnym. Miał wrażenie, jakby podróżował przez czas od samego zarania dziejów. Z trudem wynurzał się z głębin gęstego jak smoła snu, z otchłani urojonych początków wszechrzeczy. Uniósł z pierwotnego mułu wypustkę, a tą wypustką był on sam. Stał się amebą, której bezpostaciową powłokę wypełniała jego własna esencja, potem rybą z jego własną, niepowtarzalną indywidualnością. Potem małpą, wyróżniającą się spośród wszystkich innych małp, aż wreszcie stał się człowiekiem.

Jakim człowiekiem? Niczym przez mgłę ujrzał siebie, pozbawionego twarzy, z promiennikiem kurczowo zaciśniętym w prawej ręce i ze zwłokami u stóp. Takim człowiekiem.

Obudził się, przetarł oczy i czekał na dalsze wspomnienia.

Nie było żadnych dalszych wspomnień. Nie pamiętał nawet, jak się nazywa.

Usiadł pospiesznie i spróbował zmusić pamięć, by podała mu choć tę jedną informację. Kiedy mu się to nie udało, rozejrzał się uważnie dokoła, szukając jakiejś wskazówki, która pozwoliłaby mu odkryć własną tożsamość.

Siedział na łóżku w małym, szarym pokoju. Z jednej strony dostrzegł zamknięte drzwi, z drugiej wnękę z sedesem, widocznym spoza'na w pół rozchylnych zasłon. Światło docierało tu z jakiegoś ukrytego źródła, być może emitował je cały sufit. Umeblowanie pokoju stanowiło łóżko, jedno krzesło i nic więcej.

Oparł głowę na rękach i zamknął oczy. Próbował skatalogować cały posiadany zasób wiedzy i to, co z niej wynika. Wiedział, że jest przedstawicielem gatunku homo sapiens, mieszkańcem planety Ziemia. Mówił językiem, o którym wiedział, że jest to język angielski. (Czyżby zatem były także inne języki?) Rozumiał niektóre podstawowe słowa: pokój, światło, krzesło. Do tego posiadał pewien ograniczony zasób wiedzy ogólnej. Wiedział także, że nie wie wielu ważnych rzeczy, które kiedyś na pewno wiedział. Coś mi się musiało stać.

To coś mogło być znacznie gorsze. Gdyby poszło choć trochę dalej, zostałby bezmyślną, niemą istotą, nieświadomą tego, że jest człowiekiem, mężczyzną, mieszkańcem Ziemi. A tak jeszcze mu coś pozostało.

Ale kiedy spróbował przebić się myślą przez mur najbardziej podstawowych faktów, wkroczył na teren mroczny i przerażający. Wstęp surowo wzbroniony. Wyprawa badawcza w głąb własnego umysłu była równie niebezpieczna jak... właściwie jak co? Nie potrafił podać żadnej analogii, choć podejrzewał, że istniało ich bardzo wiele.

Musiałem być ciężko chory.

To jedyne sensowne wyjaśnienie. Był człowiekiem zdolnym do posługiwania się pamięcią. Sądząc po tym, co udało mu się przypomnieć, jego pamięć musiała niegdyś posiadać bezcenny zasób wiedzy. Musiała zawierać wspomnienia ptaków, drzew, przyjaciół, a także jakieś informacje o nim samym, o jego rodzinie, być może żonie. Teraz mógł o tym wszystkim rozmyślać jedynie w kategoriach teoretycznych. Kiedyś był w stanie powiedzieć: „to jest podobne do” albo „to mi przypomina”. Teraz nic mu nie przypominało niczego, a wszystkie przedmioty podobne były do siebie samych. Utracił zdolność porównywania i przeciwstawiania sobie rzeczy i pojęć. Nie potrafił już analizować teraźniejszości na podstawie doświadczeń przeszłości.

To musi być szpital.

Oczywiście. Tutaj się nim zajęto. Poddano leczeniu. Życzliwi lekarze z pełnym poświęceniem pracują nad przywróceniem mu pamięci i zdolności osądu, nad odtworzeniem jego utraconej tożsamości, próbują mu wyjaśnić, kim i czym jest. To doprawdy wspaniali ludzie; cóż by bez nich zrobił. Poczul, że w kącikach oczu zakreśliły mu się łzy wdzięczności.

Wstał z łóżka i obszedł dookoła swój mały pokoik. Przy drzwiach zatrzymał się i nacisnął klamkę. Zamknięte. Poczul, że zalewa go fala strachu, ale natychmiast wziął się w garść. Może zachowywał się agresywnie?

Teraz już nie będzie agresywny. Sami zobaczą. Udziela mu wszystkich przywilejów, jakie tylko pacjent może posiadać. Porozmawia o tym z lekarzem.

Zaczął czekać. Po upływie wielu minut, a może nawet godzin, usłyszał odgłos kroków: ktoś szedł korytarzem w

stronę jego drzwi. Usiadł na brzegu łóżka i nasłuchiwał, z trudem opanowując ogarniające go podniecenie.

Kroki ucichły przed jego pokojem. W drzwiach odsunęła się płytka, tworząc okienko, w którym ukazała się jakaś obca twarz.

— Jak się czujesz? — spytał mężczyzna.

Podszedł do okienka i zobaczył, że pytający ubrany jest w brązowy mundur. Do pasa miał przymocowany jakiś przedmiot. Po krótkiej chwili doszedł do wniosku, iż jest to broń. Ten człowiek bez wątpienia był strażnikiem. Miał tępą, nieprzeniknioną twarz.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak się nazywam? — poprosił.

— Nazywasz się 402 — odparł strażnik. — To jest numer twojej celi. Nie bardzo mu się to podobało. Ale 402 było już lepsze niż nic.

— Czy długo byłem chory? — spytał. — Czy mój stan się poprawia?

— Owszem — potwierdził strażnik głosem, w którym nie słyhać było większego przekonania. — Najważniejsze, żebyś się zachowywał spokojnie. I słuchał poleceń. Tak będzie najlepiej.

— Oczywiście — powiedział 402. — Ale dlaczego ja nic nie pamiętam?

— No cóż, tak to już jest — odparł strażnik i ruszył dalej.

— Chwileczkę! — zawołał 402. — Nie może mnie pan tak po prostu zostawić. Musi mi pan coś powiedzieć. Co się ze mną stało? Dlaczego jestem w szpitalu?

— W szpitalu? — Strażnik odwrócił się do 402 i wykrzywił twarz w uśmiechu. — Skąd ci przyszło do głowy, że to szpital?

— Zdawało mi się...

— To źle ci się zdawało. To jest więzienie. 402 przypomniał sobie swój sen o zamordowanym mężczyźnie. Sen czy wspomnienie?

— A co ja takiego zrobiłem? — zawołał rozpaczliwie za strażnikiem. — Jakie popełniłem przestępstwo?

— Dowiesz się — odpowiedział strażnik.

— Kiedy?

— Jak wylądujemy — odkrzyknął z głębi korytarza. — A teraz przygotuj się do apelu.

Po odejściu strażnika 402 usiadł na łóżku i próbował myśleć. Dowiedział się kilku rzeczy. Był w więzieniu, które miało lądować. Co by to mogło znaczyć? Dlaczego jakieś więzienie miało lądować? I co to takiego ten apel?

Nie bardzo mógł sobie wyobrazić, co będzie dalej. Mijał czas trudny do określenia. 402 siedział na łóżku i próbował zebrać w jedną całość wszystkie fakty dotyczące jego osoby. Nagle wydało mu się, iż słyszy bicie dzwonów. A potem drzwi jego celi otworzyły się.

Dlaczego tak się stało? Co to miało oznaczać?

402 podniósł się i wyjrzał na korytarz. Opanowało go ogromne podniecenie, ale nie miał ochoty opuszczać swojej celi. Mimo wszystko czuł się w niej bezpiecznie. Postanowił czekać, aż nadejdzie strażnik. Trwało to zaledwie kilka chwil.

— Dobra — powiedział strażnik. — Wychodź, nic ci się nie stanie. Idź tym korytarzem prosto przed siebie.

Strażnik popchnął go lekko i 402 ruszył do przodu.

Widział otwierające się drzwi innych cel i wychodzących z nich kolejnych mężczyzn. Początkowo tworzyli wąski szereg, ale w miarę, jak posuwali się naprzód, coraz więcej i więcej mężczyzn wypełniało korytarz. Większość sprawiała wrażenie oszołomionych, nikt nie rozmawiał.

Jedynie słowa, jakie było słychać, padały z ust strażników:

— Ruszać się, ruszać, nie zatrzymywać się. Dalej, prosto przed siebie.

Skierowano ich do wielkiej, okrągłej sali. Rozglądając się wokół 402 dostrzegł okalającą pomieszczenie galerię, na której co kilka metrów stali uzbrojeni strażnicy. Ich obecność wydawała się zupełnie niepotrzebna — ci potulni, oszołomieni mężczyźni ani przez chwilę nie myśleli o buncie. Nietrudno jednak było się domyślić, że strażnicy o twardych, posępnych twarzach stanowili coś w rodzaju symbolu. Przypominali wszystkim niedawno przebudzonym o najważniejszej rzeczy, jaka spotkała ich w życiu — o tym, że zostali więźniami.

Po kilku minutach na galerii ukazał się mężczyzna w ciemnym, ponurym mundurze. Podniósł rękę w geście nakazującym uwagę, choć od momentu jego wejścia nikt nie spuszczał zeń oczu. Po chwili, mimo iż nie widać było, by używał aparatury wzmacniającej, przez salę przetoczył się potężnym dudnieniem jego głos:

— To, co powiem, będzie miało charakter szkolenia.

Słuchajcie

uważnie i spróbujcie sobie wszystko dobrze przyswoić.

Jest to bardzo ważne dla waszego dalszego życia.

Więźniowie obserwowali go w milczeniu.

— Wszyscy obudziliście się w swoich celach mniej więcej w ciągu ostatniej godziny. Wszyscy stwierdziliście, że nie potraficie sobie przypomnieć żadnych faktów ze swojego życia, nawet własnych nazwisk. Każdy z was posiada natomiast pewien dość skąpy zasób wiedzy ogólnej; dość, by nie utracić kontaktu z rzeczywistością.

Ja nie poszerzę tego waszego zasobu wiedzy. Na Ziemi wszyscy byliście zdeprawowanymi i niebezpiecznymi zbrodniarzami. Byliście ludźmi najpodlejszego gatunku, ludźmi, którzy stracili wszelkie prawa do korzystania ze

względów Państwa. W czasach mniej oświeconych zostalibyście skazani na śmierć. W naszej erze jedynie was deportowano.

Mówca podniósł ręce, by uciszyć szmer, który przebiegł po sali.

— Wszyscy jesteście kryminalistami — ciągnął. — I wszyscy macie jedną cechę wspólną: niezdolność do podporządkowania się podstawowym, nienaruszalnym zasadom, rządzącym ludzką społecznością. Te zasady są nieodzowne cywilizacji, by mogła funkcjonować. Łamiąc je, popełniliście zbrodnię przeciwko całej ludzkości. Dlatego też ludzkość się was wyrzekła. Byliście piaskiem w trybach maszyny cywilizacji i zostaliście zesłani do świata, którym rządzą tacy jak wy. Tutaj będziecie mogli żyć według własnych upodobań i według nich umierać. Tutaj znajdziecie wolność, której tak pożąдалиście: niczym nie ograniczoną i zmierzającą do samozagłady wolność rakowatego rozrostu.

Mówca przetarł czoło i obrzucił więźniów groźnym spojrzeniem.

— Choć być może dla niektórych z was rehabilitacja jest jeszcze możliwa — kontynuował. — Omega, planeta, na którą lecicie, jest waszą planetą, jest światem rządzonym całkowicie i wyłącznie przez więźniów. Jest miejscem, gdzie wolno wam będzie zacząć wszystko od nowa, bez jakichkolwiek obciążeń przeszłością, z kartoteką czystą jak łąza! Wasze dawne życie zostało zapomniane. Nie próbujcie go sobie przypomnieć, gdyż w ten sposób możecie jedynie ponownie wyzwolić w sobie zbrodnicze skłonności. Przyjmijcie, iż narodziliście się tutaj, w momencie przebudzenia na pokładzie tego statku.

Padające powoli, równo odmierzone słowa działały hipnotyzujące. Mętniejące spojrzenie słuchającego 402 zatrzymało się na bladej twarzy mówcy.

— To nowy świat — ciągnął mężczyzna. — Narodziliście się

po raz drugi, lecz z nieodzownym poczuciem winy. Bez niego nie bylibyście w stanie zwalczyć swych wrodzonych skłonności do wyrządzania zła. Zapamiętajcie to sobie. Zapamiętajcie sobie, że nie ma ani ucieczki, ani powrotu. Niebo Omegi dzień i noc patrolują statki wartownicze uzbrojone w broń laserową najnowszego typu. Powierzono im zadanie niszczenia absolutnie wszystkiego, co wzniesie się wyżej niż dwieście metrów nad powierzchnię planety: jest to niezawodna bariera, której nigdy żadnemu więźniowi nie uda się pokonać. Musicie pogodzić się z faktami. Stanowią one zbiór najbardziej podstawowych zasad, jakie rządzić będą waszym życiem. Pomyślcie o tym, co powiedziałem. A teraz przygotujcie się do lądowania. Mężczyzna w ciemnym mundurze opuścił galerię. Przez dłuższą chwilę więźniowie wpatrywali się w miejsce, z którego przemawiał. Potem tu i tam rozległ się cichy szmer nieśmiałych rozmów. Jednak prawie natychmiast ucichł. Nie było o czym rozmawiać. Bez żadnych konkretnych wspomnień z przeszłości więźniowie nie mieli podstawy, na której mogliby oprzeć swoje spekulacje na przyszłość. Również ich osobowości nie były w stanie nawiązać ze sobą jakiegokolwiek kontaktu, ponieważ były to osobowości niezwykle młode i w dalszym ciągu nie zdefiniowane. Siedzieli więc w ciszy, zamknięte w sobie istoty, które zbyt długo przebywały w odosobnieniu. Strażnicy na galerii stali jak posągi, obcy i bezosobowi. I wtedy przez podłogę sali przebiegło leciutkie drzenie.

Chwilę później drzenie powtórzyło się, tym razem przechodząc w wyraźną wibrację. 402 poczuł, że staje się cięższy, jakby na głowie i barkach położono mu jakiś niewidzialny ładunek.

— Uwaga, uwaga! — odezwały się potężnym dudnieniem głośniki. — Statek podchodzi do lądowania na Omedze. Za kilka minut schodzimy z pokładu.

Przez statek przebiegło ostatnie drzenie i podłoga pod stopami lekko zachybotała. Więźniów, w dalszym ciągu milczących i oszołomionych, uformowano w długą kolumnę i wyprowadzono z sali. Nadzorowani przez uzbrojonych strażników, ruszyli długim korytarzem, który zdawał się nie mieć końca. Dopiero teraz 402 uzmysłowił sobie ogrom statku.

Daleko w przedzie widać było plamę słonecznego światła, które raziło oczy przywykłe do bladego oświetlenia korytarza. Kiedy jego sekcja powoli sunącej kolumny podeszła bliżej, 402

spozstrzegł, że jasność wlewa się przez otwarty właz luku, którym wychodzą więźniowie.

Gdy nadeszła jego kolej, przemaszerował przez luk, zszedł po długich schodach trapu i znalazł się na twardym gruncie. Stał na otwartym, zalanym słońcem placu.

Strażnicy formowali wysiadających więźniów w drugie szeregi. Ze wszystkich stron otaczał ich tłum oczekujących widzów.

Głośniki zadudniły ponownie:

— Zgłaszać się po wywołaniu swego numeru. Otrzymacie informacje na temat swojej tożsamości. Zgłaszać się natychmiast po wywołaniu waszego numeru.

402 był słaby i bardzo zmęczony. W tej chwili nie interesowała go nawet jego tożsamość. Chciał tylko położyć się, zasnąć, znaleźć chwilę zupełnego spokoju.

Rozejrzał się dokoła, przesuając obojętnym wzrokiem po stojącym za jego plecami ogromnym statku kosmicznym, po strażnikach i widzach. Wysoko w górze zauważył kilka ciemnych plamek, sunących powoli przez błękit nieba. W pierwszej chwili uznał je za ptaki. Dopiero za moment dotarło doń, że to statki wartownicze. One także były mu zupełnie obojętne.

— Numer 1! Wystąp!

— Jestem! — zawołał ktoś z głębi szeregów.

— Numer 1, nazywasz się Wayn Southholder. Lat trzydzieści cztery, grupa krwi A-L2, index AR-431-C. Skazany za zdradę.

Kiedy głos umilkł, przez tłum widzów przetoczyła się fala radosnych wiwatów. Oklaskiwano więźnia za to, iż dokonał zdrady i witano go na Omedze.

Jeden po drugim odczytywane były kolejne numery. 402, słuchając listy popełnionych przez więźniów zbrodni: morderstw, malwersacji, dewiacji, mutantyzmu, przysypiał na stojąco pod obezwładniającym słońcem. W końcu wywołano i jego.

— Numer 402!

— Jestem.

— Numer 402, nazywasz się Will Barrent. Lat dwadzieścia siedem, grupa krwi O-L3, index JX-221-R. Skazany za morderstwo.

W tłumie podniosły się wiwaty, ale 402 prawie ich nie słyszał. Próbował przyzwyczaić się do myśli, że posiada jakieś nazwisko. Prawdziwe nazwisko, nie numer. Will Barrent. Miał nadzieję, że nie zapomni. Zaczął je sobie powtarzać. Ciągłe na nowo i na nowo, i omal nie przegapił ostatniego ogłoszenia, które popłynęło z megafonów.

Rozdział 2

— Niniejszym otrzymujecie pełną wolność i prawo osiedlenia się na planecie Omega. Na okres przejściowy zostaniecie ulokowani w budynkach mieszkalnych na placu A-2. Musicie jednak zachować jak najdalej posuniętą ostrożność i rozwagę we wszystkich swoich czynach i słowach. Obserwujcie, słuchajcie i uczcie się. Zgodnie z prawem muszę was poinformować, iż przeciętna długość życia na Omedze wynosi mniej więcej trzy lata ziemskie.

Potrwało dobrą chwilę, zanim znaczenie tych ostatnich słów dotarło do Barrenta. Ciągle jeszcze rozmyślał o dopiero co odzyskanym nazwisku. Konsekwencje faktu, iż był mordercą na planecie zbrodniarzy, na razie go nie interesowały.

Prawie pięciuset nowych więźniów skierowano do rzędu baraków przy placu A-2. Nie byli jeszcze ludźmi — byli istotami, których prawdziwe wspomnienia dotyczyły okresu zaledwie kilku godzin. Siedząc na swoich pryczach, dopiero co narodzeni, oglądali ze zdziwieniem i ciekawością swoje własne ciała, badali uważnie swoje dłonie i stopy. Wpatrywali się w siebie nawzajem i w oczach innych dostrzegali odbicie swojej własnej bezkształtności. Nie stali się jeszcze mężczyznami, lecz dziećmi także już nie byli. Posiadali pewien zasób pojęć abstrakcyjnych i cienie wspomnień. Dojrzałość nadeszła szybko, zrodzona ze starych przyzwyczajzeń i tych kilku rysów osobowości, które niby pęknięte nitki łączyły ich z dawnym życiem na Ziemi.

Będąc nowymi ludźmi uczepli się kurczowo mglistych wspomnień, pojęć, idei i zasad. Już po kilku godzinach ich flegmatyczna potulność zaczęła ustępować. Stawali się mężczyznami. Indywidualnościami. Ze sztucznie

narzuconej, podtrzymywanej oszołomieniem homogenicznej mary poczęły się wyłaniać zręby odrębności. Stłumione charaktery ujawniły się z poprzednią siłą, ukazując każdemu z pięciuset, kim i czym jest.

Will Barrent ustawił się w długim ogonku do lustra. Kiedy nadeszła jego kolej, ujrzał w nim sympatycznego, młodego mężczyznę o szczupłej twarzy, wąskim nosie i prostych, kasztanowych włosach. Ta twarz była szczerą, rezolutną, nie napiętnowana żadną silną namiętnością — bez zarzutu. Odwrócił się od lśniącej tafli rozczarowany; była to twarz kogoś zupełnie obcego.

Później, badając swe ciało dokładniej, nie znalazł żadnej blizny ani niczego, co wyróżniałoby je spośród tysięcy innych ciał. Ręce miał nienawykłe do pracy. Był raczej zwinny i sprawny niż umięśniony. Zastanawiał się, co też mógł robić na Ziemi.

Morderca?

Wzdrygnął się. Tego nie był jeszcze gotów zaakceptować. Ktoś popukał go lekko w ramię.

— Jak się czujesz?

Barrent odwrócił się i ujrzał wielkiego, barczystego mężczyznę o płomieniście rudych włosach.

— Nie najgorzej — odparł. — Ty stałeś w rzędzie zaraz obok mnie, prawda?

— Tak. Numer 401. Nazwisko Danis Foeren. Barrent przedstawił się.

— Skazany za?... — spytał Foeren.

— Morderstwo.

Foeren skinął głową, wyraźnie pod wrażeniem.

— Ja jestem fałszerzem — powiedział. — I któż by pomyślał. Z takimi rękami? — Wyciągnął przed siebie dwa potężne łapska, porośnięte z rzadka rudą szczecina.

— Ale rzeczywiście muszą być zręczne. Pierwsze sobie wszystko przypomniały. Na statku siedziałem w swojej celi i wpatrywałem się w ręce. Świerzbily mnie. Miały dość bezczynności, chciały zabrać się do jakiejś roboty. Ale reszta mojej osoby nie pamiętała do jakiej...

— I co zrobiłeś? — spytał Barrent.

— Zamknąłem oczy i zdałem się na ręce — odparł Foeren.

— Ledwie zdążyłem się zorientować, już były w górze i majstrowały przy zamku od celi. — Podniósł potężne dłonie i spojrzał na nie z podziwem. — Bardzo sprytnie bestyjki!

— Majstrowały przy zamku? — zdumiał się Barrent. — Ale przecież mówiłeś, że jesteś fałszerzem...

— No cóż... — odparł Foeren. — Fałszerstwo było moją główną specjalnością. Ale para zręcznych rąk potrafi zrobić niemal wszystko. Podejrzewam, że na fałszerstwie zostałem po prostu złapany, chociaż równie dobrze mogłem być kasiarzem. Jak na fałszerza moje ręce potrafią o wiele za dużo.

— Dowiedziałeś się o sobie więcej niż ja — powiedział Barrent. — Ja nie mam żadnego punktu zaczepienia poza jednym krótkim snem.

— Cóż, to dopiero początek — pocieszył go Foeren. — Musi być jakiś sposób, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Na razie najważniejsze, że znajdujemy się na Omedze.

— Racja — przyznał z goryczą Barrent.

— Nie ma się czym przejmować — ciągnął Foeren. — Nie słyszałeś, co mówił tamten facet? To nasza planeta!

— Na której średnia życia wynosi trzy ziemskie lata — przypomniał Barrent.

— To pewnie tylko gadanie, żeby nas nastraszyć — odparł Foeren. — W takich sprawach nie wierzyłbym strażnikom. Najważniejsze, że mamy własną planetę. Słyszałeś, co

powiedzieli. „Ziemia się nas wyrzekła”. Ziemia. To tylko gwiazda, która nagle rozbłysła, by zginąć. Do diabła z nią. Tutaj mamy swoją własną planetę. Całą planetę, Barrent! Jesteśmy wolni!

— Zgadza się, przyjacielu — powiedział podchodząc do nich niski mężczyzna. Rzucił na wszystkie strony ukradkowe spojrzenia i uśmiechał się przymilnie. — Nazywam się Joe. A właściwie w tej chwili Joao, chociaż wolę formę archaiczną z tym jej posmakiem bardziej łaskawych czasów. Panowie, nie mogłem nie usłyszeć waszej rozmowy i całym sercem zgadzam się z naszym rudowłosym przyjacielem. Rozważcie tylko wszystko uważnie. Ziemia nas odtrąciła? To wspaniale! Bez niej będzie nam znacznie lepiej. Tutaj jesteśmy wszyscy równi. Jesteśmy wolnymi ludźmi w wolnym społeczeństwie. Żadnych mundurów, żadnych strażników, żadnych żołnierzy. Wyłącznie skruszeni byli kryminaliści, nie pragnący niczego poza spokojem.

— Za co cię zesłali? — spytał Barrent.

— Powiedzieli, że za malwersacje — odparł Joe. — Ale ze wstydem muszę wyznać, że zupełnie zapomniałem, co to takiego. Choć być może z czasem mi się przypomni...

— Nie jest wykluczone, że tutejsze władze mają jakiś system uaktywniania pamięci — rzucił Foeren.

— Władze? — powtórzył Joe z oburzeniem. — Jak to „władze”? To jest nasza planeta. Tutaj wszyscy jesteśmy równi. A zatem nie może tu być żadnych władz. Nie, przyjaciele, wszystkie takie bzdury zostawiliśmy za sobą na Ziemi. Tutaj...

Urwał gwałtownie. Drzwi baraku otworzyły się i do środka wszedł jakiś gruby mężczyzna. Bez wątpienia był już zasiedziałym mieszkańcem Omegi, ponieważ nie miał na sobie więziennego kombinezonu. Ubrany był w strój o

krzykliwych, żółtoniebieskich barwach. Gruby brzuch opinał mu pas, do którego miał przytroczone kaburę z pistoletem i nóż. Stał w rozkroku tuż za progiem i wzięwszy się pod boki obrzucił nowo przybyłych więźniów wściekłym spojrzeniem.

—No?! — szczechnął krótko. — Żaden z nowicjuszy nie potrafi rozpoznać Kwestora? Wstać!

—

Rozdział 3

Nikt się nie ruszył.

Twarz Kwestora spurpurowiała.

— Chyba będę musiał nauczyć was nieco szacunku. Jeszcze zanim zdążył do końca wyciągnąć pistolet z kabury, nowo przybyli zerwali się na równe nogi. Kwestor powiódł po nich lekko rozczarowanym wzrokiem, po czym wepchnął broń z powrotem do kabury.

— Przede wszystkim, nowicjusze, musicie się dowiedzieć i zapamiętać — podjął swą mowę —jaki jest wasz status na Omedze. Otóż nie macie żadnego statusu. Jesteście peonami, a to znaczy, że jesteście niczym.

Odczekał chwilę, po czym dodał:

— A więc uwaga, peoni. Za chwilę pouczę was, jakie macie obowiązki.

— Przede wszystkim, nowicjusze, musicie dokładnie zrozumieć swoje położenie — powiedział Kwestor. — To ogromnie ważne. I ja wam powiem, czym jesteście. Jesteście peonami. A peoni to samo dno. Stoją niżej od najniższych. Peoni nie posiadają żadnych praw. Niżej od was stoją tylko mutanci, ale ich nie sposób zaliczyć do ludzi. Są jakieś pytania?

Kwestor umilkł i czekał. Kiedy okazało się, że nie ma pytań, ciągnął przerwany wątek.

— Skoro już wyjaśniliśmy sobie, coście za jedni, teraz przejdziemy do wyjaśnienia, kim są pozostali mieszkańcy Omegi. Przede wszystkim każdy z nich jest ważniejszy od was, ale jedni są mniej, a inni bardziej ważni. Następnym po was w hierarchii jest Rezydent, który liczy się niewiele więcej niż wy, a zaraz potem Wolny Obywatel. Wolny Obywatel ma prawo nosić szary pierścień i ubierać się na czarno. On także nie jest ważny, niemniej jednak jest znacznie ważniejszy od peonów. Przy odrobinie szczęścia niektórzy z was mogą się dochrapać statusu Wolnego Obywatela.

Wyżej rozpoczyna się grupa Klas Uprzywilejowanych, z których każda wyróżnia się symbolem rozpoznawczym odpowiednim do rangi. Na przykład należący do klasy Hadji noszą złote kolczyki. Po jakimś czasie nauczycie się wszystkich symboli rozpoznawczych i prerogatyw różnych rang i stopni. Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć o kapłanach. Choć nie należą do Klas Uprzywilejowanych, posiadają pewne immunitety i prawa. Czy wyrażam się jasno?

Przez barak przebiegł szmer potwierdzenia. Kwestor mówił dalej:

— Dochodzimy teraz do problemu, w jaki sposób macie się zachować wobec osób wyższych rangą. Jako peoni jesteście zobowiązani witać Wolnych Obywateli ich pełnym tytułem i z należyтым szacunkiem. Wobec osób z Klas Uprzywilejowanych, na przykład Hadjiego, odpowiadacie wyłącznie na zadane pytania, z oczyma spuszczone w dół i rękami złożonymi na piersi. Nie wolno wam oddalać się od żadnego z Uprzywilejowanych, dopóki nie otrzymacie pozwolenia. Również pod żadnym pozorem nie wolno wam w jego obecności siedzieć. Jasne? Ale to dopiero początek. Musicie nauczyć się znacznie więcej. Na

przykład godność Kwestora, którą ja piastuję, zalicza się do kategorii Wolnych Obywateli, lecz korzysta z pewnych prerogatyw Uprzywilejowanych.

Kwestor groźnie spojrział na zebranych, chcąc upewnić się, czy rozumieją.

— Ten barak jest waszym tymczasowym domem.

Sporządziłem już grafik z rozkładem dyżurów: pranie, sprzątanie itd. Możecie mnie o wszystko pytać, lecz autorzy głupich lub impertynenckich pytań mogą zostać ukarani okaleczeniem lub śmiercią. Musicie pamiętać, że jesteście najnędnieszymi z nędznych. Jeśli zakodujecie to sobie w umysłach, być może uda wam się pozostać przy życiu.

Kwestor umilkł na chwilę. Zapanowała cisza. Wreszcie podjął na nowo:

— W ciągu następnych kilku dni otrzymacie skierowania do różnych robót. Niektórzy z was będą pracować w kopalniach germanu, inni we flocie rybackiej, jeszcze inni zostaną czeladnikami w różnych warsztatach. Do czasu przydziału zajęcia jesteście wolni i możecie rozejrzeć się po Tetrahydzie.

Widząc wyraz niezrozumienia, malujący się na twarzach mężczyzn, wyjaśnił:

— Tetrahyda to nazwa miasta, w którym się znajdujecie. Jest to największe miasto na Omedze. A po chwili zastanowienia dodał:

— I prawdę mówiąc, jedyne.

— Czy nazwa Tetrahyda coś znaczy? — spytał Joe.

— Skąd mam wiedzieć? — odparł Kwestor, rzucając mu gniewne spojrzenie. — Przypuszczam, że to jedna z tych starych ziemskich nazw, które zawsze nie w porę strzelają komuś do łba. Tak czy inaczej miejcie się na baczności, kiedy tam pójdziecie.

— Dlaczego? — spytał Barrent.

Kwestor wyszczerzył zęby w nieprzyjemnym uśmiechu.

— To, peonie, będziesz już musiał wybadać sam — powiedział, po czym odwrócił się i opuścił barak.

Kiedy wyszedł, Barrent wyjrzał przez okno. Zobaczył wyludniony plac, a w głębi uliczki Tetrahydy.

— Masz zamiar tam iść? — spytał Joe.

— Oczywiście — odparł Barrent. — Idziesz ze mną? Mały malwersant pokręcił przecząco głową.

— Nie wydaje mi się, żeby to było bezpieczne.

— A ty, Foeren?

— Mnie też się to nie podoba. Chyba lepiej przez jakiś czas trzymać się baraków.

— Zabawne — powiedział Barrent. — Przecież to nasze miasto. Czy jest ktoś, kto poszedłby ze mną?

W zakłopotaniu Foeren przygarbił swe potężne bary kręcąc przecząco głową. Joe wzruszył ramionami i położył się z powrotem na pryczy. Pozostali nawet nie podnieśli wzroku.

— No to świetnie — powiedział Barrent. — Jak wrócę, o wszystkim wam opowiem.

Odczekał jeszcze chwilę na wypadek, gdyby ktoś zmienił zdanie, po czym wyszedł z baraku.

Tetrahyda była skupiskiem budynków rozciągniętym wzdłuż wąskiego półwyspu wrzynającego się w szare, niemrawo rozkołysane morze. Od strony lądu miasto zamykał wysoki, kamienny mur z kilkoma bramami, strzeżonymi przez uzbrojonych wartowników.

Największym obiektem Tetrahydy była Arena, na której raz do roku rozgrywały się Igrzyska. Tuż obok znajdował się niewielki kompleks budynków rządowych.

Barrent spacerował wąskimi ulicami, rozglądając się dokoła i próbując wyrobić sobie jakieś zdanie na temat

swej nowej ojczyzny. Kręte, nie brukowane ulice z ciemnymi, nadszarpniętymi przez burze domami budziły w nim nieuchwytny, mgliste cienie wspomnień. Musiał widzieć już coś takiego na Ziemi, ale nic więcej nie mógł sobie przypomnieć. Było to uczucie równie drażniące, jak swędzenie, którego źródła nie można zlokalizować.

Minąwszy Arenę, dotarł do głównej dzielnicy handlowo-usługowej. Zafascynowany odczytywał napisy na szyldach: **NIE-KONCESJONOWANY LEKARZ — USUWANIE CIAŻY NA POCZEKANIU. I tuż obok — POZBAWIONY UPRAWNIENIŃ ADWOKAT. MACHŁOJKI I AFERY POLITYCZNE.**

Ogarnęło go niejasne uczucie, że coś tu jest nie tak. Idąc dalej widział sklepy reklamujące skradzione towary, a także niewielki budynek, na którym umieszczono napis: **CZYTANIE PAMIĘCI! TWOJA PRZESZŁOŚĆ NA ZIEMI UJAWNIONA! OBSŁUGA ZŁOŻONA WYŁĄCZNIE Z PROJEKCYJNYCH MUTANTÓW.**

Miał ochotę tam wejść, ale przypomniał sobie, że nie posiada pieniędzy, Omega zaś wyglądała na miejsce, gdzie pieniądze ogromnie się liczą.

Skręcił w boczną uliczkę, minął kilka restauracji i ujrzał duży gmach z napisem **INSTYTUT TRUCIZN (Dogodne warunki zapłaty. Kredyt nawet trzyletni. Skutek gwarantowany lub zwrot pieniędzy).** Zaraz obok znajdowała się wywieszka: **CECH MORDERCÓW. Lokal 452.**

Na podstawie przemowy, którą ogłoszono do nich jeszcze na statku, Barrent spodziewał się, że Omega będzie miejscem rehabilitacji kryminalistów. Tymczasem sądząc z treści reklam, wcale tak nie było — a jeśli nawet było, to rehabilitacja musiała przybrać tu jakieś bardzo dziwne

formy. Pograżony w rozmyślaniach, Barrent wolno spacerował dalej.

Po chwili zauważył, że ludzie usuwają mu się z drogi.

Ktokolwiek na niego spojrzy, zaraz czmycha do bramy lub sklepu. Jakaś starsza kobieta ujrzawszy go, zaczęła biec.

Co się dzieje? Czy chodziło o jego więzienny kombinezon?

Nie, to niemożliwe. Mieszkańcy Omegi musieli już do nich przywyknąć. Lecz w takim razie co?

Ulica niemal zupełnie się wyludniła. Jakiś sprzedawca obok niego pospiesznie opuszczał stalowe rolety w swym sklepie z kradzionymi towarami.

— O co chodzi? — spytał go Barrent. — Co tu się dzieje?

— Czyś ty na głowę upadł?! — krzyknął sklepikarz. —

Przecież dziś jest Dzień Lądowania!

— Słucham?

— Dzień Lądowania! — powtórzył sklepikarz. — Dzień, w którym ląduje statek więzienny. Wracaj do swego baraku, idioto!

Zatrzasnął z hukiem metalowe rolety i zamknął je na kłódkę. Barrent poczuł na grzbiecie lodowate ciarki.

Ogarnął go strach. Coś tu było zdecydowanie nie tak.

Lepiej wracać, i to jak najszybciej. Co za głupota z jego strony, że nie dowiedział się wcześniej czegoś więcej o omegańskich zwyczajach...

Ulicą zbliżali się do niego trzej mężczyźni. Byli dobrze ubrani, a każdy nosił w lewym uchu mały złoty kolczyk Hadjich. Wszyscy trzej mieli pistolety.

Barrent odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę. Jeden z Hadjich zawołał:

— Peon, stać!

Barrent dostrzegł, iż ręka mężczyzny zawisła w powietrzu tuż obok kabury, i zatrzymał się.

— O co chodzi? — spytał.

— Dziś jest Dzień Lądowania — odparł mężczyzna, po czym spojrzał na swoich przyjaciół. — No, który bierze się za niego pierwszy?

— Losujemy.

— Mam monetę.

— Nie, przez podniesienie palców.

— Gotowi? Raz, dwa, trzy!

— Jest mój — powiedział pierwszy z lewej, wyciągając broń. — Cofnijcie się.

— Chwileczkę! — zawołał Barrent. — Co pan robi?

— Zamierzam cię zabić — odparł mężczyzna.

— Ale dlaczego? Mężczyzna uśmiechnął się.

— Bo to przywilej Hadjich. W Dniu Lądowania mamy prawo zastrzelić każdego peona, który opuści baraki.

— Ale nikt mi o tym nie powiedział!

— A co ty byś chciał? — zdziwił się mężczyzna. — Gdyby mówiono o tym wszystkim nowym, żaden z was nie pojawiłby się w mieście i nie byłoby zabawy.

Wycelował.

Barrent zareagował odruchowo. Rzucił się na ziemię w momencie strzału, usłyszał syk i ujrzał, jak na ścianie budynku obok niego pojawia się nieregularna plama nadtopionej cegły.

— Teraz moja kolej — powiedział któryś z mężczyzn.

— Przykro mi staruszkule, ale chyba moja.

— Starszeństwo, drogi przyjacielu, ma swoje prawa.

Odsuńcie się.

Zanim następny mężczyzna zdążył wymierzyć, Barrent zerwał się z ziemi i rzucił do ucieczki. Kręta uliczka skryła go na moment, lecz ani na chwilę nie przestawał słyszeć za sobą swoich prześladowców. Właściwie nawet za nim nie biegli, a jedynie szli nieco szybszym krokiem, jakby byli absolutnie pewni swej zdobyczy. Barrent narzucił

maksymalne tempo, na jakie było go stać, skręcił w jakiś zaułek i natychmiast zorientował się, że popełnił błąd. Zaułek był ślepy. A z tyłu zbliżali się bez pośpiechu trzej Hadji.

Oszalałym wzrokiem zaczął rozglądać się na wszystkie strony. Drzwi sklepów były pozamykane, a wystawy zasłonięte stalowymi roletami. Nie istniała żadna możliwość wspięcia się na któryś z budynków, nie było żadnej kryjówki.

I nagle zobaczył otwarte drzwi, gdzieś w połowie drogi między nim a zbliżającymi się prześladowcami. Przebiegł tamtędy. Wystający z budynku szyld nad drzwiami głosił: TOWARZYSTWO OCHRONY OFIAR. To coś dla mnie, pomyślał Barrent.

Rzucił się w kierunku drzwi, przebiegając niemal pod nosem osłupiałych Hadjich. Pojedynczy strzał wypalił kawałek ziemi między jego stopami. Sekundę później był już przy drzwiach i wskoczył szczupakiem do środka.

Podniósł się z trudem. Prześladowcy zostali na zewnątrz. Słyszał ich głosy dochodzące z ulicy: prowadzili uprzejmą dyskusję na temat zaistniałego precedensu. Barrent uświadomił sobie, iż trafił na coś w rodzaju azylu.

Znajdował się w dużym, jasno oświetlonym pomieszczeniu. Tuż przy drzwiach siedziało na ławce kilku obdartych mężczyzn, zaśmiewających się z jakiegoś dowcipu. Nieco dalej spostrzegł ciemnowłosą dziewczynę, która przyglądała mu się wielkimi, szeroko otwartymi zielonymi oczyma. Spod przeciwległej ściany skinął na Barrenta urzędujący za biurkiem mężczyzna.

Barrent zbliżył się do biurka. Mężczyzna był niski i nosił okulary. Uśmiechnął się zachęcająco, czekając, aż Barrent przemówi.

— Czy to jest Towarzystwo Ochrony Ofiar? — spytał Barrent.

— Tak, proszę pana — odparł mężczyzna. — Nazywam się Rondolp Friendlyer i jestem prezesem tej nie nastawionej na osiągnięcie zysków organizacji. Czy mogę panu czymś służyć?

— O tak, bez wątpienia — odparł Barrent. — Jestem właśnie niedoszłą ofiarą.

— Wiem — powiedział Friendlyer, uśmiechając się ciepło.

— Wystarczy na pana spojrzeć. Ma pan wygląd jak najbardziej typowy dla ofiary: taka charakterystyczna mieszanka strachu i niepewności z odrobiną czegoś, co sugeruje pewną podatność na ciosy. Nie sposób się pomylić.

— Bardzo interesujące — odparł Barrent, spoglądając na drzwi i zastanawiając się, jak długo jeszcze jego prześladowcy zechcą uszanować zwyczaj nietykalności azylu. — Panie Friendlyer, ja nie jestem członkiem waszej organizacji...

— To bez znaczenia — odparł prezes. — Członkostwo naszej grupy jest, siłą rzeczy, spontaniczne. Człowiek przystępuje do nas, kiedy nadarza się okazja. Naszym celem jest ochrona niezbywalnych praw wszystkich ofiar.

— Właśnie, proszę pana. Otóż niedaleko stąd czeka na mnie trzech mężczyzn, którzy chcą mnie zabić.

— Ach tak... — Friendlyer otworzył szufladę i wyciągnął z niej grubą księgę. Przekartkował ją pobieżnie i szybko znalazł miejsce, którego szukał. — Proszę mi powiedzieć, czy ustalił pan status tych mężczyzn?

— Zdaje mi się, że wszyscy trzej byli Hadji. Każdy z nich miał mały złoty kolczyk w lewym uchu.

— To by się zgadzało — powiedział pan Friendlyer. — A dziś jest Dzień Lądowania. Pan zeszedł z pokładu statku,

który dzisiaj przyleciał, i został pan sklasyfikowany jako peon. Zgadza się?

— Owszem, tak właśnie było — odparł Barrent.

— W takim razie z prawdziwą przyjemnością mogę poinformować pana, że wszystko jest w porządku. Łowy Dnia Lądowania kończą się o zachodzie słońca. Może pan opuścić ten pokój z pełnym przeświadczeniem, że wszystko jest tak, jak być powinno i że pańskie prawa nie zostały w żaden sposób pogwałcone.

— Opuścić ten pokój? Oczywiście chciał pan powiedzieć, że po zachodzie słońca.

Pan Frendlyer pokręcił przecząco głową i uśmiechnął się smutno.

— Niestety nie. Zgodnie z prawem musi pan wyjść natychmiast.

— Ale oni mnie zabijają!

— Nic bliższego prawdy — odparł Frendlyer. — Ale oczywiście, nie ma na to rady. Już z samej definicji ofiarą jest ten, kto ma zostać zabity.

— Zdawało mi się, że to Towarzystwo ma na celu ochronę ofiar.

— Zgadza się, tylko że nie ofiar, a ich praw. Pańskich praw nikt nie pogwałcił. Hadji posiadają przywilej zabicia pana w Dniu Lądowania, przed zachodem słońca, o ile opuści pan teren baraków. Dodam, iż pan, ze swej strony, ma prawo zabić każdego, kto próbuje zabić pana.

— Ale ja nie mam broni!

— Ofiary nigdy nie mają broni. Na tym polega cała różnica, nieprawdaż? W każdym razie, z bronią czy bez, obawiam się, iż będzie musiał pan stąd natychmiast wyjść. Barrent ciągle jeszcze słyszał leniwe głosy kręcących się po ulicy Hadjich.

— Macie tu jakieś tylne wyjście? — spytał.

— Przykro mi.

— No to po prostu nie wyjdę.

W dalszym ciągu uśmiechając się pan Frendlyer wyciągnął szufladę biurka i wyjął z niej pistolet. Wycelował go w Barrenta i powiedział:

— Naprawdę musi pan opuścić ten lokal. Ma pan do wyboru albo wyjść i spróbować swoich szans w spotkaniu z Hadjimi, albo niczego nie próbować i zginąć na miejscu.

— Niech mi pan pożyczy swojej broni — powiedział Barrent.

— To niedozwolone — odparł Frendlyer. — Widzi pan, nie można dopuścić, by ofiary biegały uzbrojone. To by wszystko zepsuło. — Odciągnął kciukiem bezpiecznik. — Wychodzi pan?

Barrent zastanawiał się, jakie miałby szansę, gdyby rzucił się na prezesa i wyrwał mu pistolet. Uznał jednak, że nigdy by mu się to nie udało. Odwrócił się i ruszył powoli w kierunku drzwi. Obdarci mężczyźni w dalszym ciągu z czegoś się zaśmiewali. Ciemnowłosa dziewczyna podniosła się z ławki i stała teraz tuż obok wyjścia. Kiedy podszedł bliżej, zauważył, że jest bardzo piękna. Jakież to niezwykle przestępstwo mogło spowodować wydalenie jej z Ziemi?

Kiedy ją mijal, poczuł, że coś twardego wbija mu się pod żebra. Sięgnął ręką i stwierdził, że trzyma w niej mały, wyglądający na bardzo skuteczny w działaniu pistolet.

— Powodzenia — szepnęła dziewczyna. — Mam nadzieję, że wiesz, jak się z tym obchodzić.

Barrent skinął głową w podziękowaniu. Wcale nie był pewien, czy wie, ale miał zamiar się o tym przekonać.

Rozdział 4

Na ulicy nie było żywego ducha poza trzema Hadjimi, którzy stali w niedbałych pozach niecałe dwadzieścia

metrów dalej, pogrążeni w cichej rozmowie. Kiedy Barrent stanął w progu, dwóch z nich cofnęło się, trzeci zaś z rewolwerem nonszalancko opuszczonym ku ziemi wystąpił do przodu. Gdy zorientował się, że Barrent jest uzbrojony, błyskawicznie podniósł pistolet gotowy do strzału.

Barrent rzucił się na ziemię i nacisnął spust nie znanej mu broni. Poczul, jak zawibrowała w jego ręku i spostrzegł, że głowa i ramiona Hadjiego czernieją i zaczynają się kruszyć. Nim zdążył wycelować do któregoś z pozostałych mężczyzn, wyrwany potężną siłą rewolwer wypadł mu z ręki. Spóźniony strzał Hadjiego utracił mu czubek lufy. Rozpaczliwie rzucił się za rewolwerem, czując, że nie ma mowy, aby zdążył go ponownie schwycić. Skóra ścierpła mu w oczekiwaniu morderczego strzału. Doturlał się do swojej broni, nadal jakimś cudem żywy, i wymierzył w stojącego najbliżej prześladowcę.

Dosłownie w ostatniej chwili powstrzymał się przed oddaniem strzału. Obaj Hadji schowali pistolety do kabur. Jeden z nich pochylił się nad zabitym i powiedział:

— Biedny, stary Draken. W strzelaniu nigdy nie był z niego orzeł.

— Brak praktyki — odparł drugi. — Draken nie lubił poświęcać zbyt dużo czasu na ćwiczenia.

— No cóż, moim zdaniem to świetna lekcja pogładowa. Po prostu nie wolno wychodzić z wprawy.

— A także nie wolno nie doceniać nawet zwykłego peona.

— Hadji spojrział na Barrenta. — Świetny strzał, chłopie.

— Owszem, naprawdę świetny — potwierdził drugi Hadji.

— Nie jest łatwo trafić z krótkiej broni, kiedy znajdujesz się w ruchu.

Barrent podniósł się chwiejnie z ziemi, nadal ściskając w dłoni pistolet otrzymany od dziewczyny. Gdyby Hadji wykonali jakikolwiek podejrzany manewr, był gotów do

strzału. Ale Hadji nie wykonywali żadnych podejrzanych manewrów. Wydawało się, że uważają cały incydent za zakończony.

— I co teraz? — spytał Barrent.

— Nic — odparł spokojnie jeden z Hadjich. — W Dniu Lądowania każdy myśliwy, albo grupa myśliwych, może mieć na koncie co najwyżej jednego trupa. Potem są już wykluczeni z łowów.

— To naprawdę nie jest jakieś ważne święto — dodał drugi. — Zupełnie nie to, co Igrzyska albo Loteria.

— Jedyne, co panu zostało teraz do zrobienia — powiedział pierwszy — to udać się do Biura Rejestracji i podjąć swój spadek.

— Moje co?!...

— Pański spadek — wyjaśnił Hadji cierpliwie. — Ma pan prawo do całego majątku swojej ofiary. Muszę jednak z przykrością stwierdzić, że w przypadku Drakena nie będzie tego dużo.

— Nigdy nie miał smykałki do prowadzenia interesów — przyznał ze smutkiem jego przyjaciel. — Mimo to nie będzie pan już startować od zera. A ponieważ dokonał pan zupełnie legalnego zabójstwa... choć, prawdę mówiąc, dość niezwykłego... automatycznie uzyskuje pan wyższą rangę. Od tej chwili jest pan Wolnym Obywatel.

Ulica wypełniła się przechodniami, a sklepikarze podciągali w górę metalowe rolety. Chwilę później nadjechała ciężarówka z napisem: WYWÓZ ZWŁOK. ZAKŁAD NR 5 i czterej mężczyźni w służbowych uniformach zabrali ciało Drakena. Życie Tetrahydy znów potoczyło się normalnym torem. I dopiero to, a nie zapewnienia Hadjich, przekonało Barrenta, iż łowy rzeczywiście zostały zakończone. Wsunął pistolet dziewczyny do kieszeni.

— Biuro Rejestracji jest niedaleko stąd — powiedział jeden z Hadjich. — Pójdziemy z panem i wystąpimy jako świadkowie.

Barrent w dalszym ciągu nie bardzo pojmował, o co chodzi. Ale skoro nagle wszystko zaczęło układać się dlań korzystnie, postanowił przejść do porządku dziennego nad tym, co się stało, i o nic nie pytać.

W towarzystwie Hadjich udał się do Biura Rejestracji, które znajdowało się przy placu Armat. Znudzony urzędnik wysłuchał

całej opowieści, wydobył z szafy dokumenty handlowe Drakena, przekreślił na nich jego nazwisko i wpisał na to miejsce nazwisko Barrenta. Barrent zauważył, że robiono to już kilkakrotnie. Wyglądało na to, iż w Tetrahydzie szybko następowały zmiany w interesach.

Okazało się, że został posiadaczem sklepu z odtrutkami przy bulwarze Miotaczy Płomieni nr 3.

Akt własności oficjalnie potwierdzał także nowy status Barrenta jako Wolnego Obywatela. Urzędnik dał mu oznakę jego pozycji, szary pierścień wykonany ze stopu rewolwerowego, i poradził, żeby jak najszybciej przebrał się w strój Obywatela, co powinno mu oszczędzić wielu przykrych nieporozumień.

Po wyjściu z urzędu Hadji rozstali się z nim, życząc mu powodzenia. Barrent natomiast uznał, że pora obejrzeć swą nową własność.

Bulwar Miotaczy Płomieni był krótką przecznicą, łączącą dwie większe ulice. Mniej więcej pośrodku znajdowała się wystawa sklepowa z szyldem, który głosił: **MAGAZYN Z ODTRUTKAMI**. Poniżej mniejszymi literami dodano: **Niezbędne składniki do każdej odtrutki zwierzęcej, roślinnej i mineralnej! Rewelacyjny Zestaw Ratunkowy**

Zrób To Sam! Dwadzieścia trzy odtrutki w jednym kieszonkowym pojemniku.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Za niską ladą stały sięgające sufitu rzędy półek zastawionych buteleczkami, puszkami, kartonami i kanciastymi szklanymi słojami, zawierającymi kawałki jakichś dziwnych liści, gałązek i grzybów. Po lewej stronie lady znajdowała się mała półka z książkami, na której można było zobaczyć takie tytuły, jak: Błyskawiczna diagnoza w przypadkach ostrych zatruc, W rodzinie arszeniku czy Permutacje lulka czarnego.

Było zupełnie jasne, że trucicielstwo odgrywa ważną rolę w codziennym życiu Omegi. Oto sklep — pewnie nie jedyny — którego wyłącznym zadaniem było dostarczanie odtrutek. Barrent zaczął się nad tym zastanawiać i doszedł do wniosku, że odziedziczył interes dziwny, lecz uczciwy. Postanowił przestudiować wszystkie książki i nauczyć się prowadzenia sklepu.

Na zapleczu znajdowało się pomieszczenie mieszkalne z salonem, sypialnią i kuchnią. W jednej z szaf znalazł źle uszyty czarny garnitur przysługujący Obywatelom i natychmiast się przebrał. Z kieszeni więziennego kombinezonu wyjął otrzymany od dziewczyny pistolet, przez chwilę ważył go w ręce, po czym wsunął do kieszeni nowego garnituru. Opuścił sklep i udał się z powrotem do Towarzystwa Ochrony Ofiar.

Drzwi były ciągle otwarte, a na ławce nadal siedziało trzech obdartych mężczyzn. Ale już się nie śmieli. Sprawiali wrażenie wymęczonych długim czekaniem. W przeciwległym końcu pokoju pan Frendlyer urzędował za swoim biurkiem, przeglądając grubą stertę papierów. Po dziewczynie nie było ani śladu.

Barrent podszedł do biurka, a Frendlyer wstał z krzesła, by go powitać.

— Moje gratulacje! — powiedział. — Moje najserdeczniejsze gratulacje, drogi kolego! To był doprawdy wspaniały strzał! I to w pełnym ruchu!

— Dziękuję — odparł Barrent. — Wróciłem tu, ponieważ...

— Chyba się domyślam — przerwał mu Frendlyer. — Przyszedł pan poznać swoje obowiązki i prawa Wolnego Obywatela. Cóż bardziej naturalnego? Jeśli zechce pan usiąść na tamtej ławce, zajmę się panem już za...

— Nie po to tu przyszedłem — powiedział Barrent. — Oczywiście chcę poznać swoje prawa i obowiązki, ale w tej chwili muszę odnaleźć tę dziewczynę.

— Jaką dziewczynę?

— Tę, która siedziała na ławce, kiedy tutaj wszedłem. To ona dała mi broń. Pan Frendlyer sprawiał wrażenie zaskoczonego.

— Obywatelu, chyba pan jest w błędzie — powiedział. — W tym biurze przez cały dzień nie było żadnej kobiety.

— Siedziała na ławce razem z tamtymi trzema. Bardzo ładna, ciemnowłosa dziewczyna. Musiał pan ją zauważyć.

— Z całą pewnością bym ją zauważył, gdyby tylko tu była — odparł Frendlyer, mrugając oczami. — Ale, jak już powiedziałem, progu tego biura nie przekroczyła dzisiaj żadna kobieta.

Barrent spojrzał nań z wściekłością i wyciągnął z kieszeni pistolet.

— No to skąd w takim razie mam to? — spytał.

— Ja go panu pożyczyłem — odparł Frendlyer. — Cieszę się, że udało się panu zrobić z niego tak dobry użytek, ale byłbym wdzięczny, gdyby mi go pan teraz zwrócił.

— Pan kłamie — powiedział Barrent, zaciskając broń mocniej w dłoni. — Spytajmy tamtych.

Podszedł do ławki, a pan Frendlyer podążył tuż za nim. Barrent zwrócił się do mężczyzny, który siedział najbliżej dziewczyny i spytał:

— Dokąd poszła ta kobieta?

Mężczyzna uniósł zasępioną, nie ogoloną twarz.

— O jakiej kobiecie pan mówi, Obywatelu?

— O tej, która siedziała tu na ławce.

— Nikogo nie zauważyłem. Rafael, czy widziałeś tu jakąś babkę?

— Coś ty — odparł Rafael. — A od dziesiątej rano nie ruszyłem się stąd nawet na krok.

— Ja też nikogo takiego nie widziałem — odezwał się trzeci z mężczyzn. — A mam bardzo dobry wzrok. Barrent odwrócił się do Frendlyera.

— Dlaczego wszyscy kłamię? — spytał.

— Nikt z nas nie kłamię, proszę pana. Po prostu mówię prawdę. W tym biurze przez cały dzień nie było żadnej kobiety. Tę broń pożyczyłem panu ja sam, co jest moim przywilejem jako prezesa Towarzystwa Ochrony Ofiar. Byłbym wdzięczny za jej zwrot.

— Nie oddam jej panu — powiedział Barrent. — Zatrzymam ją do czasu, aż znajdę dziewczynę.

— Nie jestem pewien, czy to mądry pomysł — powiedział Frendlyer, po czym szybko dodał: — To znaczy z kradzieżą. W tych warunkach nie zostałaby łatwo wybaczona.

— Zaryzykuję — odparł Barrent, po czym odwrócił się i opuścił siedzibę czcigodnego Towarzystwa.

Rozdział 5

Barrent potrzebował trochę czasu, by móc dojść do siebie po tak gwałtownym włączeniu się w nurt omegańskiego

życia. Wystartował z beznadziejnych pozycji noworodka, po czym, zabijając człowieka, stał się właścicielem sklepu z odtrutkami. Z zapomnianej przeszłości na planecie o nazwie Ziemia katapultowano go w niepewną terażniejszość, do świata zamieszkiwanego przez zbrodniarzy. Zdołał pobieżnie poznać jego złożoną strukturę klasową i otrzeć się o usankcjonowaną prawem instytucję morderstwa. Z zaskoczeniem odkrył, że potrafi dawać sobie radę w trudnych sytuacjach i że zadziwiająco skutecznie posługuje się bronią. Wiedział jednak, że czeka go jeszcze bardzo wiele nowych odkryć. Z pewnością będzie musiał nauczyć się dużo więcej o Omedze, Ziemi i sobie samym. Miał tylko nadzieję, że będzie żył wystarczająco długo, by tych wszystkich odkryć dokonać. Ale wszystko po kolei. Najpierw musi zarobić na życie. A do tego potrzebna mu była wiedza o truciznach i zapobieganiu skutkom ich działania.

Wprowadził się do mieszkania na zapleczu sklepu i wziął się za czytanie książek odziedziczonych po nieboszczyku Drakenie.

Literatura tematu była fascynująca. Znalazł opisy trucizn roślinnych znanych na Ziemi, takich jak wywar z ciemiernika i ciemieżycy czy wyciągi z owoców wilczej jagody lub kory cisu. Poznał początkowe objawy zatrucia szczwołem i opisy końcowych konwulsji. Przeczytał wszystko o kwasie pruskim, otrzymywanym z migdałów, i o digitalinie, uzyskiwanej z naparstnicy. Dowiedział się, jak przerażająco skutecznie działa tojad ze swą śmiercionością zawartością akonitu. Były tam pozycje na temat grzybów takich jak muchomory z rodziny bedłkowatych, nie mówiąc o czysto omegańskich roślinach trujących, jak purpurowieć, lilia kwitnąca czy amortalis.

Lecz trucizny roślinne, choć oszalamiające swą liczebnością, nie wyczerpywały tematu jego studiów. Musiał zgłębić działanie jadu zwierząt lądowych, morskich i ptaków, kilku gatunków niebezpiecznych pajaków, węży, skorpionów i olbrzymich os, a także imponującego wachlarza trucizn nieorganicznych, jak arsenik, związki rtęci i bizmutu. Natrafił na opracowania dotyczące substancji żrących — kwasów azotowego, chlorowodorowego, fosforowego i siarkowego, przeczytał wreszcie wszystko na temat trucizn uzyskiwanych z różnych źródeł, a wśród nich o strychninie, kwasie mrówkowym, hioscyjamine i belladonie. Każda z tych substancji miała jedno lub kilka antidotów. Czytając jednak ich ostrożnie sformułowane opisy, Barrent zaczął podejrzewać, iż często musiały być zupełnie bezużyteczne. By skomplikować wszystko jeszcze bardziej, okazało się, że skuteczność działania antidotum w ogromnej mierze zależy od trafności diagnozy użytej trucizny. Tymczasem symptomy działania jednego jadu były zazwyczaj podobne do objawów zatrucia innym. Wszystkie te problemy rozważał w trakcie swoich studiów. Jednocześnie, ze sporym zdenerwowaniem, zaczął obsługiwać pierwszych klientów. Wkrótce zorientował się, iż znaczna część jego obaw była nieuzasadniona. Chociaż na liście śmiertelnych substancji zalecanych przez Instytut Trucizn znajdowały się dziesiątki pozycji, większość trucicieli trzymała się prostodusznie arseniku lub strychniny. Były tanie, niezawodne i przysparzały wielu cierpień. Kwas pruski miał łatwo wykrywalny zapach, związki rtęci trudno było wprowadzić do organizmu, a środki żrące — choć zachęcająco efektowne w działaniu — mogły się okazać niebezpieczne także dla użytkownika. Tojad był oczywiście

także wspaniały, wilczej jagody nie należało lekceważyć, a i muchomory miały swój własny makabryczny czar. Ale były to trucizny dla starszych, rozporządzających większą ilością wolnego czasu ludzi. Niecierpliwe młode pokolenie — a zwłaszcza kobiety, które stanowiły niemal dziewięćdziesiąt procent wszystkich trucicieli na Omedze — zadowalało się pospolitym arszenikiem lub strychniną, w zależności od wymogów sytuacji i okoliczności.

Omegańskie kobiety były konserwatystkami.

Udoskonalanie sztuki trucicielstwa, któremu nigdy nie ma końca, po prostu ich nie interesowało. Nie obchodziły ich środki: zależało im wyłącznie na osiągnięciu celów — najszybciej i najtaniej jak to możliwe.

Omegańskie kobiety znane były ze swego zdrowego rozsądku. Choć zapaleni teoretycy z Instytutu Trucizn próbowali wprowadzić do sprzedaży mieszaninę Trucizn Kontaktowych czy Zestaw Trzydniowy i ciężko pracowali nad kompleksowymi, zawiłymi procedurami wykorzystującymi jad os, zamaskowane igły i mikroskopijnie perforowane szkło, kobiety rzadko nabierały do tych nowości przekonania. Zwykły arszenik i błyskawiczna w działaniu strychnina nadal pozostawały głównymi pozycjami w obrocie substancjami trującymi. To oczywiście ogromnie uprościło Barrentowi pracę. Proponowana przez niego kuracja — wywoływanie wymiotów, płukanie żołądka i podanie środka neutralizującego — była wystarczająco łatwa w stosowaniu, by się jej nauczyć.

Najwięcej kłopotów przysparzali mu mężczyźni, którzy nie chcieli wierzyć, iż ktokolwiek mógłby im podać truciznę tak banalną, jak arszenik czy strychnina. W takich wypadkach Barrent przepisywał skomplikowaną mieszaninę korzeni, ziół, pędów, liści oraz niewielką

homeopatyczną dawkę trucizny. Lecz i wówczas stosował niezmiennie opróżnienie żołądka, płukanie i środek neutralizujący.

Kiedy już urządził się w mieszkaniu i poczuł nieco pewniej w sklepie, odwiedzili go Danis Foeren i Joe. Foeren znalazł jakieś dorywcze zajęcie w porcie przy rozładowywaniu kutrów rybackich. Joe organizował nocne partyjki pokry dla pracowników tetrahydzkich agend rządowych. Żaden nie uzyskał poważniejszej zmiany statusu. Nie mając na koncie zabójstw, mogli jedynie awansować do rangi Rezydenta II Kategorii. Byli wyraźnie podenerwowani perspektywą spotkania na gruncie towarzyskim Wolnego Obywatela, ale Barrent rozwiał ich obawy. Byli jedynymi przyjaciółmi, jakich miał na Omedze i nie zamierzał ich tracić tylko ze względu na dzielące ich różnice w zajmowanej pozycji społecznej.

Rozmowa z nimi nie dostarczyła mu jednak żadnych interesujących informacji na temat praw i zwyczajów Tetrahydy. Nawet Joe nie był w stanie wyciągnąć niczego konkretnego od swych przyjaciół pracujących dla rządu. Na Omedze prawo trzymane było w ścisłej tajemnicy. Ci, którzy przebywali tam dłużej, mieli przewagę nad nowo przybyłymi dzięki znajomości przepisów. Zasada ta była sankcjonowana i umacniana doktryną nierówności wszystkich ludzi, która leżała u podstaw całego systemu prawnego Omegi. Dzięki planowej nierówności i wymuszonej ignorancji władza i wysoka pozycja społeczna pozostawały w rękach mieszkańców z najdłuższym stażem. Oczywiście wykluczenie jakiegokolwiek awansu społecznego było niemożliwe. Ale awans ten można było opóźnić, utrudnić i uczynić nadzwyczaj niebezpiecznym. Stąd też sposób, w jaki poznawało się prawa i zwyczaje Omegi, opierał się na ryzykownej metodzie prób i błędów.

Pomimo to, iż sklep pochłaniał mu większość czasu, Barrent nie przestawał szukać dziewczyny. W dalszym ciągu jednak nie udało mu się natrafić na bodaj najmniejszy ślad, który świadczyłby o tym, iż kiedykolwiek istniała.

Zaprzyjaźnił się z właścicielami obu sąsiadujących sklepów. Pierwszy z nich, Demond Harrisbourg, był młodym człowiekiem o wesołym usposobieniu i sumiastych wąsach; prowadził sklep spożywczy. Było to zajęcie bardzo przyziemne i dość absurdalne, ale — jak tłumaczył Harrisbourg — jeść muszą nawet kryminaliści. Stąd zaś wynikało zapotrzebowanie na rolników, przetwórców, producentów opakowań i sklepy z żywnością. Harrisbourg utrzymywał, że jego specjalność w niczym nie ustępowała bardziej typowym dla Omegi zajęciom skupionym wokół gwałtownej śmierci. A poza tym wuj żony Harrisbourga był ministrem robót publicznych. Z jego pomocą Harrisbourg miał nadzieję uzyskać patent na morderstwo. Posiadając ten niezwykle pożyteczny dokument mógłby dokonać swego sześciomiesięcznego zabójstwa i awansować do rangi Uprzywilejowanego Obywatela. Barrent skinął ze zrozumieniem głową. Zaczai się jednak zastanawiać, czy żona Harrisbourga, chuda, niecierpliwa kobieta, nie zdecyduje się go wcześniej otruć. Sprawiała wrażenie niezbyt zadowolonej z męża, a rozwody na Omedze były zabronione.

Drugim sąsiadem Barrenta był Tem Rend, wesoły, kościsty mężczyzna tuż po czterdziestce. Od lewego ucha do kącika ust miał bliznę poparzeniową, pamiątkę po jakimś ufnym w swe siły, żądnym szybkiej zmiany statusu aspirancie. Aspirant źle jednak trafił. Tem Rend był właścicielem sklepu z bronią, nieustannie trenował i zawsze nosił przy sobie próbkę swego towaru. Według naocznych świadków

obronił się pokazowe. Oczywiście zabił swego przeciwnika na miejscu. Marzeniem Tema było członkostwo Cechu Morderców. Jego podanie o przyjęcie do tej starej i jakże pożytecznej organizacji oczekiwało w kolejce na rozpatrzenie i istniała szansa, że Tem zostanie do niej przyjęty jeszcze w tym miesiącu.

Barrent kupił u niego pistolet. Za poradą Renda wybrał promiennik Jamiasona-Tyra. Był szybszy i celniejszy niż jakakolwiek standardowa broń palna, a emitowana przezeń wiązka promieni nie ustępowała siłą rażenia kuli sporego kalibru. Co prawda nie miał on rozrzutu termicznych pistoletów używanych przez Hadjich, których średnica pola śmiertelnego rażenia wynosiła piętnaście centymetrów, ale promienniki o dużym rozrzucie zachęcały do lekceważenia precyzji przy oddawaniu strzału. Stanowiły one toporną, niechlujną broń, prowokującą do niechlujstwa. Z pistoletu termicznego mógł strzelać dosłownie każdy, natomiast, by skutecznie posługiwać się promiennikiem Jamiasona-Tyra, trzeba było nieustannie trenować. Co zresztą opłacało się z nawiązką. Dobry strzelec uzbrojony w promiennik reprezentował sobą więcej niż dwóch właścicieli pistoletów termicznych.

Barrent wziął sobie te rady do serca, pamiętając, że pochodzą od kandydata na członka Cechu Morderców i właściciela sklepu z bronią. Spędzał długie godziny w zamienionej na strzelnicę piwnicy pod sklepem Renda, trenując refleks, celność i przyzwyczajając się do kabury typu „jeden ruch”.

Trzeba było wiele zrobić i mnóstwo rzeczy się nauczyć tylko po to, by zachować życie. Uważał jednak, że każda ciężka praca opłaci się, jeżeli prowadzi do osiągnięcia celu, który jest tego wart. Pozostawało mu mieć nadzieję, że w

najbliższej przyszłości nie wydarzy się nic takiego, co przeszkodziłoby mu w nadrobieniu zaległości w stosunku do starych mieszkańców Omegi.

Jednak życie na Omedze nigdy nie szczędziło niespodzianek. Pewnego późnego popołudnia tuż przed zamknięciem sklepu zjawił się dość niezwykły klient. Był to krępy mężczyzna w wieku pięćdziesięciu kilku lat o śniadej, surowej twarzy. Miał na sobie szkarłatną szatę, sięgającą kostek, i skórzane sandały. Przepasany był sznurem z nie wyprawionej skóry, z którego zwisała mała czarna książeczka i sztylet z czerwoną rękojeścią. Z całej postaci biła niezwykła siła i władczość. Barrent nie potrafił w żaden sposób określić jego statusu.

— Właśnie zamykałem, proszę pana — powiedział do nieznajomego. — Ale jeżeli chciałby pan coś kupić...

— Nie przyszedłem tutaj kupować — odparł niezwykły gość, zezwalając sobie na cień uśmiechu. — Przyszedłem sprzedawać.

— Sprzedawać?

— Jestem kapłanem — odparł mężczyzna. — Pan jest nowy w mojej parafii. Nie widziałem pana w czasie moich mszy.

— Nie wiedziałem nic o... Kapłan przerwał mu ruchem ręki.

— Żadne z praw religijnych ani świeckich nie zezwala na tłumaczenie niewiedzą niedopełniania obowiązków. Co więcej, ignorancja może podlegać karze jako akt rozmyślnego zaniedbania, zgodnie z „Ustawą o całkowitej odpowiedzialności osobistej” z roku 23, nie mówiąc już o postanowieniach Mniejszego Kodycylu. Niemniej jednak — kapłan znów nieznacznie się uśmiechnął — na razie nie ma jeszcze mowy o wymierzaniu panu kary.

— Miło mi to słyszeć, proszę pana — powiedział Barrent.

— Należy się do mnie zwracać „Wuju” — pouczył go kapłan. — Jestem Wuj Ingemar. A przyszedłem do pana, by porozmawiać o prawowiernej religii Omegi, oddającej cześć boską temu transcendentnemu duchowi czystego Zła, który jest naszym natchnieniem i pociechą.

— Będę zachwycony, mogąc poznać prawdy religii Zła. Wuju — odparł Barrent. — Może przejdziemy do salonu?

— Ależ oczywiście, Siostrzeńcze — powiedział kapłan i ruszył za Barrentem do mieszkania na zapleczu sklepu.

Rozdział 6

— Zło — zaczął kapłan, kiedy już usadowił się wygodnie w najlepszym fotelu Barrenta — to ta tkwiąca w nas moc, która inspiruje akty siły i wytrzymałości. Ubóstwienie Zła jest' w swej istocie ubóstwieniem samego siebie, stąd też stanowi jedyne prawdziwe ubóstwianie. Wielbiona przez nas nasza własna osoba jest idealną istotą społeczną: człowiekiem zadowolonym ze swego miejsca w społeczności, a przecież gotowym do pochwycenia każdej nadarzającej się okazji awansu; człowiekiem, który z godnością spotyka śmierć i który zabija bez poniżającej litości. Zło jest okrutne, gdyż jest prawdziwym odzwierciedleniem nieczułego i bezlitosnego wszechświata. Zło jest wieczne i niezmienne, choć objawia się nam w licznych formach niestałego życia.

— Może odrobinę wina, Wuju? — zapytał Barrent.

— Dziękuję. To miło, że o tym pomyślałeś — odparł Wuj Ingemar. — Jak interesy?

— Nie najgorzej. Chociaż w tym tygodniu ruch jest jakby nieco mniejszy.

— Dziś ludzie nie przejawiają już takiego zainteresowania trucicielstwem — powiedział Wuj Ingemar, pociągając w zadumie łyk ze swego kieliszka. — To nie to, co w czasach mojej młodości, kiedy jako świeżo pozbawiony święceń

kapłan zostałem tu zesłany z Ziemi. Wróćmy jednak do tematu. Wyjaśniłem ci, czym jest Zło.

— Tak, Wuju.

— Otóż wielbimy Zło pod postacią Szatana, obdarzonego rogiami straszliwego upióra czasu dnia i nocy. W Szatanie odnajdujemy siedem grzechów głównych, wszystkie czterdzieści zbrodni i sto jeden występków. Nie ma takiego przestępstwa, którego nie popełniłby Szatan nienagannie, jak przystoi jego naturze. Dlatego my, istoty niedoskonałe, wzorujemy się na jego niedoskonałości. I czasami Szatan nagradza nas za to, ukazując się nam w całym straszliwym pięknie swej ognistej postaci. Tak, Siostrzeńcze, dostąpiłem zaszczytu oglądania Go na własne oczy. Dwa lata temu pojawił się podczas zakończenia Igrzysk, a i rok wcześniej także go widziano.

Kapłan popadł na chwilę w zadumę nad boskim objawieniem, po czym dodał:

— Jako że Państwo jest według nas najwspanialszym ucieleśnieniem ludzkiej zdolności do czynienia Zła, czcimy także i Państwo jako istotę nadludzką, choć jeszcze nie boską.

Barrent skinął głową. Wszystkimi siłami powstrzymywał się przed zaśnięciem. Niski, monotony głos Wuja Ingemara, opowiadającego o rzeczy tak powszedniej jak Zło, działał niczym silny środek nasenny. Opadające powieki ciążyły mu jak ołów.

— Można byłoby zapytać — ciągnął jednostajnie Wuj Ingemar — dlaczego, skoro Zło jest najwspanialszym osiągnięciem natury człowieka, Szatan pozwala, by we wszechświecie istniało jakiegokolwiek Dobro? Problem Dobra zaprzętał nieoświeconych przez całe wieki. Dziś wiemy, że odpowiedź na to pytanie jest niezwykle prosta. Zaraz ci ją przedstawię.

— Tak, Wuju? — powiedział Barrent, szczypiąc się ukradkiem w wewnętrzną stronę uda w obawie, że lada chwila zaśnie.

— Ale najpierw określmy dokładnie, o czym tu mówimy. Zbadajmy naturę Dobra. Śmiało i bez lęku spójrzmy naszemu przeciwnikowi w twarz, by odczytać z niej prawdziwe rysy charakteru.

— Oczywiście — przytaknął Barrent, zastanawiając się, czy nie pomogłoby mu otwarcie okna. Powieki ciążyły mu nieznośnie. Przetarł je energicznie próbując się skoncentrować.

— Dobro jest stanem iluzji — podjął Wuj Ingemar równym, monotonnym głosem - który przypisuje naturze człowieka nie istniejące cechy, takie jak altruizm, pokora czy współczucie. Skąd wiemy, że Dobro jest iluzją? Ponieważ we wszechświecie istnieje tylko Szatan i człowiek, a czić Szatana to czić najdoskonalszy wymiar samego siebie. Stąd też, skoro już dowiedliśmy, że Dobro jest iluzją, konsekwentnie uznajemy jego atrybuty za nie istniejące. Rozumiesz? Barrent nie odpowiedział.

— Czy to dla ciebie zrozumiałe? — spytał kapłan nieco ostrzej.

— Eee? — ocknął się Barrent, który przysnął z otwartymi oczami. — Owszem, Wuju, rozumiem — powiedział, gdy wreszcie udało mu się zmusić do oprzytomnienia.

— Doskonale. To rozumiejąc, pytamy, dlaczego Szatan zezwala, by we wszechświecie Zła istniała choćby iluzja Dobra? Odpowiedź znajdujemy w Prawie Koniecznych Przeciwieństw. Albowiem jakże moglibyśmy rozpoznawać Zło jako takie, gdybyśmy nie mieli go z czym porównać? Najlepszego porównania dostarcza przeciwstawieństwo. A przeciwstawieństwem Zła jest Dobro. — Kapłan

uśmiechnął się triumfalnie. — To zupełnie proste. Nie pozostawia żadnych wątpliwości, nieprawdaż?

— Oczywiście, Wuju — odparł Barrent. — Może jeszcze trochę wina?

— Tylko malutką kropelkę — powiedział kapłan.

Jeszcze przez ponad dziesięć minut opowiadał Barrentowi o wrodzonym i wspaniałym Źle właściwym dzikim bestiom pól i lasów, radząc mu, by kształtował swe zachowanie opierając się na zwyczajach tych prostodusznych zwierząt. W końcu wstał i zaczął zbierać się do wyjścia.

— Cieszę się, że mogliśmy odbyć tę miłą pogawędkę — powiedział, przyjaźnie potrząsając dłonią Barrenta. —

Czy mogę liczyć na twój udział w naszej poniedziałkowej mszy nocnej?

— Mszy?

— A jakżeby inaczej — powiedział Wuj Ingemar. —

Każdego poniedziałku, o północy, odprawiamy Czarną Mszę w Małym Uroczysku przy Skwerze Sabatów. Po zakończeniu nabożeństwa Kółko Pań zaprasza zwykle na małą przekąskę, po której urządzamy wspólną zabawę z tańcami i śpiewami. Zawsze jest bardzo wesoło. —

Uśmiechnął się szeroko. — Widzisz, wielbienie Zła może być nadzwyczaj przyjemne.

— Jestem tego pewien — odparł Barrent. — Będę na pewno, Wuju.

Odprowadził kapłana do drzwi. Kiedy je zaniknął i zarygłował, zaczął uważnie roztrząsać to, co usłyszał od Ingemara. Nie miał żadnych wątpliwości, że obecność na mszy uważano za pożądaną, wręcz obowiązkową.

Pozostało mu mieć nadzieję, że Czarna Msza nie będzie tak piekielnie nudna, jak wykład Wuja Ingemara.

To było w piątek. Przez następne dwa dni Barrent był mocno zajęty. Otrzymał nową dostawę ziół od swego

agenta z dystryktu Krwawy Loch. Sortowanie i klasyfikowanie zajęło mu niemal całą sobotę, a poukładanie wszystkiego w odpowiednich słojach, pudłach i pojemnikach znaczną część niedzieli.

W poniedziałek, kiedy wracał po obiedzie do sklepu, wydało mu się, iż zobaczył tamtą dziewczynę. Ruszył za nią szybkim krokiem, ale zgubił ją w tłumie.

Po powrocie do sklepu znalazł wrzucony przez szparę pod drzwiami list. Było to zaproszenie z pobliskiego Boutique'u Marzeń.

Szanowny Obywatelu — czytał — korzystamy z tej okazji, by powitać Pana w naszej dzielnicy i zaproponować nasze usługi, czyli najdoskonalszą projekcję snów i marzeń na Omedze.

Stawiamy do Pana dyspozycji wszystkie rodzaje i gatunki snów oraz marzeń, i to po zdumiewająco niskich cenach. Naszą specjalnością są wskrzeszające pamięć seanse senne o Ziemi. Może Pan mieć absolutną pewność, że Pański Boutique Marzeń oferuje wyłącznie najdoskonalsze formy zastępczego życia.

Jako Wolny Obywatel zechce Pan z pewnością skorzystać z naszych usług. Czy wolno nam mieć nadzieję, że uczyni Pan to w ciągu najbliższego tygodnia?

Właściciele

Odłożył list na biurko. Nie miał pojęcia, co to takiego ten Boutique Marzeń ani w jaki sposób te marzenia się wytwarza. Nie pozostało mu nic innego, jak po prostu sprawdzić. Bo choć zaproszenie sformułowano ogromnie kurtuazyjnie, to jednak dźwięczała w nim pewna nuta nakazu. Bez wątplenia wizyta w Boutique'u Marzeń należała do obowiązków Wolnego Obywatela.

Choć oczywiście obowiązek ten mógł być także przyjemnością. Już sama nazwa, „Boutique Marzeń”,

brzmiała bardzo zachęcająco. A przywracający pamięć sen o Ziemi wart byłby niemal każdej ceny, której właściciele zechcieliby zażądać.

Ale to musiało na razie poczekać. Tego wieczoru odprawiano Czarną Mszę i obecność na niej miała zdecydowane pierwszeństwo.

Zdecydował się wyjść z domu już o jedenastej wieczorem. Do rozpoczęcia mszy pozostawała jeszcze godzina, ale chciał przedtem pospacerować trochę po Tetrahydzie. Rozpoczął przechadzkę w jak najlepszym samopoczuciu. Lecz irracjonalny i zupełnie nieoczekiwany zbieg wydarzeń tak charakterystyczny dla życia na Omedze sprawił, że nim dotarł do Małego Uroczyska przy Skwerze Sabatów, omal nie zginął.

Rozdział 7

Kiedy rozpoczynał swój spacer, noc zrobiła się niezwykle ciepła i tak parna, że trudno było oddychać. Powietrza zalegającego pogrążające się w mroku ulice nie poruszał najłżejszy nawet podmuch wiatru. Choć Barrent miał na sobie jedynie ażurową czarną koszulkę, szorty, pas z bronią i sandały, czuł się, jakby zawinięto go w gruby koc. Większość mieszkańców Tetrahydy, poza tymi, którzy dotarli już do Uroczyska, schroniła się w chłodnym zaciszu swych piwnic. Ciemne ulice były niemal zupełnie wyludnione.

Nie przerywał spaceru, ale jeszcze bardziej zwolnił kroku. Nieliczni przechodnie, na których natknął się po drodze, biegli do domów. W upale, gdy nawet spacerować było trudno, ten bezgłośny, zawzięty bieg ostatkiem sił miał w sobie coś z panicznej ucieczki. Barrent próbował dowiedzieć się, o co chodzi, ale nikt nie chciał się

zatrzymać. Jakiś starszy mężczyzna krzyknął tylko przez ramię:

— Schowaj się gdzieś, durniu!

— Dlaczego? — zawołał za nim Barrent. Ale nieznajomy burknął coś niezrozumiale i pobiegł dalej.

Barrent szedł dalej przed siebie, nerwowo przebierając palcami po kolbie promiennika. Wyraźnie coś tu było nie tak, ale nie miał najmniejszego pojęcia co. Jego najbliższym schronieniem było już teraz Uroczysko, od którego dzielił go jeszcze prawie kilometr. Wydawało się, że najsensowniej będzie iść w tamtą stronę, pozostając cały czas w pełnym pogotowiu, by nie dać się niczemu zaskoczyć.

Po kilku minutach był już zupełnie sam w szczelnie zaryglowanym mieście. Przeszedł na środek ulicy, odpiął kaburę

promiennika i przygotował się na atak, mogący nastąpić z każdej strony. Może to było jakieś szczególne święto, takie jak Dzień Lądowania? Może tej nocy ofiarami mieli być Wolni Obywatele? Na Omedze wszystko wydawało się możliwe.

Sądził, że jest przygotowany na każdą ewentualność. A jednak, kiedy nastąpił atak, zaskoczenie było zupełne. Parne powietrze poruszył leciutki podmuch wiatru. Ucichł niemal natychmiast, lecz już po chwili powrócił, tym razem znacznie mocniejszy, niosąc wyraźną ochłodę rozpalonym ulicom. Wiał od gór, położonych w głębi lądu, wymiatając z Tetrahydy wilgotny żar niczym zeschnięte liście. Mokre plamy potu na piersiach i plecach Barrenta niemal natychmiast zaczęły wysychać.

Przez kilka minut klimat Tetrahydy był taki, jaki tylko można sobie wymarzyć.

Tymczasem temperatura ciągle spadała.

Spadała nieprawdopodobnie szybko. Następny podmuch wiatru z odległych górskich zboczy był już bardzo zimny, niemal lodowaty. Temperatura obniżyła się o następne pięć stopni, z dwudziestu do piętnastu.

To zupełnie absurdalne, pomyślał Barrent. Chyba powinienem schronić się w Uroczysku.

Ruszył szybszym krokiem, a temperatura spadała dalej.

Chwilę później było już dziesięć, pięć, zero stopni. Na ulicach pojawiły się pierwsze lśniąca ślady szronu.

To niemożliwe, żeby ochłodziło się jeszcze bardziej, pomyślał Barrent.

Okazało się jednak, że możliwe. Nad dachami zaryczał wściekły zimowy wichur i temperatura spadła do kilku stopni poniżej zera. Wilgoć w powietrzu zaczęła skraplać się i zamarzać, zmieniając się w deszcz ze śniegiem.

Przemarznięty do szpiku kości, puścił się biegiem pustymi ulicami, targany na boki porywami wichru, osiagającego już siłę huraganu. Ulice pokryła cienka warstwa lodu i zrobiło się niebezpiecznie ślisko. Po drugim upadku musiał zwolnić, by staranniej wybierać miejsca, gdzie stawiał stopy. Tymczasem temperatura nadal spadała, a wiatr ryczał i szarpał nim, jak rozwścieczona bestia.

Dostrzegł promień światła, dobiegający zza pozamykanych na glucho okiennic. Zatrzymał się i zaczął z całych sił walić w nie pięściami, ale nie odpowiedział mu nawet najlżejszy szmer. Uzmysłowił sobie, że przecież mieszkańcy

Tetrahydy nigdy nikomu nie pomagali — im więcej ich ginęło, tym większe szansę przeżycia mieli pozostali. Pobiegł więc dalej, na zmarzniętych, pozbawionych czucia drewnianych nogach.

Wiatr świszczal mu w uszach, a grad wielkości pięści dorosłego mężczyzny bombardował ziemię. Barrent był już zbyt wyczerpany, żeby biec. Stać go było jedynie na

powolne posuwanie się przez skuty lodami biały świat w nadziei, że jednak uda mu się dotrzeć do Uroczyska. Szedł tak całe godziny, a może lata. Na jednym ze skrzyżowań minął ciała dwóch mężczyzn, oparte o ścianę i pobielone szronem. Zatrzymali się i zamarli na śmierć. Jeszcze raz zmusił się do biegu. Kolka szarpała go w boku niczym rana od sztyletu, a mróz pełzył coraz wyżej wzdłuż rąk i nóg. Wkrótce osiągnie pierś, i to będzie koniec. Lawina gradu zupełnie go oszołomiła. Nie wiedział nawet, jak to się stało, że nagle znalazł się na lodowatej ziemi, przyciskany potwornymi porywami wichru odbierającymi jego ciało znacznie więcej ciepła, niż było ono w stanie wytworzyć.

Kilkadziesiąt metrów dalej migotało małe czerwone światełko Uroczyska. Zaczął czołgać się w jego kierunku, zupełnie mechanicznie i bez jakiegokolwiek nadziei, że uda mu się tam dotrzeć. Pełzył tak całą wieczność, a przyzywające go światełko ciągle pozostawało w tej samej odległości.

Ale pełzył dalej, aż w końcu znalazł się przy drzwiach. Ostatnim wysiłkiem woli wstał i chwycił za klamkę. Drzwi były zamknięte.

Zastukał w nie kilka razy omdlałymi rękami. Po chwili w drzwiach otworzyło się małe okienko. Jakiś mężczyzna gapił się nań przez moment, po czym okienko zatrzęsęło się. Czekał na otwarcie drzwi. Ale drzwi się nie otwierały. Mijały całe minuty, a one w dalszym ciągu były zamknięte. Na co oni tam czekają? O co chodzi? Spróbował jeszcze raz zastukać, lecz stracił równowagę i upadł na ziemię. Z największym wysiłkiem przekręcił się na plecy, spojrzał z rozpaczą na zaryglowane wrota i w tym momencie stracił przytomność.

Kiedy przyszedł do siebie, stwierdził, że leży na kanapie. Dwóch mężczyzn masowało mu ręce i nogi, a pod sobą czuł ciepło termoforów. Dopiero po chwili dostrzegł szeroką, smagłą twarz Wuja Ingemara, który z niepokojem mu się przyglądał.

— Lepiej? — spytał Wuj Ingemar.

— Chyba tak — odparł Barrent. — Dlaczego otwarcie drzwi zabrało wam aż tyle czasu?

— O mały włos w ogóle byśmy ich nie otworzyli — powiedział kapłan. — To sprzeczne z prawem pomagać nieznanym w opałach. A ponieważ ciągle jeszcze nie zostałeś przyjęty do naszego zgromadzenia, formalnie biorąc byłeś dla nas obcy.

— To dlaczego w takim razie mnie wpuściliście?

— Mój asystent zauważył, że mamy równą liczbę wiernych. My natomiast musimy mieć liczbę nieparzystą, najlepiej kończącą się na „3”. Tam zaś, gdzie prawo świeckie staje w konflikcie z nakazem religii, prawo świeckie musi ustąpić. Wpuściliśmy cię zatem wbrew wyraźnym zarządzeniom władz.

— To jakieś absurdalne zarządzenia — powiedział Barrent.

— Niezupełnie. Jak większość praw Omegi mają one na celu zapobieganie przyrostowi ludności. Widzisz, Omega jest szczególnie nieurodzajną planetą. Stały napływ nowych więźniów wywołuje utrzymujące się przeludnienie z ogromną szkodą dla tych mieszkańców, którzy przybyli tu wcześniej. Poszukuje się zatem dróg i metod zrównoważenia napływu deportowanych z Ziemi.

— To nie fair — powiedział Barrent.

— Zmienisz zdanie, kiedy tu trochę pomieszkasz — odparł Ingemar. — A sądząc po tym, jaki jesteś twardy, pomieszkasz tu dość długo.

— Może — mruknął Barrent. — Ale co się właściwie stało? W ciągu piętnastu minut temperatura musiała spaść o jakieś pięćdziesiąt stopni.

— Dokładnie rzecz biorąc, o pięćdziesiąt osiem — powiedział Wuj Ingemar. — To zupełnie proste. Omega krąży po dość dziwacznej orbicie wokół systemu dwóch gwiazd. Dodatkowe zakłócenie wywołuje, jak mi mówiono, rzadko spotykane ukształtowanie jej powierzchni, a konkretnie silnie asymetryczne rozmieszczenie mórz i łańcuchów górskich. W rezultacie panuje tu jednorodny, fatalny klimat, charakteryzujący się raptownymi, bardzo dużymi zmianami temperatur.

— Ustalono, że warunki panujące na Omedze stanowią dolny limit możliwości zasiedlenia bez konieczności budowania całkowicie sztucznego środowiska — wtrącił pomocnik kapłana. — Gdyby skoki temperatury były choć trochę gwałtowniejsze, nikt nie zdołałby tego przeżyć.

— To idealna planeta karna — powiedział z dumą Wuj Ingemar. — Doświadczeni mieszkańcy wyczuwają, kiedy ma nastąpić zmiana temperatury, i nie opuszczają wtedy domów.

— Ta planeta jest... piekielna — odparł Barrent, nie znajdując bardziej odpowiedniego słowa.

— To niezwykle trafne określenie — powiedział kapłan. — Ta planeta jest rzeczywiście piekielna i dlatego też stanowi idealne miejsce dla wyznawców kultu Szatana. Ale skoro czujesz się już lepiej, Obywatelu Barrent, to może rozpoznelibyśmy wreszcie naszą mszę?

Poza lekkim mrowieniem odmrożonych rąk i nóg, nic Barrentowi nie dolegało. Skinął głową i ruszył za kapłanem i resztą wiernych do głównej sali.

Po tym, co przeżył, Czarna Msza nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. Podczas gdy Wuj Ingemar

wygłaszał kazanie o konieczności codziennego potwierdzania wiary wszelkimi rodzajami złych uczynków, Barrent siedząc na wygrzanej ławce szybko zapadł w drzemkę.

Wielbienie Zła nie powinno ograniczać się jedynie do poniedziałkowych nocy, mówił Wuj Ingemar. Wręcz przeciwnie! Znajomość zła i jego praktykowanie powinny towarzyszyć wszystkim wiernym w ich codziennym funkcjonowaniu. Nie każdemu jest dane zostać wielkim grzesznikiem, lecz nikogo nie powinno to zniechęcać. Drobne złe uczynki, popelniane przez całe życie, gromadzą się w grzeszną całość ogromnie miłą Szatanowi. Nikt nie powinien zapominać, że najwięksi z grzeszników, a nawet niektórzy z demonicznych świętych, zaczęli bardzo skromnie. Czyż Thrastus nie zaczął jako skromny sklepikarz, oszukujący swych klientów na porcjach ryżu? Kto by się spodziewał, że z tego prostego człowieka wyrośnie wielki Czerwony Rzeźnik z alei Ciernistej Grobli? Komu przyszłoby do głowy, że doktor Louen, syn dokera, stanie się pewnego dnia największym w świecie autorytetem w dziedzinie praktycznego wykorzystania tortur? Wytrwałość i posłuszeństwo pozwoliło tym ludziom pokonać wewnętrzne przeszkody i osiągnąć wybitną pozycję prawej ręki Szatana. A to dowodzi, ciągnął Wuj Ingemar, że Zło służy w jednakowej mierze biednym i bogatym.

Na tym zakończył kazanie. Barrent ocknął się na chwilę, kiedy wniesiono i odsłonięte przed czcigodnym zgromadzeniem uświęcone symbole: sztylet o czerwonej rękojeści i gipsową ropuchę. Potem znów pogrążył się w drzemce, ukołysany powolnym wykreślaniami magicznego pentagonu.

Wreszcie msza zaczęła zbliżać się do końca. Odczytano imiona

oredowniczych demonów Zła: Baala, Forkisa, Buera, Marchociasa, Astarotte i Behemota. Modlono się o ustrzeżenie przed wprywami Dobra. Wuj Ingemar przeprosił zebranych za brak dziewicy do złożenia w ofierze na Czerwonym Ołtarzu.

— Nasze fundusze były zbyt skromne — wyjaśnił — byśmy mogli pozwolić sobie na zakup dziewicy z rządowej rezerwy peonów. Mam jednak nadzieję, że już w przyszły poniedziałek uda nam się wypełnić wszystkie nakazy liturgii. A teraz mój pomocnik przejdzie między wami... Pomocnik obszedł zgromadzonych z czarno obrzeżoną tacą. Datek Barrenta, wzorem pozostałych wiernych, był bardzo hojny. Uznał, że nierozsądnie byłoby postąpić inaczej. Wuj Ingemar był wyraźnie poirytowany brakiem dziewicy na ofiarę. Jeszcze trochę i mogłoby mu przyjść do głowy, by złożyć w ofierze jednego z wiernych, bez względu na to, czy był dziewicą, czy nie.

Nie miał jednak ochoty pozostać na wspólne śpiewy i tańce. Kiedy msza dobiegła końca, wytknął ostrożnie głowę na dwór. Temperatura podniosła się już do dwudziestu kilku stopni, a lód i szron stopiły się, zmieniając w połyskliwe kałuże. Wymienił mocny uścisk dłoni z kapłanem i pospieszył do domu.

Rozdział 8

Miał dość szoków i niespodzianek, dostarczanych przez Omegę. Postanowił trzymać się swojego sklepu, zająć wyłącznie interesami i czujnie wystrzegać wszelkich kłopotów. Powoli jego wygląd stawał się typowy dla mieszkańców Omegi: podejrzliwe, rozbiegane spojrzenie, dłoń błędząca zawsze gdzieś w pobliżu kolby promiennika,

nogi gotowe rzucić się do biegu. Tak jak oni rozwinął w sobie szósty zmysł — poczucie niebezpieczeństwa.

Nocami po zamknięciu i zaryglowaniu drzwi i okien, po włączeniu potrójnego systemu alarmowego, kładł się na łóżku, próbując przywołać wspomnienia z Ziemi. Sondując zasnutą mgłą labirynty swej pamięci, wyławiał z nich dręczące ślady i majaki, jakieś wycinki obrazów. Ogromna autostrada, zataczająca łuk w stronę słońca; fragment wielkiego, wielopoziomowego miasta; zbliżenie obłego kadłuba kosmicznego statku. Lecz obrazy te pozbawione były jakiegokolwiek spójności w czasie i trwały ledwie ułamki sekund, po czym znikaly bez śladu.

W sobotę Barrent spędził wieczór z Joe'em, Danisem Foerenem i swoim sąsiadem, Temem Rendem. Partyjki pokry, które prowadził Joe, cieszyły się ogromnym powodzeniem i przynosiły mu wystarczające dochody, by stać go było na opłacenie łapówek i uzyskanie w ten sposób statusu Wolnego Obywatela. Foeren by! na to zbyt prostoduszny i szczery — pozostał na poziomie Rezydenta. Ale Tem obiecał, że weźmie wielkiego fałszerza na pomocnika, jeśli tylko Cech Morderców pozytywnie rozpatrzy jego podanie.

Wieczór rozpoczął się zupełnie sympatycznie, ale zakończyła go, jak zwykle, kłótnia na temat Ziemi.

— Słuchajcie — powiedział Joe — przecież wszyscy wiemy, jak Ziemia wygląda. To kompleks gigantycznych pływających miast. Zbudowano sztuczne wyspy na różnych oceanach...

— Nie, miasta stoją na lądzie — powiedział Barrent.

— Pływają po wodzie — upierał się Joe. — Ludzie na Ziemi wrócili do mórz. Każdy ma specjalne urządzenie do oddychania tlenem z morskiej wody. Łądów w ogóle już się

nie używa. Wszystkiego dostarczają morza i nie ma potrzeby...

— Nieprawda — przerwał mu Barrent. — Pamiętam ogromne miasta i one znajdowały się na lądzie...

— Obu wam się coś pomieszało — odezwał się Foeren. — Po co Ziemi miasta? Pozbyła się ich już setki lat temu. Dziś Ziemia wygląda jak wielki park. Każdy ma własny dom i kilka akrów ogrodu. Sprawiono, że odrosły wszystkie stare dżungle i puszcze. Ludzie współżyją z przyrodą, zamiast próbować ją ujarzmić. Nie mam racji, Tem?

— Prawie, ale niezupełnie — odparł Tem Rend. — Miasta nadal istnieją, lecz pod ziemią. Są tam olbrzymie podziemne fabryki i całe kompleksy wytwórcze. Natomiast reszta wygląda tak, jak mówił Foeren.

— Nie ma już żadnych fabryk — upierał się Foeren. — Nie są już nikomu potrzebne. Wszystko, czego człowiek zapagnie, może być wytworzone za pomocą koncentracji myśli.

— Mówię wam, że pamiętam pływające miasta — obstawał przy swoim Joe. — Ja sam mieszkałem w sektorze Nimue na wyspie Pazyfae.

— I uważasz, że to czegokolwiek dowodzi? — spytał Rend.

— Ja pamiętam, że pracowałem na osiemnastym podziemnym poziomie Nueva Chicaga. Moja norma pracy wynosiła dwadzieścia dni w roku. Resztę czasu spędziłem na powierzchni, wędrując po lasach i...

— Mylisz się, Tem — przerwał mu Foeren. — Nie ma żadnych podziemnych poziomów. Dokładnie sobie przypominam, że mój ojciec był Regulatorem trzeciej kategorii. Moja rodzina co roku wędrowała całe setki kilometrów. Kiedy potrzebowaliśmy czegoś, mój ojciec po prostu to wymyślał. Obiecał, że pokaże mi, jak to się robi, ale chyba nigdy do tego nie doszło.

— No cóż — powiedział Barrent — kilku z nas musi mieć fałszywe wspomnienia.

— To oczywiste — zgodził się Joe. — Problem tylko w tym, kto z nas pamięta prawdę.

— Nigdy się tego nie dowiemy — mruknął Rend. — Chyba że uda nam się wrócić na Ziemię.

To zakończyło dyskusję.

Pod koniec tygodnia Barrent otrzymał następne zaproszenie do Boutique'u Marzeń, tym razem sformułowane znacznie mniej kurtuazyjnie. Zdecydował, że nie może dłużej zwlekać z wypełnieniem tego obowiązku. Spojrzał na termometr. Okazało się, że temperatura podniosła się do trzydziestu sześciu stopni. Mimo to, bogaty w poprzednie doświadczenie, zabrał ze sobą niewielką torbę pełną zimowej odzieży.

Boutique Marzeń mieścił się przy ekskluzywnym bulwarze Śmierci. Barrent wszedł do środka i znalazł się w małej, wystawnie urządzonej poczekalni. Młody, przylizany mężczyzna siedzący za biurkiem na wysoki połysk obdarzył go sztucznym uśmiechem.

— Czym mogę służyć? — spytał. — Nazywam się Nomis J. Arkdragen. Jestem zastępcą dyrektora do spraw marzeń sennych.

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś na temat waszej działalności — powiedział Barrent. — W jaki sposób wywołujecie sny, jakie sny i tak dalej.

— Oczywiście — powiedział Arkdragen. — Świadczone przez nas usługi opierają się na zupełnie prostych metodach. Obywatelu...

— Barrent. Nazywam się Will Barrent.

Arkdragen skinął głową i sprawdził nazwisko z listą, którą miał przed sobą, po czym podniósł wzrok i powiedział:

— Nasze marzenia senne powstają pod wpływem oddziaływania narkotyków na mózg i centralny system nerwowy. Środków odurzających, które wywołują pożądany skutek, jest bardzo wiele. Wśród nich najbardziej użytecznymi są heroina, morfina, opium, kokaina, haszysz i peyotl. Wszystkie pochodzą z Ziemi. Narkotykami spotykanymi wyłącznie na Omedze są natomiast pantofelek czarny, nocica, manityna, trinarkotyna, djedalas i różne związki chemiczne z grupy karmoidowej. Każdy z nich i wszystkie razem wywołują marzenia senne.

— Rozumiem — powiedział Barrent. — To znaczy, że po prostu sprzedajecie narkotyki.

— Ależ skądże! — zaprzeczył Arkdragen. — To by było zbyt banalne, zbyt prymitywne. W dawnych czasach mieszkańcy Ziemi sami aplikowali sobie narkotyki. Uzyskiwane w ten sposób halucynacje musiały mieć z konieczności zupełnie przypadkowy charakter. Nikt nigdy nie wiedział, o czym będzie marzyć ani jak długo to marzenie potrwa. Nigdy nie wiadomo, czy będzie to marzenie piękne czy koszarne, czy dostarczy rozkoszy czy psychicznych katuszy. W nowoczesnym zakładzie, jakim jest Boutique Marzeń, ta całkowita niepewność została usunięta. Dziś narkotyki odmierza się, odważa i miesza zgodnie z wymaganiami każdego klienta. Absolutna precyzja pozwala na wywołanie takiego marzenia, o jakie chodzi. Świadczymy cały wachlarz usług: od podobnego nirwanie spokoju, który osiągamy dzięki stosowaniu pantofelka czarnego, poprzez wielobarwne halucynacje po peyotlu i trinarkotynie, do seksualnych fantazji po zażyciu nocicy lub morfiny i wreszcie wskrzeszających pamięć marzeń uzyskiwanych poprzez grupę karmoidową.

— Interesują mnie właśnie sny wskrzeszające pamięć — powiedział Barrent.

— Nie polecałbym ich na pierwszy seans — odparł Arkdragen, marszcząc czoło.

— Dlaczego?

— Marzenia na temat Ziemi wywołują zwykle większe zachwiania równowagi niż jakiegokolwiek sny o tematyce czysto imaginacyjnej. Zalecane jest zatem uzyskanie przedtem odpowiedniej tolerancji organizmu.

Proponowałbym najpierw jakąś małą fantazyjkę seksualną. W tym tygodniu fantazje seksualne sprzedajemy z wysokim rabatem.

Barrent potrząsnął przecząco głową.

— Wolalbym chyba coś prawdziwego — powiedział.

— Nie ma pan racji — odparł zastępca dyrektora uśmiechając się protekcyjnie. — Proszę mi wierzyć: kiedy już człowiek przyzwyczai się do zastępczych przeżyć seksualnych, prawdziwy seks wydaje się potem bardzo blady.

— To mnie nie interesuje — powiedział Barrent. — Zależy mi wyłącznie na śnie o Ziemi.

— Ale pan nie ma odpowiedniej tolerancji! — zawołał Arkdragen. — Jeszcze nie popadł pan nawet w nałóg!

— Czy popadnięcie w nałóg jest konieczne?

— Jest bardzo ważne — wyjaśnił Arkdragen — a także nie do uniknięcia. Wszystkie nasze specyfiki, zgodnie z prawem, wywołują silne uzależnienie. Widzi pan, żeby naprawdę docenić działanie narkotyku, trzeba nauczyć się odczuwać jego głód. To ogromnie zwiększa przyjemność z jego zażywania, nie mówiąc już o wytwarzaniu tolerancji. Dlatego właśnie proponuję, żeby zaczął pan od'..

— Chcę dostać sen o Ziemi — przerwał mu Barrent.

— Doskonale — powiedział Arkdragen urażonym tonem.

— Ale nie możemy brać żadnej odpowiedzialności za ewentualne konsekwencje.

Poprowadził Barrenta długim korytarzem. Po obu stronach znajdowały się rzędy drzwi, a zza niektórych dobiegały głuche jęki i sapnięcia rozkoszy.

— Doznaniowcy — rzucił Arkdragen, nie dodając ani słowa wyjaśnienia. Zaprowadził Barrenta do wolnego pokoju przy samym końcu korytarza. Zastali tam pogodnego brodacza w białym kitlu czytającego książkę.

— Dobry wieczór, doktorze Wayn — powiedział Arkdragen. — Przedstawiam panu Obywatela Barrenta. Pierwsza wizyta. Nalega na sen o Ziemi.

Arkdragen odwrócił się i wyszedł.

— No cóż — powiedział doktor, odkładając książkę. — Chyba możemy to załatwić. Proszę się położyć, Obywatelu Barrent.

Pośrodku gabinetu stał długi, obrotowy stół z regulowanym blatem. Z sufitu zwieszała się nad nim jakaś bardzo skomplikowana aparatura. Na końcu pokoju stały szklane szafki, zastawione kanciastymi słojami. Słoje te przypominały Barrentowi jego własne pojemniki z odtrutkami.

Położył się. Doktor Wayn poddał go badaniom ogólnym, a następnie specjalistycznemu testowi mierzącemu jego podatność na sugestię. Określił indeks hipnotyczny, reakcję na jedenaście podstawowych grup narkotyków, wreszcie sprawdził, czy nie cierpi na tężec i epilepsję.

Zapisał na kartce wszystkie wyniki, sprawdził swoje obliczenia, po czym podszedł do ściany z szafkami i zaczął przygotowywać odpowiednią mieszankę narkotyków.

— Czy to może być niebezpieczne? — spytał Barrent.

— Nie powinno — odparł doktor Wayn. — Wydaje mi się pan wystarczająco zdrowy. Powiedziałbym nawet, zupełnie zdrowy. Z niską podatnością na sugestię. Oczywiście zdarza się, że któryś z klientów dostanie ataku epilepsji, zapewne w wyniku kumulatywnych reakcji alergicznych. Takich rzeczy nie da się uniknąć. Poza tym czasami występują urazy, które mogą prowadzić do choroby umysłowej lub śmierci. Te przypadki same w sobie są niezwykle interesujące. Bywają także klienci, którzy zamykają się w swoich marzeniach i nie sposób ich z nich wyrwać. Przypuszczam, że to również można byłoby sklasyfikować jako rodzaj choroby umysłowej, chociaż w rzeczywistości nią nie jest.

Lekarz zakończył mieszanie narkotyków i zaczął napełniać przygotowaną miksturą sporą strzykawkę. Barrent miał coraz większe wątpliwości, czy pomysł z tym całym seansem nie był przypadkiem poroniony.

— Może przelożylibyśmy tę wizytę na jakiś późniejszy termin — powiedział. — Nie jestem pewien, czy...

— Proszę się niczym nie martwić — odparł doktor. — To jest najlepszy Boutique Marzeń na Omedze. Niech pan spróbuje się odprężyć. Napięcie mięśni może wywołać konwulsje tężcowe.

— Wydaje mi się, że pan Arkdragen miał rację — ciągnął pospiesznie Barrent. — Na pierwszy raz nie powinienem chyba zamawiać snu o Ziemi. Mówił, że to może być niebezpieczne.

— Taak, cóż... Ale czymże byłoby życie bez odrobiny ryzyka? — zapytał doktor. — Poza tym najczęstszymi uszkodzeniami są zmiany w mózgu i pęknięcia naczyń krwionośnych. A my mamy pełną aparaturę do interwencji w takich wypadkach.

Wymierzył igłę w lewe ramię Barrenta.

— Zmieniłem zdanie — powiedział Barrent i zaczął schodzić ze stołu.

Doktor Wayne zwinnie wbił igłę.

— W Boutique'u Marzeń nie zmienia się zdania — powiedział. — Niech pan spróbuje się odprężyć.

Barrent odprężył się. Położył się z powrotem na stole i usłyszał w uszach przejmujące dzwonienie. Próbował skupić wzrok na twarzy doktora, ale twarz doktora uległa przeobrażeniu.

Była stara, krągła i nalana. Na policzkach i szyi rysowały się zwały tłuszczu. Twarz była spocona, zmartwiona i przyjazna; była to twarz opiekuna Barrenta z piątego semestru studiów.

— Słuchaj, Will — powiedział opiekun — musisz uważać. Musisz nauczyć się hamować ten swój temperament. Will, naprawdę musisz!

— Wiem, proszę pana — odparł Barrent. — Tylko że mnie po prostu krew zalewa, kiedy ten...

— Will!

— No dobrze, już dobrze, będę się pilnował. Zamknął za sobą drzwi dziekanatu i poszedł do miasta. Było to zupełnie fantastyczne miasto drapaczy chmur i wielopoziomowych ulic, miasto lśniące barwami srebra i diamentu, ambitne miasto kierujące rozległą siecią państw i planet. Barrent szedł chodnikiem trzeciego poziomu, wciąż jeszcze wściekły na Andrew Therkalera.

'Przez Therkalera i jego idiotyczną zazdrość podanie Barrenta o przyjęcie do Korpusu Badania Przestrzeni zostało odrzucone. I nawet jego opiekun nic w tej sprawie nie mógł zrobić. Therkaler miał za duże wpływy w Komisji Kwalifikacyjnej. Następne podanie można było złożyć dopiero po upływie trzech lat. Przez ten czas

musiał siedzieć beczynn timer na Ziemi. Wszystko, co do tej pory studiował, związane było z badaniem przestrzeni międzyplanetarnej. Na Ziemi nie było dla niego miejsca, a teraz odebrano mu szansę wyruszenia w kosmos.

Therkaler z poziomu pieszego przeszedł na superszybki chodnik w kierunku Sante. Kiedy chodnik ruszył do przodu, Barrent namacał w kieszeni mały pistolet. Posiadanie broni było na Ziemi zakazane. Udało mu się ją zdobyć w jakiś tajemniczy sposób.

Postanowił zabić Therkalera.

Ze wszystkich stron otoczył go wir groteskowych twarzy. Jego sen stracił ostrość. Kiedy ją odzyskał, Barrent ujrzał siebie mierzącego do chudego, zezowatego człowieka, którego przeraźliwe wołanie o litość nagle urwało się. Jakiś informator o pustym spojrzeniu i srogiej twarzy zauważył zbrodnię i doniósł policji.

Policjanci w szarych mundurach aresztowali Barrenta i doprowadzili przed sędziego.

Sędzia, stary człowiek o pomarszczonej jak pergamin twarzy, skazał go na dożywotnią katorgę na planecie Omega oraz wystawił oficjalny nakaz pozbawienia pamięci.

Od tego miejsca sen zmienił się w kalejdoskop horrorów. Barrent wspinał się na śliski pał, na pionową ścianę skalną, po gładko szlifowanej cembrowinie studni. Tuż za nim pędziły zwłoki Therkalera z rozdartą pierśią. Z jednej strony podtrzymywał je informator o pustym spojrzeniu, z drugiej — sędzia o pergaminowej twarzy.

Zbiegał z jakiegoś wzgórza, z ogromnego stromego dachu, gnał wąską ulicą. Jego prześladowcy byli tuż za nim.

Wpadł do mrocznego, żółtego pokoju, zatrzasnął za sobą drzwi i zamknął wszystkie zamki. Kiedy się odwrócił, ujrzał, że jest zabarykadowany razem ze zwłokami

Therkalera. Rozciętą głowę trupa otaczała korona czerwonopurpurowej pleśni, a w otwartej ranie na piersiach kwitł grzyb. Trup ruszył w jego stronę, zbliżał się coraz bardziej, aż Barrent bez namysłu skoczył głową do przodu przez okno.

— Dość tego, Barrent. Przeszarżowałeś. Wyjdź z tego snu. Nie było czasu słuchać. Okno zmieniło się w rynnę i Barrent ześliznął się na wielką arenę po jej gładkich ścianach. Tu, po szarym piasku, zwłoki pełzły za nim na kikutach rąk i nóg. Na olbrzymiej trybunie nie było nikogo poza sędzią i informatorem, którzy siedzieli obok siebie i przyglądali się.

— Jest zablokowany.

— No cóż, ostrzegałem go...

— Wyrwij się z tego snu, Barrent. Tu doktor Wayne. Jesteś na Omedze, w Boutique'u Marzeń. Wyjdź z tego snu. Jeśli wyrwiesz się z niego natychmiast, ciągle jeszcze masz szansę.

Omega? Sen? Nie było czasu o tym myśleć. Płynął właśnie przez ciemne, cuchnące jezioro. Sędzia i informator płynęli tuż za nim po obu stronach trupa, z którego powoli zniszczały się wielkie płaty skóry.

— Barrent!

A teraz cuchnąca woda zmieniła się w gęstą galarete, która czepiała się rąk i nóg, wpychała do ust, podczas gdy sędzia i informator...

— Barrent!

Otworzył oczy i stwierdził, że leży na obrotowym stole w Boutique'u Marzeń. Tuż nad nim pochylał się, jakby lekko przejęty, doktor Wayne. Obok stała pielęgniarka z tacą pełną strzykawek i maską tlenową. Nieco dalej ujrzał ocierającego pot z czoła Arkdragna.

— Nie sądziłem, że ci się to uda — powiedział Wayn. — Naprawdę nie sądziłem.

— Wyrwał się w ostatniej chwili — powiedziała pielęgniarka.

— Ostrzegalem go — powiedział Arkdragen i wyszedł z gabinetu.

Barrent usiadł na stole.

— Co się stało? — spytał.

— Trudno powiedzieć — odparł doktor Wayn, wruszając ramionami. — Może ma pan skłonność do zasklepiania się we śnie, a może nie wszystkie narkotyki były zupełnie czyste; to się czasami zdarza. Ale mogę pana pocieszyć, że taki blocking powtarza się niezwykle rzadko. Sądzę, że drugi seans będzie pan miał znacznie przyjemniejszy, a mogę pana zapewnić, że przeżycia pod wpływem narkotyków są naprawdę wspaniałe.

Ciągle jeszcze mocno wstrząśnięty tym, co przed chwilą przeżył, Barrent był pewien, że nie odbędzie się żaden drugi seans. Bez względu na konsekwencje nie miał zamiaru ryzykować powtórki takiego koszmaru.

— Czy popadłem już w uzależnienie? — spytał.

— Och, nie — odparł doktor Wayn. — Uzależnienie następuje dopiero po trzeciej, czwartej wizycie.

Barrent podziękował mu i wyszedł. Przechodząc obok biurka Arkdrageny spytał, ile jest winien.

Rozdział 9

— Nic — powiedział Arkdragen. — Pierwszy seans odbywa się zawsze na koszt firmy. — Uśmiechnął się do Barrenta porozumiewawczo.

Barrent wyszedł z Boutique'u i pospieszył do swego mieszkania. Miał mnóstwo rzeczy do przemyślenia. Po raz

pierwszy uzyskał dowód, że z rozmysłem i premedytacją zamordował człowieka.

Być oskarżonym o morderstwo, którego się nie pamięta, to jedno, natomiast przypomnieć sobie moment popełnienia morderstwa, o które się jest oskarżonym, to coś zupełnie innego. Taki dowód trudno podać w wątpliwość.

Barrent próbował precyzyjnie określić stan swoich uczuć. Przed wizytą w Boutique'u Marzeń nigdy nie czuł się mordercą, bez względu na wszystkie oskarżenia ziemskich władz. Uważał, że w najgorszym wypadku mógł kogoś zabić w przyływie nieopanowanej wściekłości. Ale żeby zaplanować i zamordować z zimną krwią...

Dlaczego to zrobił? Czyżby jego żądza zemsty była tak wielka, że skłoniła go do odrzucenia wszystkich ograniczeń, jakie nakładała ziemska cywilizacja?

Najwyraźniej tak. Zabił, ktoś doniósł i sędzia w swoim wyroku deportował go na Omegę. Był mordercą na planecie zbrodniarzy. By przetrwać w takim miejscu, po prostu musiał dać się ponieść swej naturalnej skłonności do mordu.

A jednak okazało się to niezwykle trudne. Wykazywał zdumiewająco mało upodobania do przelewu krwi. W Dniu Wolnego Obywatela wyszedł co prawda na ulicę ze swym promiennikiem, ale w żaden sposób nie potrafił zmusić się do zabicia kogokolwiek z niższych klas. Nie miał najmniejszej ochoty zabijać. Biorąc zaś pod uwagę, gdzie i czym był, niechęć ta wydawała się dość dziwna. Ale była faktem. Bez względu na to, jak bardzo natarczywie Tem Rend lub Joe przypominali mu o jego obowiązkach Wolnego Obywatela, morderstwo ciągle wydawało się Barrentowi czymś wstrętnym.

Szukał pomocy u psychiatry, który wyjaśnił mu, że awersja do morderstwa jest pośrednio skutkiem trudnego

dzieciństwa. Fobię tę dodatkowo powikłały traumatyczne skutki przeżyć w Boutique'u Marzeń. Zbieg tych czynników sprawił, że morderstwo, najwyższe dobro społeczne, zaczęło napawać go odrazą. Ta antymordercza neuroza u człowieka predestynowanego do osiągnięcia wybitnych wyników w sztuce zabijania musiała, zdaniem psychiatry, prowadzić do całkowitej destrukcji psychiki Barrenta. Jedynym wyjściem było zlikwidowanie neurozy. Psychiatra proponował bezzwłoczne leczenie w zakładzie dla antyspołecznych pacyfistów.

Barrent odwiedził sanatorium, gdzie obłąkani pensjonariusze krzyczeli o dobroci, uczciwości, najwyższej wartości życia i innych tego typu plugastwach. Nie miał najmniejszej ochoty mieszkać razem z nimi. Być może był chory, ale przecież nie aż tak!

Przyjaciele ostrzegali go, że antyspołeczna postawa może mu przysporzyć kłopotów. Przyznawał im rację, ale miał nadzieję, że zabijając wyłącznie wówczas, kiedy okaże się to konieczne, umknie jakoś uwagi wysoko postawionych osobistości nadzorujących przestrzeganie prawa.

Przez kilka tygodni wydawało się, że rzeczywiście mu się to uda. Ignorował redagowane w coraz bardziej natarczywym tonie zaproszenia do Boutique'u Marzeń i nie brał już więcej udziału w mszach odprawianych w Uroczysku. Interesy szły świetnie, a swój wolny czas poświęcał badaniom działania co rzadszych trucizn i treningowi na strzelnicy. Często też wracał myślami do tamtej dziewczyny. Ciągle jeszcze miał pożyczony od niej pistolet. Ciekaw był, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy. I oczywiście myślał o Ziemi. Od czasu seansu w Boutique'u Marzeń co jakiś czas nawiedzały go urywki wspomnień, oderwane obrazy zniszczonych kamiennych budynków, kępy prawdziwych dębów, zakola rzeki ukryte za

gałęziami wierzb. Ta na wpół pamiętana Ziemia wzbudziła w nim tęsknotę niemal nie do wytrzymania. Jak większość mieszkańców Omegi miał tylko jedno prawdziwe życzenie — wrócić do domu.

A to było niemożliwe.

Dni toczyły się powoli, kłopoty zaś spadły na niego zupełnie niespodzianie. Którejś nocy usłyszał głośny łomot do drzwi. Mocno zaspany otworzył bezwiednie. Do mieszkania wdarło się czterech umundurowanych mężczyzn, powiadamiając go, że jest aresztowany.

— Pod jakim zarzutem? — spytał Barrent.

— Niezażywania narkotyków — odparł jeden z mężczyzn.

— Ma pan trzy minuty, żeby się ubrać.

— A jaka grozi mi kara?

— Dowie się pan w sądzie — odparł mężczyzna, po czym mrugnął do pozostałych i dodał: — Ale jedynym zabiegiem skutecznie leczącym nieuzależnionych jest egzekucja.

Prawda, chłopcy?

Barrent zaczął się ubierać.

Zaprowadzono go do jednej z sal zwalistego budynku Ministerstwa Sprawiedliwości, zwanej Salą Sądu Kangurzego na cześć pewnej starej, anglosaskiej procedury sądowej. Dokładnie naprzeciw niej znajdowała się — również wzorowana na starożytności — Gwiazdna Komnata*. Następne drzwi nosiły napis „Sąd Ostatniej Instancji”.

Sala Sądu Kangurzego przedzielona była w połowie wysokim, drewnianym przepierzeniem, ponieważ zgodnie z fundamentalną zasadą omegańskiej sprawiedliwości oskarżony nie mógł widzieć ani sędziego, ani też żadnego ze świadków oskarżenia.

— Niech więzień wstanie — dobiegł zza drewnianej ścianki cienki, płaski, beznamiętny głos. Był on przetworzony za

pomocą słabego wzmacniacza tak, by pozbawić go wszelkiej modulacji. Barrent z trudem mógł zrozumieć poszczególne słowa; nawet głos sędziego zachowywał pełną anonimowość.

— Willu Barrencie — powiedział sędzia — zostałeś postawiony przed tym sądem pod poważnym zarzutem niezazywania narkotyków i uchylania się od wypełniania nakazów religii. Pierwszy z tych zarzutów potwierdza zeznanie dyrektora Boutique'u Marzeń, drugi zaś, zaprzysiężone zeznanie kapłana. Czy potrafisz dowieść, że któreś z tych oskarżeń jest fałszywe?

Barrent zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

— Nie, Wysoki Sądzie, nie potrafię.

— Oskarżenie o niedopełnianie obowiązków religijnych możemy na razie oddalić — powiedział sędzia. — Jest to wykroczenie mniej poważne, a poza tym zdarza się pierwszy raz. Natomiast niezazywanie narkotyków jest groźnym przestępstwem przeciwko Państwu. Nałogowe zazywanie narkotyków stanowi obowiązkowy przywilej każdego obywatela. Powszechnie wiadomo, że przywileje **Sąd kangurzy to angielskie określenie parodii sądu, parodii sprawiedliwości (od skakania przez niewygodne przepisy jak kangur); Gwiezdna Komnata to nazwa najwyższego sądu królewskiego w Anglii w latach 1487—1641 będącego wyrazem królewskiej samowoli.*

muszą być wykorzystywane, w przeciwnym bowiem wypadku ulegają samolikwidacji. Utrata naszych przywilejów wiodłaby nieuchronnie do katastrofalnego ograniczenia naszej wolności. Dlatego też odrzucenie przywilejów lub powstrzymanie się od korzystania z nich jest przestępstwem równym zdradzie stanu.

Zapadła chwila milczenia. Strażnicy zaczęli niecierpliwie szurać nogami. Barrent, doszedłszy do wniosku, że jego sytuacja jest beznadziejna, stał na baczność i czekał, co będzie dalej.

— Narkotyki mają wielorakie zastosowanie — podjął ukryt> za drewnianą zasłoną sędzieja. — Nie ma potrzeby, bym wyliczał tu wszystkie ich znakomite właściwości, które zna i docenia każdy narkoman. Ale rozpatrując ich znaczenie z punktu widzenia Państwa, mogę powiedzieć, że społeczeństwo ludzi uzależnionych jest społeczeństwem lojalnym, że narkotyki stanowią bardzo poważne źródło dochodów podatkowych i że ich zażywanie jest symbolem całego naszego stylu życia. Co więcej, mogę powiedzieć, iż niezależnione jednostki nieodmiennie okazują wrogość w stosunku do rdzennie omegańskich instytucji, praw i zasad. To obszernie wyjaśnienie podaję tu po to, Willu Barrencie, byś lepiej potrafił zrozumieć wyrok, który za chwilę zapadnie.

— Wysoki Sądzie — odezwał się Barrent — nie miałem racji powstrzymując się od zażywania narkotyków. Nie będę tłumaczył się niewiedzą, gdyż wiem, że prawo nie uznaje jej za okoliczność łagodzącą. Chciałbym jednak najpokorniej prosić o jeszcze jedną szansę. Chciałbym prosić, by Wysoki Sąd nie zapominał, że przecież mogę się jeszcze uzależnić, a tym samym zrehabilitować.

— Sąd o tym nie zapomina — odparł jednostajny głos. — Z tego właśnie powodu Sąd rad jest, mogąc cię powiadomić, że zamierza w pełni skorzystać z przewidzianej prawem możliwości złagodzenia kary. Zamiast egzekucji w trybie doraźnym, Sąd stawia ci do wyboru dwa znacznie mniej surowe wyroki. Pierwszy, karzący, stanowi, iż za zbrodnię przeciwko Państwu utracisz prawą rękę i lewą nogę, zachowasz jednak życie.

Barrent przelknął z trudem ślinę i spytał:

— Jaka jest ta druga możliwość, Wysoki Sądzie?

— Drugi wyrok, który nie jest wyrokiem karzącym, poddaje cię próbie Ordaliów. Stanowi także, iż gdybyś przeżył taką próbę, odzyskasz swój dotychczasowy status i miejsce w społeczeństwie.

_ Proszę o Ordalia — powiedział szybko Barrent.

__ Doskonale — odparł sędzia. — Wyrok zapadł, proszę go wykonać.

Barrent został wyprowadzony z sali. W pewnej chwili usłyszał za sobą krótki, stłumiony śmiech jednego ze strażników. Czyżby źle wybrał? Czy Ordalia mogły być gorsze od potwornego, nieodwracalnego okaleczenia?

Rozdział 10

Na Omedze, jak głosiło przysłowie, między procesem a wykonaniem wyroku nie zmieściłbyś ostrza noża. Toteż Barrenta zaprowadzono wprost do dużej, okrągłej kamiennej sali w podziemiach Ministerstwa Sprawiedliwości. Zalewało ją białe światło lamp łukowych, zawieszonych u wysokiego, strzelistego sklepienia. Część jednej ze ścian usunięto, tworząc w ten sposób coś w rodzaju trybuny dla widzów. Kiedy Barrenta wprowadzono do sali, trybuna była niemal pełna, a bileterzy sprzedawali programy.

Przez kilka chwil Barrent stał na kamiennej posadzce sam. Potem jedna z zakrzywionych ścian rozsunęła się i wyjechała z niej niewielka maszyna.

Głośnik umieszczony wysoko nad trybuną ogłosił:

— Panie i panowie, proszę o uwagę. Za chwilę będziecie świadkami Ordaliów, próby 643—BG233 pomiędzy

Obywatelem Willem Barrentem a GME 213. Proszę zająć miejsca. Walka odbędzie się za kilka minut.

Barrent spojrział na swego przeciwnika. Była to lśniąca, czarna maszyna zbudowana w kształcie półkuli, której promień wynosił prawie sto dwadzieścia centymetrów. Kręciła się nieustannie we wszystkie strony na kilku maleńkich kółkach. Pod wtopioną w gładką metalową skorupę przezroczystą płytką błyskały czerwone, zielone i pomarańczowe światelka. Jej widok wywołał w Barrencie mgliste wspomnienia jakiegoś stworzenia z ziemskich oceanów.

— Dla tych, którzy odwiedzają naszą galerię po raz pierwszy odezwał się ponownie głośnik — mam tu kilka słów wyjaśnienia. Więzień Will Barrent dobrowolnie wybrał poddanie się próbie Ordaliów. Narzędzie sprawiedliwości, którym w tym przypadku jest GME 213, stanowi przykład najwspanialszych osiągnięć kreatywnej inżynierii Omegi. Maszyna, zwana przez swych wielbicieli Maxem, stanowi morderczą broń o niezwyklej wprost skuteczności działania. Może ona zabijać dwudziestoma trzema sposobami, z których wiele odznacza się wyjątkowym okrucieństwem. Dla celów dzisiejszej próby ustawiona została na losowy dobór metody działania. Oznacza to, że Max nie ma kontroli nad sposobem, w jaki zabija. Sposób ten wyznaczany jest i porzucany losowo przez przypadkowy wybór jednej z dwudziestu trzech liczb, a czas stosowania danego sposobu określany jest również przypadkowo i może trwać od jednej do sześciu sekund. Max ruszył nagle na środek sali, a Barrent cofnął się pod jedną ze ścian.

— Jeśli więźniowi uda się unieszkodliwić Maxa — ciągnął głos znad trybuny — wówczas zostaje uznany za zwycięzcę i odzyskuje wszystkie prawa i przywileje swego statusu.

Sposób, w jaki może tego dokonać, jest dla każdej maszyny inny. Jest to jednak możliwość czysto teoretyczna. W praktyce bowiem zdarza się to jedynie w trzech i pół procentach prób.

Barrent obrzucił spojrzeniem zebranych na trybunie widzów. Sądząc po ich strojach, wszyscy zajmowali wysokie pozycje społeczne, stanowili elitę omegańskich klas uprzywilejowanych.

I nagle, w samym środku pierwszego rzędu ujrzał dziewczynę, która pożyczyła mu swej broni w tamtym pamiętnym, pierwszym dniu jego pobytu na Omedze. Była dokładnie tak piękna, jak to sobie zapamiętał, ale na jej bladej, owalnej twarzy nie malował się nawet cień jakiegokolwiek uczucia. Patrzyła na niego ze szczerym i beznamiętnym zainteresowaniem kogoś, kto ujrzał nagle w szklanym słoju jakiegoś niezwykle żuczka.

— Uwaga, uwaga! Rozpoczynamy próbę — ogłosił spiker. Barrentowi nie pozostała już ani sekunda na rozmyślania o dziewczynie, gdyż w tej samej chwili maszyna potoczyła się w jego stronę.

Obszedł ją ostrożnie szerokim łukiem. Z Maxa wyłonił się wiotki czulek, u którego końca migotała plamka białego światła, po czym maszyna energicznie natarła na Barrenta, przypierając go do ściany.

I nagle zatrzymała się. Barrent usłyszał szcęk zmienianych przekładni i czulek został wciągnięty do środka, a na jego miejscu pojawiło się metalowe, przegubowe ramię, zakończone ostrzem. Poruszając się teraz znacznie szybciej maszyna znowu zagoniła go pod ścianę. Ramię błysnęło w powietrzu, lecz Barrentowi udało się

w porę uchylić. Usłyszał zgrzyt ostrza uderzającego o kamienną ścianę. Kiedy ramię zniknęło we wnętrzu Maxa, Barrent znów przesunął się na środek sali.

Wiedział już, że jedyną szansą na unieszkodliwienie maszyny jest wykorzystanie momentu, w którym jej selektor wprowadzać będzie kolejny morderczy program. Ale jak unieszkodliwić opancerzoną jak żółw, idealnie gładką maszynę?

Max zaatakował ponownie. Tym razem jego metalowa skorupa zaśniła mętną, zieloną substancją, w której Barrent natychmiast rozpoznał truciznę kontaktową. Błyskawicznie rzucił się do ucieczki wokół sali, próbując uniknąć śmiertelnego dotknięcia.

Maszyna zatrzymała się. Po jej powierzchni spłynął płyn neutralizujący, zmywając truciznę. I znów ruszyła do przodu, tym razem bez żadnej widocznej broni, najwyraźniej z zamiarem staranowania swego przeciwnika.

Barrent źle się ustawił. Rzucił się w bok, ale maszyna błyskawicznie zrobiła to samo. Oparty plecami o ścianę patrzył bezradnie, jak maszyna nabiera prędkości.

Zatrzymała się o kilka centymetrów od niego. Rozległo się szcęknięcie selektora i z Maxa zaczęło się wylaniać coś w rodzaju maczugi.

Barrentowi przebiegło przez myśl, że jest to pokaz stosowanego sadyzmu. Gdyby miało to trwać dłużej, maszyna zwałiłaby go w końcu z nóg i bez pośpiechu dobiła. Cokolwiek więc zamierzał zrobić, powinien to zrobić teraz, póki jeszcze miał choć trochę siły.

Nim zdążył dokończyć tę myśl, maszyna świsnęła metalowym ramieniem uzbrojonym w maczugę. Barrent nie był w stanie całkowicie uniknąć ciosu. Maczuga

uderzyła go w lewy bark pozbawiając na chwilę czucia w ręce.

Max znów zaczął zmieniać program. Barrent rzucił się całym ciałem na jego gładką, krągłą czaszę. Na samym jej wierzchołku dostrzegł dwa niewielkie otwory. Modląc się, by okazały się wlotami powietrza, zatkał je szczelnie palcami.

Maszyna stanęła jak wryta, a widownia zaczęła wiwatować. Barrent przywarł do gładkiej powierzchni, pomagając sobie bezwładną ręką i wpychając coraz głębiej palce do wnętrza maszyny. Wtopione w skorupę Maxa światełka zmieniły kolor z zielonego na pomarańczowy i wreszcie czerwony. Gardłowe pomrukiwanie maszyny przeszło w głuchy warkot.

I nagle maszyna wysunęła z boku dwie rurki, najwyraźniej awaryjne wloty powietrza.

Barrent próbował zakryć je ciałem, ale maszyna, powracając nagle z rykiem do życia, obróciła się szybko wokół własnej osi i zrzuciła go z siebie. Fiknął koziółka, po czym podniósł się i wycofał na środek areny.

Pojedynek nie trwał dłużej niż pięć minut, ale Barrent był już zupełnie wyczerpany. Ostatnim wysiłkiem woli cofnął się przed maszyną, która nacierała teraz na niego z szerokim, lśniącym toporem.

Kiedy uzbrojone w topór ramię wzięło zamach, Barrent, zamiast uchylić się w bok lub do tyłu, rzucił się wprost na nie. Chwycił je oboma rękami i zaczął przeginać w dół.

Metal zachrząścił i przez chwilę wydawało się, że przegub zaczyna puszczać. Gdyby zdołał odłamać metalowe ramię, być może maszyna zostałaby unieszkodliwiona. W najgorszym razie miałyby przynajmniej jakąś broń...

Niespodziewanie Max zaczął się cofać. Barrent próbował utrzymać ramię maszyny, ale mocne szarpnięcie wyrwało

mu je z rąk. Upadł na twarz. Topór uderzył z rozmachem i rozciął mu bark.

Barrent przeturlał się do tyłu i spojrział na trybunę. Był skończony. Równie dobrze mógł z godnością poddać się następnemu atakowi maszyny i mieć to już wreszcie za sobą. Widownia szalała, obserwując Maxa, który szykował się do kolejnej zmiany morderczego programu.

I nagle zauważył, że dziewczyna daje mu jakieś znaki. Zawisł wzrokiem na jej rękach, próbując zrozumieć, co chciała mu nimi przekazać. Pokazywała, żeby coś odwrócić... przewrócić go i zniszczyć.

Nie było czasu, żeby się dalej zastanawiać. Oszołomiony utratą krwi, podniósł się chwiejnie na nogi i spojrział w stronę nacierającej maszyny. Nie interesowało go, jakie narzędzie mordu tym razem przygotowała. Całą uwagę skoncentrował na jej kółkach.

Kiedy znalazła się tuż obok niego, Barrent rzucił się pod koła.

Maszyna starała się wyhamować i skrócić, ale było już za późno. Koła wjechały na ciało Barrenta. podnosząc przód Maxa wysoko w górę. Barrent jęknął głucho pod impetem uderzenia, po czym trzymając maszynę na swych plecach, zebrał resztki sił i spróbował wstać.

Maszyna zakolysała się i kręcąc rozpaczliwie wszystkimi kółkami, runęła na grzbiet. Barrent upadł obok niej.

Kiedy powróciła mu zdolność widzenia, maszyna w dalszym ciągu leżała kółkami do góry, lecz" ze wszystkich stron wysuwała już przegubowe macki, starając się odwrócić z powrotem.

Barrent rzucił się na płaski brzuch Maxa i zaczął walić weń

Rozdział 11

pięściami. Bez rezultatu. Spróbował wyrwać jedno z kół, ale i to mu się nie udało. Tymczasem Max zaczął dźwigać się do góry, gotując się do odwrócenia i wznowienia pojedynku.

Kątem oka dostrzegł, że dziewczyna znów wykonuje rękami jakieś ruchy. Był to dobitnie i natarczywie powtarzany gest, coś jakby wyskubywanie czy wyrywanie. I dopiero wtedy zauważył przy jednym z kół małe pudełko z bezpiecznikami. Zerwał pokrywkę, zdzierając sobie przy tym kilka paznokci, i wyszarpnął bezpiecznik.

Maszyna znieruchomiała.

Barrent stracił przytomność.

Na Omedze prawo jest wszystkim. Tajne i jawne, religijne i świeckie, rządzi zachowaniem każdego obywatela, od najmniejszego z maluczkich do pierwszego z wielkich. Bez prawa nie byłoby przywilejów dla tych, którzy to prawo ustanawiają, dlatego też prawo było absolutnie konieczne. Bez prawa i rygorystycznego egzekwowania jego przepisów Omega stanowiłaby niewyobrażalny chaos, w którym każdy miałby tylko tyle swobody, ile sam osobiście zdołałby wywalczyć. Taka anarchia oznaczałaby koniec omegańskiego społeczeństwa. Szczególnie zaś oznaczałaby koniec tych dostojnych obywateli z klas rządzących, którzy osiągnęli same szczyty drabiny społecznej, lecz dawno już utracili wprawę w posługiwaniu się bronią.

Dlatego też prawo było nieodzowne.

Ale Omega była także społeczeństwem przestępców, składającym się w całości z osobników, którzy złamali prawo obowiązujące na Ziemi. Była społeczeństwem ceniącym sobie, w ostatecznym rozrachunku, wyłącznie osiągnięcia indywidualne. Była społeczeństwem, w którym ten, kto łamie prawo, jest królem, społeczeństwem, które przestępstwa i zbrodnie nie tylko wybacza, lecz także

podziwia i nawet nagradza, społeczeństwem, które łamanie zasad oceniało jedynie miarą odniesionego sukcesu.

I to wszystko dało w wyniku czysty paradoks:

społeczeństwo przestępców rządzące się absolutnymi prawami, które z założenia miały być łamane.

Takie właśnie wyjaśnienie usłyszał Barrent od ukrytego w dalszym ciągu za drewnianym przepierzeniem sędziego.

Minęło już kilka godzin od zakończenia Ordaliów.

Barrenta zaprowadzono do ambulatorium, gdzie zajęto się jego wszystkimi obrażeniami.

Okazały się niezbyt poważne: dwa pęknięte żebra, głęboka rana na lewym ramieniu, kilka siniaków i zadrapań.

— Zgodnie z tym — podjął sędzia — prawa muszą być jednocześnie łamane i przestrzegane. Ci, którzy nigdy nie łamią praw, nigdy nie awansują w hierarchii. Zwykle też giną w ten czy inny sposób, ponieważ brak im odpowiednio silnej chęci przeżycia. Sytuacja tych, którzy — tak jak ty — łamią prawo, jest nieco inna. Prawo karze ich z najwyższą surowością — chyba że potrafią tego uniknąć. Sędzia przerwał na chwilę, po czym zadumanym głosem ciągnął dalej:

— Idealem mieszkańca Omegi jest człowiek, który rozumie prawa, docenia konieczność ich istnienia, zna kary za ich łamanie, a jednak je łamie — i uchodzi mu to na sucho! Człowiek taki stanowi dla wszystkich tutaj symbol sukcesu zarówno kryminalnego, jak i obywatelskiego. I to jest to, Willu Barrencie, co tobie udało się osiągnąć, gdy odniosłeś zwycięstwo w Ordaliach.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie — powiedział Barrent.

— Chciałbym jednak, żebyś zrozumiał — kontynuował sędzia — że jeden sukces w pogwałceniu prawa nie oznacza, iż odniesiesz go również następnym razem. Przy każdej kolejnej próbie twoje szanse maleją w tym samym

stopniu, w jakim wzrasta nagroda za odniesienie zwycięstwa. Dlatego też radzę ci, byś nie wykorzystywał pochopnie nowo nabytej wiedzy.

— Nie wykorzystam jej pochopnie, Wysoki Sądzie powiedział Barrent.

— Doskonale. Niniejszym przyznaje ci się status Uprzywilejowanego Obywatela wraz ze wszystkimi jego prawami i obowiązkami. Zezwala ci się także na prowadzenie twego zakładu tak jak przedtem. Ponadto otrzymujesz tygodniowy bezpłatny urlop nad Jeziorem Chmur. Możesz ze sobą zabrać wybraną przez siebie kobietę.

— Słucham? — zapytał Barrent. — Co to było... to ostatnie?

— Tygodniowy urlop z kobietą, którą sobie wybierzesz — powtórzył ukryty sędzia. To wielka nagroda, ponieważ kobiet jest na Omedze sześć razy mniej niż mężczyzn. Możesz wybrać sobie dowolną niezamężną kobietę, bez względu na to, czy będzie chętna czy nie. Sąd daje ci trzy dni na dokonanie tego wyboru.

— Nie potrzebuję trzech dni — powiedział Barrent. — Chcę dziewczynę, która siedziała w pierwszym rzędzie trybuny dla widzów. Czarnowłosą dziewczynę o zielonych oczach. Czy Wysoki Sąd wie, o kim mówię?

— Owszem — odparł powoli sędzia — wiem, o kim mówisz. Nazywa się Moera Ermais. Proponuję ci jednak, żebyś wybrał sobie kogoś innego.

— Czy są po temu jakieś powody?

— Nie. Ale byłoby znacznie lepiej, gdybyś zdecydował się na inną kobietę. W biurze sądu z przyjemnością podadzą ci listę odpowiednich młodych dam. Wszystkie posiadają wiele zaprzysiężonych listów pochwalnych. Kilka ukończyło Instytut Kobiet, na którym, jak zapewne ci

wiadomo, wprowadza się studentki we wszystkie arkana kunsztu gejsz. Ja osobiście mogę polecić twej uwadze...

— Pozostanę jednak przy Moerze — przerwał mu Barrent.

— Młody człowieku, popełniasz błąd.

— No cóż, zaryzykuję.

— Doskonale — powiedział sędzia. — Twój urlop rozpoczyna się jutro o dziewiątej rano. Szczerze życzę ci powodzenia.

Pod eskortą strażników Barrent opuścił salę sądu i odprowadzony został do swego sklepu. Przyjaciele, którzy oczekiwali wiadomości o jego śmierci, zjawili się, żeby mu pogratulować. Wszyscy chcieli poznać szczegóły Ordaliów, ale Barrent wiedział już, że każda sekretna wiedza daje władzę. Opowiedział im więc całą historię jedynie w najogólniejszym zarysie.

Tego wieczoru uczcili jeszcze jedną okazję. Tem Rend został wreszcie przyjęty do Cechu Morderców i zgodnie z obietnicą jako pomocnika brał ze sobą Foerena.

Następnego ranka Barrent otworzył sklep i ujrzał przed nim pojazd postawiony do jego dyspozycji na czas urlopu przez Ministerstwo Sprawiedliwości. Na tylnym siedzeniu, niezwykle piękna i równie rozzłoszczona, siedziała Moera.

— Czy pan zwariował, Barrent?! — zawołała na jego widok. — Myśli pan, że ja mam czas na takie rzeczy? Dlaczego wybrał pan właśnie mnie?

— Ocaliła mi pani życie — odparł Barrent.

— I pewnie uważa pan, iż to oznacza, że jestem panem zainteresowana?. Otóż nie jestem. Jeśli odczuwa pan choć odrobinę wdzięczności, niech pan powie kierowcy, że się pan rozmyślił. Ciągle jeszcze może pan sobie wybrać jakąś inną dziewczynę.

Barrent pokręcił głową.

— Pani jest jedyną dziewczyną, jaka mnie interesuje — powiedział.

Rozdział 12

— A więc nie zmieni pan zdania?

— Mowy nie ma.

Moera westchnęła z rezygnacją i cofnęła się w głąb pojazdu.

— Czy ja naprawdę pana interesuję? — spytała.

— „Interesuję” to o wiele za słabo powiedziane — odparł Barrent.

— No cóż — powiedziała dziewczyna — jeśli nie ma pan zamiaru zmienić zdania, to chyba będę musiała się z tym pogodzić.

Odwróciła się w przeciwną stronę, lecz nim to uczyniła, Barrent dostrzegł na jej twarzy jakby przelotny uśmiech.

Jeziro Chmur było najwytworniejszym kurortem na Omedze. Przekraczając jego granice należało złożyć w depozycie wszelką broń. Pojedynki, bez względu na okoliczności, były kategorycznie zabronione. Klótnie i spory arbitralnie rozstrzygał najbliższy barman, a morderstwo karano natychmiastowym i całkowitym pozbawieniem statusu.

Jeziro Chmur stawiało do dyspozycji gości wszelkie rodzaje rozrywek. Można było obejrzeć popisy szermierzy, walkę byków lub szczucie niedźwiedzia; można było uprawiać sporty takie, jak: pływanie, wspinaczka górską czy narciarstwo. Wieczorami bawiono się na balach, urządzanych w głównej sali tanecznej, gdzie szklane ściany oddzielały rezydentów od obywateli, a obywateli od elity. Świetnie zaopatrzony bar narkotyczny dostarczał wszelkich specyfików, jakich tylko modny narkoman mógł zapragnąć, a także kilku nowinek, które mógłby zechcieć

wypróbować. Dla osób towarzyskich w każdą środę i sobotę wieczorem organizowano orgie w Grocie Satyra, a dla nieśmiałych kierownictwo urzędowało w mrocznych korytarzach hotelowego podziemia schadzki w maskach. Ale przede wszystkim ciągnęły się tu łagodnymi falami pagórki i wspaniałe lasy, gdzie można było pójść na długi spacer i zapomnieć o napięciu i niebezpieczeństwach codziennego życia w Tetrahydzie.

Barrent i Moera otrzymali sąsiednie pokoje, a łączące je drzwi nie były zamknięte. Jednak pierwszej nocy Barrent nie skorzystał z nich. Moera w żaden sposób nie okazała, że sobie tego życzy, a na planecie, gdzie kobiety miały tak łatwy dostęp do najróżniejszych trucizn, mężczyzna powinien dobrze się zastanowić, nim zdecyduje się narzucać ze swoim towarzystwem. Nawet właściciel

71
sklepu z odtrutkami musiał brać pod uwagę możliwość, że nie zdąży w porę rozpoznać symptomów trucizny, podanej jemu samemu. Drugiego dnia wybrali się na wspinaczkę wysoko w góry. Zabrane w koszyku lunch zjedli na porośniętym trawą stoku, spływającym łagodnie ku szaremu morzu. Po skończonym posiłku Barrent spytał Moerę, dlaczego uratowała mu życie.

— Moja odpowiedź nie przypadłaby ci do gustu — odparła dziewczyna.

— Mimo to nadal chcę ją usłyszeć.

— No cóż, tego dnia w Towarzystwie Ofiar byłeś taki zabawnie bezbronny... Pomogłabym każdemu, kto by wyglądał tak jak ty. Barrent skinął z zakłopotaniem głową.

— A drugi raz? — spytał.

— Do tego momentu zdążyłeś mnie już chyba zainteresować. To znaczy nic z tych rzeczy, żadne

romantyczne uczucie. We mnie nie ma nawet kropli romantyzmu.

— Więc co takiego cię we mnie zainteresowało?

— Doszłam do wniosku, że byłby z ciebie niezły nabytek.

— Czy nie mogłabyś tego jakoś rozwinąć? Moera spojrzała nań swymi ogromnymi zielonymi oczami i przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

— Nie bardzo jest co rozwijać — powiedziała w końcu. — Należę do pewnej organizacji. Nieustannie poszukujemy nowych kandydatów na członków. Zazwyczaj prowadzimy selekcję deportowanych bezpośrednio po ich zejściu ze statku. Ale oprócz tego selekcyonerzy, tacy jak ja, szukają potrzebnych nam ludzi także i później.

— Potrzebnych wam, to znaczy jakich?

— Przykro mi, Will, ale nie takich jak ty.

— Dlaczego?

— Na początku poważnie myślałam o wciągnięciu cię do naszej organizacji — powiedziała Moera. — Wydawało mi się, że właśnie dokładnie o kogoś takiego nam chodzi. Ale potem sprawdziłam twoje dane.

— I?

— Nie prowadzimy rekrutacji wśród morderców. Czasami zatrudniamy ich do wykonania konkretnych zadań, ale nie przyjmujemy ich do organizacji. Chociaż uznajemy niektóre okoliczności łagodzące, jak na przykład działanie w samoobronie. W każdym razie uważamy, że ktoś, kto popełnił na Ziemi morderstwo z premedytacją, nie jest dla nas odpowiednim człowiekiem.

— Rozumiem — powiedział Barrent. — A gdybym ci powiedział, że mój stosunek do mordowania ludzi różni się zasadniczo od obowiązującego na Omedze, to by to coś pomogło?

— Wiem, że się różni — odparła Moera. — Gdyby to ode mnie zależało, przyjąłabym cię do organizacji. Ale nie ja podejmuję decyzje... Will, czy ty jesteś zupełnie pewien, że popełniłeś to morderstwo?

— Chyba tak. Przypuszczam, że tak.

— To fatalnie... Chociaż organizacji potrzebni są ludzie zdolni do przeżycia w najtrudniejszych okolicznościach, bez względu na to, co zrobili na Ziemi. Nie potrafię ci nic obiecać, ale jeszcze spróbuję porozmawiać na twój temat. Być może dobrze by było, gdybyś postarał się dowiedzieć, dlaczego popełniłeś to morderstwo. Zawsze mogą znaleźć się jakieś okoliczności łagodzące.

— Mogą... — mruknął Barrent z powątpiewaniem. — Postaram się dowiedzieć.

Tego wieczoru, gdy już prawie zasypiał, usłyszał skrzypnięcie drzwi sąsiedniego pokoju i ujrzał w nich Moerę. Szczupła i ciepła wśliznęła się do jego łóżka. Kiedy spróbował coś powiedzieć, zasłoniła mu ręką usta. A Barrent, który nauczył się, że szczęście trzeba chwycać, kiedy się pojawia, i o nic nie pytać, nie odezwał się już ani słowem.

Reszta urlopu upłynęła o wiele za szybko. Na temat organizacji więcej nie rozmawiali, za to drzwi łączące oba pokoje — być może w ramach rekompensaty — stały otworem. Na koniec, siódmego dnia urlopu, późnym wieczorem Barrent i Moera wrócili do Tetrahydy.

— Kiedy się znów zobaczymy? — spytał Barrent.

— Skontaktuję się z tobą.

— Nie mogę powiedzieć, żeby to była konkretna odpowiedź.

— To jedyna odpowiedź, jakiej mogę ci udzielić — odparła Moera. — Przykro mi. Will. Zobaczę, co da się zrobić w sprawie organizacji.

Barrent musiał się tym zadowolić. Kiedy pojazd Ministerstwa Sprawiedliwości wysadził go przed sklepem, w dalszym ciągu nie wiedział ani gdzie Moera mieszka, ani o jakiej organizacji mówiła.

Znalazłszy się w mieszkaniu, jeszcze raz zaczął szczegółowo roztrząsać treść swojego snu z Boutique'u Marzeń. Było w nim wszystko: wściekłość na Therkalera, nielegalna broń, spotkanie, zwłoki, a potem informator i sędzia. Brakowało tylko jednego. Nie było momentu popełnienia morderstwa, nie przypomniał sobie chwili, w której wyciągnął broń, wymierzył i nacisnął spust. Sen urwał się na spotkaniu z Therkalerem, po czym przeskoczył natychmiast do wydarzeń po jego śmierci. Może sam moment popełnienia morderstwa uległ w jego pamięci całkowitemu zablokowaniu, ale może też właśnie wtedy został jakoś szczególnie sprowokowany i właśnie wówczas stało się coś, co mogłoby go usprawiedliwiać. Musiał się tego dowiedzieć.

Były tylko dwie metody uzyskania informacji o tym, co zaszło na Ziemi. Pierwsza — to ponowne odwiedzenie Boutique'u Marzeń i skorzystanie z jego koszmarnych narkotycznych seansów, ale Barrent poprzysiągł sobie, że już nigdy więcej tego nie uczyni. Drugą metodą było zwrócenie się o pomoc do mutanta o zdolnościach projekcyjnych.

Barrent odczuwał wstręt do mutantów, podobnie jak wszyscy mieszkańcy Omegi. Mutanci stanowili całkowicie odrębną rasę, a ich status niedotykalnych nie wynikał wyłącznie z uprzedzeń. Powszechnie wiadomo było, że przenoszą wiele dziwnych i nieuleczalnych chorób. Stroniono od nich, a oni reagowali na to zamykaniem się we własnym środowisku. Mieszkali w Dzielnicy Mutantów, która stanowiła nieomal wydzielone, osobne miasto w

Tetrahydzie. Rozsądni obywatele trzymali się z dala od Dzielnicy Mutantów, zwłaszcza po zmroku. Dla nikogo nie było tajemnicą, że mutanci potrafią być mściwi.

Ale tylko oni posiadali zdolności projekcyjne. Ich zniekształcone ciała kryły w sobie niezwykle talenty i predyspozycje, przedziwne umiejętności, które zwykły człowiek traktował z odrazą i sceptycyzmem za dnia, lecz nocą często próbował potajemnie wykorzystać. Powiadano, że mutanci cieszyli się specjalnymi względami Szatana. Wielu uważało, że wielką sztukę Czarnej Magii, którą tak bardzo chętni się kapłani, uprawiać może jedynie mutant, ale nikt nigdy nie powiedział tego otwarcie w obecności żadnego kapłana.

Z uwagi na swe przedziwne uzdolnienia mutanci mieli jakoby pamiętać znacznie więcej z życia na Ziemi niż normalni ludzie. I to nie tylko generalnie, ale również potrafili podobno, cofając się w przestrzeni i czasie, dokonać projekcji nici życia pojedynczego człowieka i przebijając się przez mur zapomnienia powiedzieć mu dokładnie, co takiego zdarzyło się w jego przeszłości.

Inni zaś utrzymywali, że mutanci nie posiadają w ogóle żadnych niezwykłych zdolności. Uważali ich za przebiegłych łotrów, potrafiących żyć z ludzkiej głupoty i łatwowierności.

Barrent postanowił sam się przekonać, jak jest naprawdę. Pewnej ciemnej nocy, odpowiednio ubrany i uzbrojony, opuścił swe mieszkanie i udał się do Dzielnicy Mutantów.

Rozdział 13

Szedł wąskimi, krętymi uliczkami Dzielnicy, z jedną ręką ciągle błędzącą w pobliżu kolby pistoletu. Przechodził obok kulawych i niewidomych, mikro i hydrocefalicznych kretynów, minął jakiegoś ekwilibrystę, który żonglował

dwunastoma pochodniami, pomagając sobie w tym szcążkową trzecią ręką, wyrastającą mu z klatki piersiowej. Byli tu przekupnie, handlujący używaną odzieżą, zaklęciami i biżuterią, były furmanki, załadowane nieświeżo wyglądającą żywnością o przenikliwej i nie-przyjemnej woni. Przeszedł obok rzędu jasno pomalowanych burdeli, gdzie we wszystkich oknach siedziały dziewczęta, na-tarczywymi krzykami zachęcając go, by wstąpił do ich zakładu, a pewna czteroręka i sześciopalcowa kobieta powiedziała, że przyszedł w samą porę na Obrządki Delfickie. Barrent odwrócił się od niej i omal nie wpadł na monstrualnie grubą damę, która rozchyliła przed nim bluzkę, by zademonstrować osiem olb-rzymich, obwisłych piersi. W ostatniej chwili udało mu się ją ominąć, po czym przeszedł szybko obok połączonych syjamskich czworaczek, które wpatrywały się weń wielkimi, pełnymi łez oczami.

Skręcił w boczną uliczkę i zatrzymał się. Drogę zastępował mu wysoki mężczyzna w łachmanach z pokaźnym kijem. Miał tylko jedno oko. Miejsce, gdzie powinno się znajdować drugie, całkowicie zarosło gładką, pozbawioną owłosienia skórą. Lecz to jedno, prawe oko patrzyło spod krzaczastej siwej brwi ostro i przenikliwie.

— Życzy pan sobie skorzystać z usług prawdziwego projekcjонера? — spytał obdarty starzec.

Barrent skinął głową.

— Proszę za mną — powiedział mutant. Skręcił w jakiś zaułek, a Barrent posłusznie ruszył za nim, zaciskając mocniej kolbę swego promiennika. Prawo zabraniało mutantom noszenia broni, ale większość z nich, podobnie jak ten starzec, miała ciężkie, okute żelazem laski. W walce wręcz trudno było być lepiej uzbrojonym.

Mężczyzna otworzył jakieś drzwi i rozkazującym gestem polecił wejść do środka. Barrent zawahał się, pamiętając krążące po Tetrahydzie opowieści o naiwnych obywatelach, którzy wpadli w ręce mutantów. Wyciągnął do połowy promiennik i przekroczył próg.

Przy końcu długiego korytarza jednooki mutant uchylił drzwi i wprowadził go do małego, ledwie oświetlonego pomieszczenia. Kiedy oczy przywykły mu do ciemności, wyłowił z mroku zarysy postaci dwóch kobiet, siedzących przy prostym drewnianym stole. Na stole ustawiona była miska z wodą, w której znajdował się kawałek szkła wielkości pięści, oszlifowany ze wszystkich stron jak brylant.

Jedna z kobiet była bardzo stara i kompletnie łysa. Druga była młoda i niezwykle piękna. Kiedy Barrent podszedł bliżej, doznał szoku: nogi dziewczyny od kolan w dół łączyła pokryta łuską błona, a stopy miały kształt słabo rozwiniętej rybiej płetwy ogonowej.

— Jakiego rodzaju projekcji życzy pan sobie od nas, Obywatelu Barrent? — spytała młodsza z kobiet.

— Skąd pani zna moje nazwisko? — spytał Barrent, ale nie otrzymał odpowiedzi. — No dobra. Chcę się dowiedzieć czegoś o morderstwie, które popełniłem na Ziemi.

— Dlaczego to pana interesuje? Czy władze nie zapisały tego morderstwa na pana konto?

— Zapisały. Ale chcę się dowiedzieć, dlaczego je popełniłem. Może znajdzie się jakieś wytłumaczenie. Może popełniłem je w samoobronie.

— Czy to takie ważne?

— Dosyć — powiedział Barrent. Zawahał się na chwilę, po czym zdecydował, że musi zaryzykować. — Chodzi o to, że mam neurotyczne uprzedzenie do morderstwa. Nie mogę

się do niego zmusić. Dlatego bardzo chciałbym wiedzieć, z jakiego powodu popełniłem morderstwo na Ziemi.

Mutanci spojrzeli po sobie. Starzec uśmiechnął się szeroko i powiedział:

— Obywatelu, zrobimy dla pana wszystko, co będziemy mogli.

My, mutanci, także odczuwamy niechęć do morderstwa, ponieważ zwykle to właśnie my padamy jego ofiarą.

Jesteśmy całym sercem z obywatelami, którzy cierpią na antymorderczą neurozę.

— A więc pokażecie mi moją przeszłość?

— To nie takie proste — powiedziała młodsza z kobiet. — Projekcją, jak wszystkimi zdolnościami nadprzyrodzonymi, trudno się posługiwać. Nie zawsze się to udaje. A nawet jeśli się uda, to nie zawsze ujawnia się to, o co chodziło.

— Myślałem, że wszyscy mutanci potrafią zaglądać w przeszłość, kiedy tylko mają na to ochotę — powiedział Barrent.

— To nieprawda — odezwał się jednooki. — Po pierwsze, nie wszyscy, których sklasyfikowano jako mutantów, są nimi w rzeczywistości. Dziś niemal każdą deformację lub anomalię nazywa się mutacją. To bardzo poręczny termin na określenie wszystkich tych, którzy nie mieszczą się w ziemskich normach zachowania i wyglądu.

— Ale niektórzy z was są chyba prawdziwymi mutantami?

— Oczywiście. Chociaż i tu sprawa nie jest taka prosta, bo przecież istnieją różne rodzaje mutacji. Na przykład zwykle popromienne deformacje, takie jak gigantyzm, mikrocefalizm i tak dalej. Tylko niewielu z nas posiada jakiegokolwiek zdolności parapsychologiczne, choć prawdą jest, że przypisują je sobie wszyscy mutanci.

— A pan potrafiłby dokonać projekcji? — spytał Barrent.

— Nie, ale Mylą potrafi — odparł starzec, wskazując palcem na młodszą kobietę. — To znaczy czasami. Dziewczyna wpatrywała się bez słowa w miskę z wodą i spoczywającą w niej bryłę rżniętego szkła. Źrenice rozszerzyły jej się nienaturalnie, przesłaniając niemal całą tęczówkę, a jej syrenie ciało wyprężyło się i zeszywniało, podtrzymywane przez drugą kobietę.

— Zaczyna coś widzieć — powiedział starzec. — Woda i szkło służą wyłącznie do koncentracji uwagi. Mylą jest bardzo dobra w projekcyjnym widzeniu, choć czasami przeszłość miesza jej się z przyszłością. Takie rzeczy są bardzo kłopotliwe i przynoszą usługom projekcyjnym złą opinię. Ale, niestety, nic nie można na to poradzić. Co jakiś czas, tam w wodzie, ukazuje się przyszłość, a Mylą musi powiedzieć, co zobaczyła. W zeszłym tygodniu oznajmiła pewnemu Hadjiemu, że w ciągu czterech dni zginie — zachichotał starzec. — Trzeba było panu widzieć jego minę.

— Czy dostrzegła, w jaki sposób zginie? — spytał Barrent.

— Owszem, od pchnięcia nożem. Biedak nie wychodził z domu przez całe cztery dni.

— No i co? Zginął?

— Oczywiście. Zabiła go własna żona. To była podobno bardzo stanowcza niewiasta.

Barrent miał nadzieję, że Mylą nie przepowie mu przyszłości. I bez tego życie było wystarczająco trudne.

Tymczasem dziewczyna patrzyła teraz w górę ponad migotliwym kawałkiem szkła smutno kręcąc głową.

— Niewiele mogę panu powiedzieć — rzekła. — Nie byłam w stanie dojrzeć samego momentu popełnienia morderstwa. Natomiast ukazał mi się cmentarz, a na nim groby pana rodziców. To były stare groby, mogły mieć po

dwadzieścia lat. Cmentarz znajdował się niedaleko pewnego miejsca na Ziemi, które nazywa się Youngerstun. Barrent zaczął zastanawiać się nad tą nazwą, ale doszedł do wniosku, że nic mu ona nie mówi.

— Oprócz tego widziałam mężczyznę, który zna sprawę tego morderstwa. On może panu wszystko wyjaśnić, jeżeli taka będzie jego wola.

— Ten człowiek widział moment morderstwa?

— Tak.

— Czy to on na mnie doniósł?

— Nie wiem — odparła Mylą. Widziałam zwłoki człowieka, który nazywał się Therkaler, i stojącego obok mężczyznę. Jego nazwisko brzmi Illiardi.

— Czy on jest tutaj na Omedze?

— Tak. W tej chwili może go pan znaleźć w euforiarium przy ulicy Siekierki. Wie pan, gdzie to jest?

— Znajdę — powiedział Barrent. Podziękował dziewczynie i zaproponował zapłatę, której nie chciała jednak przyjąć. Sprawiała wrażenie bardzo przygnębionej. Kiedy Barrent wychodził na korytarz, zawołała:

— Niech pan na siebie uważa.

Barrent zatrzymał się w drzwiach i poczuł, że po plecach przebiegają mu lodowate ciarki.

— Czy widziała pani także moją przyszłość? — spytał.

— Tylko trochę — odparła dziewczyna. — Tylko kilka miesięcy naprzód.

— I co tam pani ujrzała?

— Nie potrafię tego wytłumaczyć — powiedziała dziewczyna. — To, co widziałam, jest zupełnie niewiarygodne.

— Proszę mi opowiedzieć.

— Widziałam pana martwego. A jednocześnie nie był pan wcale martwy. Przyglądał się pan zwłokom, które rozpadły się na maleńkie kawałki. Ale te zwłoki to też był pan.

— Co to może znaczyć?

— Nie wiem — powiedziała Myla.

Illiardy przyjrzał mu się uważnie, po czym pokręcił przecząco głową.

— Nie sędzę, że bym pana widział. Ale nie mogę być tego pewien. Przypominam sobie moment zabicia Therkalera, ale zaraz potem wszystko mi się zamazuje.

— Dziękuję panu — powiedział Barrent i wyszedł z euforiarium.

Euforiarium było dużym, krzykliwym lokalem, specjalizującym się w tanich narkotykach i afrodyzjakach. Jego klientelę stanowili głównie peoni i rezydenci. Barrent czuł się tu zupełnie nie na miejscu ze swym statusem Uprzywilejowanego Obywatela, kiedy przepychał się przez tłum, by spytać kelnera, gdzie może znaleźć człowieka o nazwisku Illiardy.

Kelner odpowiedział ruchem ręki. Barrent spojrział we wskazanym kierunku i ujrzał w samym rogu sali łysego, barczystego mężczyznę, siedzącego nad szklaneczką tanapiąuity. Podeszedł do stolika i przedstawił się.

— Miło mi pana poznać, Obywatelu — odparł Illiardy, okazując szacunek należny Uprzywilejowanemu Obywatelowi od Rezydenta II Kategorii. — Czym mógłbym panu służyć?

— Chcę panu zadać kilka pytań na temat Ziemi.

— Niewiele stamtąd pamiętam — odparł Illiardy — ale chętnie udzielę każdej odpowiedzi, którą znam.

— Czy pamięta pan człowieka o nazwisku Therkaler?

— Oczywiście — odparł Illiardy. — Chudy. Zezowaty. Świnia, jakich mało.

— Czy był pan obecny przy jego śmierci?

— Owszem. To była pierwsza rzecz, jaką sobie przypomniałem po zejściu ze statku.

— Czy widział pan, kto go zabił?

Illiardzi spojrział na Barrenta z wyraźnym zdumieniem.

— Jak to, czy widziałem? Przecież to ja go zabiłem.

Barrent zmusił się do opanowania.

— Jest pan tego pewien? — spytał spokojnym, rzeczowym tonem, — Absolutnie pewien?

— Oczywiście, że jestem pewien — odparł Illiardzi. — A jeśli ktoś to morderstwo sobie przypisuje, to będzie miał ze mną osobiście do czynienia. To ja zabiłem Therkalera i facet całkowicie sobie na to zasłużył.

— A czy, kiedy go pan zabijał, widział pan gdzieś w okolicy mnie? — spytał Barrent.

Rozdział 14

ulicach Tetrahydy w czasie Łowów Dnia Lądowania, a pewnego akwizytora Klubu Tortury Miesiąca po prostu przegnał. Nawet wizyty Wuja Ingemara nie były w stanie zmienić jego antyreligijnego nastawienia.

Wiedział, że doprasza się o kłopoty. Oczekiwał ich, a świadomość, że bez wątplenia nadejdą, wprawiała go w stan dziwnego podniecenia. Zresztą w łamaniu prawa na Omedze nie było nic złego — jeśli tylko udało się uniknąć przykrych konsekwencji.

Rozmowa z Illiardim dała Barrentowi do myślenia, ale im więcej myślał, tym mniej z tego wszystkiego rozumiał. Jeżeli to Illiardzi zabił Therkalera, to dlaczego na Omegę Meportowano właśnie jego? Jeżeli na początku aresztowano go przez zwykłą pomyłkę, to dlaczego nie wypuszczono go na wolność po wykryciu prawdziwego sprawcy? Dlaczego oskarżono go na Ziemi o zbrodnię,

której nie popełnił? I dlaczego miał ukryte w pamięci fałszywe wspomnienie, sugerujące, że to on właśnie jest mordercą?

Na te wszystkie pytania nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Wiedział jednak, że nigdy nie czuł się mordercą. A teraz jeszcze miał coś w rodzaju dowodu, że rzeczywiście nigdy nim nie był.

Pewność własnej niewinności wprowadziła w jego życie ogromne zmiany. Z coraz większym trudem tolerował omegańskie reguły zachowań, a już zupełnie stracił ochotę do podporządkowania się nakazom czynienia zła. Jedynym jego marzeniem stała się ucieczka z Omegi i powrót do prawowitego dziedzictwa na Ziemi.

Ale to właśnie było niemożliwe. Statki strażnicze patrolowały niebo dzień i noc. Nawet gdyby znalazł się jakiś sposób, by je ominąć, ucieczka nadal byłaby niemożliwa. Omegańska technika potrafiła wytwarzać jedynie silniki spalinowe, a wszystkie statki kosmiczne były nadzorowane przez ziemskie siły zbrojne.

Prowadził dalej swój sklep z antidotami, lecz brak zaangażowania społecznego stawał się z dnia na dzień coraz bardziej widoczny. Ignorował zaproszenia z Boutique'u Marzeń i nigdy nie brał udziału w cieszących się dużym powodzeniem publicznych egzekucjach. Kiedy organizowano pogrom w Dzielnicy Mutantów, zawsze wymawiał się bólem głowy. Ani razu nie pokazał się na ulicach Tetrahydy w czasie Łowów Dnia Lądowania, a pewnego akwizytora Klubu Tortury Miesiąca po prostu przegnał. Nawet wizyty Wuja Ingemara nie były w stanie zmienić jego antyreligijnego nastawienia.

Wiedział, że doprasza się o kłopoty. Oczekiwał ich, a świadomość, że bez wątpienia nadejdą, wprawiała go w stan dziwnego podniecenia. Zresztą w łamaniu prawa na

Omedze nie było nic złego — jeśli tylko udało się uniknąć przykrych konsekwencji.

Przed upływem miesiąca jego stanowczość wystawiona została na próbę. Gdy pewnego dnia wracał do sklepu, wpadł na niego w tłumie jakiś mężczyzna. Barrent usiłował go wyminąć, ale nieznajomy złapał go za ramię i obrócił.

— Uważasz, że kogo tu będziesz popychał, co?! — zawołał podniesionym głosem. Był niski i krępy. Jego ubranie wskazywało, iż posiadał status Uprzywilejowanego Obywatela. Pięć srebrnych gwiazdek na pasie z bronią oznaczało liczbę oficjalnie uznanych zabójstw.

— Nie popchnąłem pana — powiedział Barrent.

— Łżesz, ty mutanci synu.

Kiedy padła ta śmiertelna zniewaga, tłum natychmiast ucichł. Barrent cofnął się i czekał. Mężczyzna sięgnął po broń błyskawicznym, kunsztownie wypracowanym ruchem. Ale promiennik Barrenta wyprysnął z kabury o całe pół sekundy wcześniej.

Trafił nieznajomego prosto między oczy; następnie odwrócił się, czując za sobą jakiś ruch.

Dwóch Uprzywilejowanych Obywateli wyciągało pistolety termiczne. Barrent strzelił, mierząc odruchowo, po czym rzucił się na ziemię za osłonę wystawy sklepowej. Obaj napastnicy osunęli się bezwładnie na bruk ulicy.

Drewniana ściana spaczyła się pod działaniem termicznego ładunku, sypiąc wokół drzazgami, które poraniły Barrentowi rękę. Dojrzał jeszcze czwartego napastnika strzelającego doń z głębi ulicy. Położył go dwoma strzałami.

I już było po wszystkim. W ciągu kilku sekund zabił czterech ludzi.

Choć był zupełnie pewien, że nie posiada mentalności mordercy, ogarnęła go duma i radość. Strzelał wyłącznie w

samoobronie. I dał wszystkim łowcom statusów niezłą naukę — następnym razem pomyślą dwa razy, zanim zdecydują się wyciągnąć przeciw niemu broń. Istniała nawet pewna szansa, że skoncentrują się na łatwiejszych celach, a jego zostawią w spokoju.

Wróciwszy do sklepu, zastał w nim Joe'ego. Mały malwersant miał bardzo niewyraźną minę.

— Widziałem tę twoją dzisiejszą kanonadę — powiedział.

— Popisowa.

— Dziękuję — odparł Barrent.

— Myślisz, że to ci pomoże? Uważasz, że możesz dalej tak po prostu łamać sobie prawo i nic?

— Jak na razie uchodzi mi to jakoś na sucho.

— Jasne. Tylko, twoim zdaniem, jak długo będzie ci się to jeszcze udawać?

— Tak długo, jak długo będzie trzeba.

— Mylisz się — zaprzeczył Joe. — Nikt nie może w nieskończoność łamać prawa i wymigiwać się od konsekwencji. Tylko durnie wierzą, że to możliwe.

— Będą musieli dobrze się zastanowić, kogo tu po mnie przysłać — odparł Barrent, ładując swój promiennik.

— Załatwią to w zupełnie inny sposób — odparł Joe. —

Słuchaj, Will, ty nawet nie wiesz, jakie oni mają możliwości. Jeśli prawo zdecyduje się zadziałać, nic już nie będziesz mógł po prostu zrobić. I nie licz na to, że pomoże ci ta twoja dziewczyna.

— Znasz ją? — spytał Barrent.

— Ja znam wszystkich — odparł Joe markotnie. — Mam przyjaciół w rządzie. I wszędzie mają cię już zdecydowanie dość. Posłuchaj mnie, Will. Bo chyba nie chcesz skończyć jako trup?

Barrent potrząsnął głową.

Joe, czy możesz spotkać się z Moerą? — spytał. — Wiesz, jak się z nią skontaktować?

— Może — odparł Joe. — Ale po co?

— Chciałbym, żebyś jej coś powiedział. — Barrent zawahał się. — Chciałbym, żebyś jej powiedział, że nie popełniłem tego morderstwa, o które zostałem oskarżony na Ziemi.

Joe wytrzeszczył na Barrenta oczy.

— Czy ty się dobrze czujesz? — spytał.

— Jak najlepiej — odparł Barrent. — Znalazłem człowieka, który je popełnił. To Rezydent II Kategorii, nazywa się Illiardi.

— Ale po co o tym rozpowiadać? — spytał z niedowierzaniem Joe. — Masz na koncie morderstwo, więc po co mają ci je skreślić?

— Nie zabiłem tego człowieka — powiedział stanowczo Barrent. — I chciałbym, żeby Moera się o tym dowiedziała. Zrobisz to dla mnie?

— Zrobię — powiedział Joe. — Jeśli uda mi się ją odszukać. Słuchaj, obiecaj mi jednak, że nie zapomnisz, co ci powiedziałem. Bo może udałoby się jeszcze jakoś to ponaprawiać. Pójść na Czarną Mszę albo coś w tym rodzaju. To mogłoby pomóc.

— Może tak zrobię — odparł Barrent. Na pewno jej powiesz?

— Na pewno — przytaknął Joe i kręcąc markotnie głową, wyszedł na ulicę.

Rozdział 15

Trzy dni później odwiedził Barrenta wysoki, dystyngowany, starszy mężczyzna, trzymający się równie prosto jak urzędowa szpada, wisząca u jego boku. Miał na sobie płaszcz z wysokim kołnierzem, czarne spodnie i

czarne lśniące oficerki, co wskazywało, iż piastuje ważne stanowisko w rządzie.

— Rząd Omegi przesyła panu serdeczne pozdrowienia — powiedział dostojnik. — Nazywam się Norins Jay i jestem podsekretarzem stanu w Ministerstwie Igrzysk.

Przyszedłem tutaj, by zgodnie z wymogami prawa osobiście poinformować pana o jego ogromnym szczęściu.

Barrent uklonił się nieufnie i zaprosił swego gościa do mieszkania. Ale Jay, wyprostowany i nienaganny, wolał pozostać w sklepie.

— Wczoraj wieczorem przeprowadzono losowanie dorocznej Loterii — oznajmił na wstępie. — Pan, Obywatelu Barrent, został zdobywcą jednej z głównych nagród. Pragnę panu pogratulować.

— A jaka jest ta nagroda? — spytał Barrent. Słyszał już o dorocznej Loterii, ale miał tylko mgliste pojęcie, na czym ona polega.

— Nagrodą jest zaszczyt i sława — odparł Jay. — Pańskie imię uwiecznione w honorowej księdze Omegi. Pański dorobek zabójstw utrwalony dla potomności. Ponadto z rzeczy bardziej konkretnych otrzyma pan nowy rządowy model promiennika, a następnie zostanie pan pośmiertnie udekorowany Srebrną Odznaką Promienistego Słońca.

— Pośmiertnie?

— Oczywiście. Odznakę Promienistego Słońca przyznaje się wyłącznie po śmierci. Tym większy przynosi ona zaszczyt.

— No tak, z pewnością — powiedział Barrent. — Czy to już wszystko?

— Jeszcze nie — odparł Jay. — Jako zwycięzca Loterii weźmie pan udział w symbolicznej ceremonii Polowania, która otwiera doroczne Igrzyska. Polowanie, jak panu

zapewne wiadomo, stanowi ucieleśnienie naszego omegańskiego stylu życia. W Polowaniu odnajdujemy całą złożoność dramatu doznania i utraty łaski, w połączeniu z dreszczem emocji pojedynku i ekscytującym pościgiem. Nawet peonom wolno brać udział w Polowaniu, ponieważ jest to jedyne święto otwarte dla każdego i jedyne święto zarazem symbolizujące wspólną dla wszystkich ludzi zdolność do wzniesienia się ponad ograniczenia swego stanu.

— Jeśli dobrze rozumiem — powiedział Barrent — to jestem jednym z tych, którzy w owym Polowaniu zostali wybrani do pełnienia roli ofiary.

— Zgadza się — odparł Jay.

— Ale powiedział pan, że ceremonia jest symboliczna. Czy to ma oznaczać, że nikt nie zostanie zabity?

— Skądże znowu! — zaprzeczył Jay. — Na Omedze symbol i rzecz symbolizowana są zwykle jednym i tym samym. Kiedy mówimy Polowanie, mamy na myśli prawdziwe polowanie. W przeciwnym razie byłaby to zwykła farsa.

Barrent zamilkł na chwilę, by rozważyć sytuację, w jakiej się znalazł. Nie wyglądało to najlepiej. W zwykłym pojedynku jeden na jednego miał wielkie szanse przeżycia. Ale w dorocznym Polowaniu, w którym brali udział absolutnie wszyscy mieszkańcy Tetrahydy, o żadnych szansach nie było mowy. Choć w gruncie rzeczy należało się właśnie czegoś takiego spodziewać.

— W jaki sposób zostałem wybrany? — spytał.

— W drodze losowania — odparł Norins Jay. —

Stosowanie innych metod nie byłoby uczciwe wobec tych, którzy oddają swe życie ku chwale Omegi.

— Niewierzę, żebym został wybrany wyłącznie przypadkowo.

— Wybór był losowy — powiedział Jay. — Choć oczywiście losowano z przygotowanej listy odpowiednich kandydatów. Nie każdy może zostać Zwierzyną w Polowaniu. Zanim Komitet Organizacyjny Igrzysk zacznie rozważać czyjąś kandydaturę, musi zebrać niezbite dowody, że jest to człowiek o nieprzeciętnym sprycie, wytrzymałości i woli przetrwania. Zostać Zwierzyną w Polowaniu to niezwykle honor. To zaszczyt, którym nie obdarza się tak łatwo.

— Nie wierzę — powiedział Barrent. — Wy, tam w rządzie, chcieliście mnie po prostu załatwić. I teraz wam się to najwyraźniej udało. To jasne jak słońce.

— Skądże znowu. Mogę zapewnić, że ani ja, ani żaden z moich kolegów z rządu nie żywimy do pana nawet cienia niechęci. Być może dotarły do pana głupie plotki o mściwych urzędnikach, ale są to po prostu zwykłe pomówienia. Złamał pan prawo, lecz to już rządu nie interesuje. Teraz jest to sprawa wyłącznie między panem a prawem.

Mówiąc o prawie, Norins Jay wyprężył się jeszcze bardziej. Jego twarz nabrała stanowczego wyrazu, a lodowatobłękitne oczy błyszczały.

— Prawo — podjął Jay — jest ponad przestępcą i ponad sędzią, rządzi zarówno jednym, jak i drugim. Przed prawem nie ma ucieczki, każdy czyn bowiem jest z nim zgodny lub nie. O prawie można by wręcz powiedzieć, że żyje swoim własnym życiem, prowadzi egzystencję niezależną od woli tych, którzy je stosują. Prawo rządzi każdym przejawem ludzkiego zachowania. Dlatego też w tym samym stopniu, w jakim ludzie go przestrzegają, ono jest ludzkie. A będąc ludzkim, ma swoje idiosynkrazje, dokładnie tak, jak każdy człowiek. Dla obywatela, który żyje zgodnie z jego nakazami, prawo jest odległe i

niewyczuwalne. Lecz gdy ktoś odrzuca je i łamie, prawo wyłania się ze swych zatechłych grobowców i rusza w pogoń za swym gwałcicielem.

— I właśnie dlatego zostałem wybrany na ofiarę Polowania? — spytał Barrent.

— Oczywiście — odparł Jay. — Gdyby nie został pan wybrany w ten sposób, żarliwe i zawsze czujne prawo posłużyłoby się innymi metodami, wykorzystując jakikolwiek z instrumentów, którymi dysponuje.

— Dziękuję, że mi pan o tym powiedział. Ile czasu pozostało do rozpoczęcia Polowania?

— Polowanie rozpoczyna się jutro o świcie i trwa do pierwszego brzasku pojutrze.

— A co by było, gdybym nie został zabity?

Norins Jay uśmiechnął się nieznacznie.

— To zdarza się tak rzadko, Obywatelu Barrent, że nie musi się pan o to martwić.

— Ale jednak się zdarza?

— Owszem. Ten, kto przeżyje Polowanie, automatycznie bierze udział w Igrzyskach.

— A gdybym przeżył także Igrzyska?

— Niech pan nie będzie dzieckiem — odparł Jay dobrotliwie.

— Ale co wówczas?

— Niech mi pan wierzy. Obywatelu Barrent, że pan ich nie przeżyje.

— Mimo to chciałbym wiedzieć, co by się stało, gdybym je przeżył.

— Ten, kto przeżyje Igrzyska, zostaje wyniesiony ponad prawo.

— To brzmi obiecująco — powiedział Barrent.

— Ale tylko brzmi. Prawo, nawet najgroźniejsze, jest zawsze pańskim stróżem. Może pan mieć bardzo niewiele

przywilejów, ale prawo gwarantuje ich respektowanie. Tylko prawo powstrzymuje mnie przed zabiciem pana tu i teraz. — Rozwarł dłoń i pokazał Barrentowi maleńki jednonabojowy pistolet. — Prawo ustanawia granice i działa jako modyfikator zachowań zarówno tego, który je łamie, jak i tego, który je egzekwuje. Żeby nie było żadnych wątpliwości, Obywatelu Barrent: prawo stanowi, że musi pan umrzeć. Ale umrzeć muszą kiedyś wszyscy. Prawo zaś powoli i głęboko w sobie określa termin, w którym ma się to dokonać. Obecnie pozostawia panu co najmniej jeszcze jeden dzień. Gdyby nie prawo, nie zostałaby panu nawet sekunda.

— A co będzie, jeżeli przeżyję Igrzyska — spytał Barrent — i stanę ponad prawem?

— Ponad prawem jest tylko jedno — odparł Norins Jay w zadumie sam On: Szatan. Ci, którzy stoją ponad prawem, należą do niego. Ale lepiej umrzeć tysiąc razy, niż wpaść żywcem w jego ręce.

Barrent już na samym początku rozstał się z religią Zła, uznając ją za zabobonną bzdurę. Ale teraz żarliwa przemowa Norinsa Jaya zaczęła go zastanawiać. Co innego zwyczajne wielbienie Zła, a co innego obecne spotkanie z jego uosobieniem.

— Ale przy odrobinie szczęścia podjął Jay — zostanie pan zabity w miarę szybko. A teraz, na zakończenie naszej rozmowy, chciałbym udzielić panu ostatnich instrukcji. Nie wypuszczając z ręki maleńkiego pistoletu, drugą ręką sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej czerwoną kredkę. Szybkim wprawnym ruchem przeciągnął nią po czole i policzkach Barrenta. Nim Barrent zdążył drgnąć, Jay chował już kredkę z powrotem do kieszeni.

— To piętnuje pana jako Zwierzynę — powiedział. — Znaki te są nie do usunięcia. A tu jest pana promiennik,

model rządowy. — Wyjął z kieszeni płaszcza jakiś pistolet i położył go na stole. — Polowanie, jak już mówiłem, rozpoczyna się z pierwszym brzaskiem dnia. Od tego momentu każdy może pana zabić, z wyjątkiem innych ściganych. Pan ma prawo bronić się i oczywiście zabijać, ale radziłbym zachować przy tym jak najdalej idącą rozwagę. Huk i błysk wystrzału z promiennika bardzo szybko naprowadzają na trop ściganego. Jeśli zdecyduje się pan gdzieś ukryć, niech pan upewni się, że jest tam zapasowe wyjście. Inni znają Tetrahydę znacznie lepiej niż pan. Wytrawni myśliwi dawno zbadali wszystkie potencjalne kryjówki i wielu ściganych udaje im się osaczyć już w pierwszych godzinach święta. Powodzenia, Obywatelu Barrent.

Jay podszedł do drzwi, otworzył je, po czym zatrzymał się i odwrócił do Barrenta.

Dodam jeszcze — powiedział że istnieje pewna rzadko wykorzystywana możliwość, by zachować w czasie Polowania zarówno wolność, jak i życie. Ponieważ jednak jest to zabronione, nie mogę panu powiedzieć jaka.

Po tych słowach Norins Jay uklonił się i wyszedł.

miał nadzieję, że Moera i jej organizacja przyjdą mu w ostatniej chwili z pomocą.

Ale żadna pomoc nie nadeszła. Godzinę przed świtem Barrent zarzucił na ramię swój plecak i opuścił sklep z odtrutkami. Nie miał pojęcia, co robili inni ścigani — on zdecydował się już na miejsce, które mogłoby być bezpieczne od nagonki.

Po długotrwałym szorowaniu twar/.y Barrent stwierdził, że szkarłatne piętno Zwierzyny jest rzeczywiście nie do usunięcia. Późnym wieczorem rozłożył rządowy promiennik na części i dokładnie je zbadał. Tak jak

podejrzewał, broń była niezdatna do użytku. Odłożył ją i wyjął własny pistolet.

Przygotowując się do Polowania zapakował do niewielkiego plecaka kilka kanapek, butelkę z wodą, spory kawałek liny. nóż. dodatkowe magazynki z amunicją i zapasowy promiennik, po czym usiadł i zaczął czekać. Wbrew wszystkiemu ciągle jeszcze

Rozdział 16

Władze Omegi zgodne są, że charakter ściganego ulega zmianie. Gdyby ścigany był w stanie spojrzeć na Polowanie jako na zagadnienie czysto abstrakcyjne, mógłby zapewne dojść do mniej lub bardziej słusznych wniosków. Ale typowy ścigany, niezależnie od poziomu inteligencji, nie potrafi rozdzielić emocji od rozsądku. W końcu to właśnie on jest Zwierzyną. I natychmiast ogarnia go paralizujący strach. Zdaje mu się, że bezpieczeństwo leży w odległości i głębokości. Uchodzi jak najdalej od domu, kryje się w głębi ziemi, w labiryncie kanałów ściekowych i rur.

Wybiera ciemność zamiast jasności, puste miejsca woli od zatłoczonych.

Doświadczeni myśliwi świetnie znają te zachowania. Nic dziwnego zatem, iż przeszukują najpierw miejsca ustronne i mroczne, przejścia podziemne, opuszczone budynki i sklepy. Tam właśnie znajdują i stamtąd wypłaszają ściganych z nieubłaganą precyzją.

Barrent dokładnie to sobie przemyślał. Opanował pierwszy odruch, by ukryć się w skomplikowanej sieci kanałów ściekowych Tetrahydy. Zamiast tego, na godzinę przed świtem, udał się do wielkiego, jasno oświetlonego budynku, w którym mieściło się Ministerstwo Igrzysk.

Począł na moment, kiedy na korytarzach nie było nikogo widać, szybko wszedł do środka, przebiegł wzrokiem

tablice informacyjną i wspinał się po schodach na trzecie piętro. Minał kilkanaście pokoi, aż wreszcie zatrzymał się przed drzwiami, na których widniał napis: **NORINS JAY, PODSEKRETARZ STANU W MINISTERSTWIE IGRZYSK**. Chwilę nasłuchiwał poci drzwiami, po czym otworzył je i wszedł do środka.

Trudno byłoby pomówić starego Jaya o brak refleksu. Jeszcze zanim Barrent zdążył zamknąć za sobą drzwi, dostojnik zauważył na jego twarzy szkarłatne piętno i błyskawicznie sięgnął do szuflady.

Barrent nie miał najmniejszej ochoty go zabijać. Cisnął w Jaya rządowym promiennikiem, trafiając go prosto w czoło. Jay zatoczył się do tyłu i osunął po ścianie na podłogę.

Barrent pochylił się nad nim i stwierdził, że puls ma dobrze wyczuwalny. Związał i zakneblował wiceministra, po czym usunął go z widoku, wpychając pod biurko.

Przerzuciwszy zawartość kilku szuflad, znalazł tabliczkę z napisem: **KONFERENCJA — NIE PRZESZKADZAĆ**, wywiesił ją na zewnątrz i zamknął drzwi na klucz.

Następnie wyciągnął z kabury promiennik i usiadł za biurkiem czekając na rozwój wypadków.

Nastał świt i nad Omegą weszło wodniste słońce. Z okna gabinetu Jaya widać było wylęgające na ulice tłumy. W mieście zapanowała gorączkowa atmosfera karnawału, a świąteczną wrzawę przerywał jedynie od czasu do czasu syk wystrzału z pistoletu termicznego lub głucha detonacja broni konwencjonalnej.

Nadeszło południe, a na trop Barrenta ciągle jeszcze nikt nie wpadł. Poza tym okazało się, że przez okno gabinetu można wydostać się na dach. Barrent bardzo się ucieszył, znalazłszy to zapasowe wyjście. Jego kryjówka zatem była dokładnie taka, jaką mu zalecał Jay.

Kilka godzin później Jay odzyskał przytomność. Przez chwilę szarpał się pod biurkiem usiłując zerwać więzy, po czym uspokoił się.

Tuż przed zapadnięciem zmierzchu ktoś zapukał do drzwi.

— Czy mogę wejść, panie ministrze? — dobiegło z korytarza.

— Nie w tej chwili — odparł natychmiast Barrent głosem, który wydawał mu się znośną imitacją głosu Jaya.

— Pomyślałem, że zainteresują pana statystyki Polowania

— odezwał się ponownie głos. — Do tej pory Obywatele zabili siedemdziesięciu trzech ściganych, co oznacza, że zostało ich jeszcze osiemnastu. To ogromna poprawa w stosunku do zeszłego roku.

— Owszem — odparł Barrent.

— W tym roku znacznie wzrósł procent osób, które ukryły się w sieci kanalizacyjnej. Kilku próbowało sztuczki z pozostaniem we własnych domach. Teraz przeczesujemy resztę tradycyjnych miejsc.

— Doskonale — powiedział Barrent.

— Jak do tej pory żaden jeszcze nie prysnął — ciągnął mężczyzna. — Dziwne, że tak rzadko przychodzi im to do głowy. Chociaż oczywiście zaoszczędzi to nam konieczności użycia maszyn.

Barrent nie mógł zrozumieć, o czym facet mówi.

„Prysnął”? Dokąd tu można było „prysnąć”? I o co chodziło z tymi maszynami?

— Wybieramy już alternatywną obsadę Igrzysk — dodał po chwili głos. — Chcielibyśmy uzyskać od pana zatwierdzenie listy.

— Zdaję się na was — odparł Barrent.

— Tak jest, panie ministrze — powiedział mężczyzna.

Po chwili z korytarza dobiegł odgłos kroków, kierujących się w głąb budynku. Barrent uznał, że facet zaczął coś

podejrzewać. Za długo trwała ta rozmowa, powinien ją przerwać wcześniej. Może lepiej by było przenieść się do innego gabinetu.

Zanim jednak zdążył cokolwiek zrobić, drzwi zadudniły pod ciężkimi uderzeniami pięści.

— Słucham? — odezwał się Barrent.

— Inspekcja Obywatelska — powiedział tubalny głos. — Proszę otworzyć. Mamy powody podejrzewać, że w tym gabinecie ukrywa się jeden ze ściganych.

— Bzdura — odparł Barrent. Nie możecie tu wejść. To jest pomieszczenie należące do instytucji rządowej.

— Owszem, możemy — odparł tubalny głos. — W Dniu Polowania każdy Obywatel ma dostęp do absolutnie wszystkich mieszkań, biur i urzędów Omegi. Otwiera pan, czy nie?

Barrent zdążył już podejść do okna. Kiedy je otwierał, słyszał za plecami, jak mężczyźni wyważają drzwi. Strzelił w ich stronę dwukrotnie, żeby dać im nieco do myślenia, po czym wyszedł przez okno.

Już na pierwszy rzut oka zorientował się, że dachy Tetrahydy stanowią wprost wymarzoną kryjówkę dla ściganych i dlatego też było to ostatnie miejsce, w którym ścigani powinni się znajdować. Labirynt stłoczonych dachów, kominów i strzelistych wieżyczek sprawiał wrażenie, jakby wykonano go na zamówienie dla jakiegoś pościgu. Zresztą polujący mężczyźni już tam byli.

Przywitali Barrenta wrzaskami, gdy tylko się pojawił.

Barrent zerwał się do biegu. Część myśliwych znajdowała się z tyłu, a pozostali próbowali zabiec mu drogę bokami. Nie namyślając się przeskoczył półtorametrową przestrzeń między budynkami, zdołał jakoś utrzymać równowagę na stromym dachu i przelazł na drugą stronę.

Strach dodał mu skrzydeł. Myśliwi wyraźnie za nim nie nadążali. Gdyby posuwał się w takim tempie przez następne dziesięć minut, zostawiłby ich daleko w tyle. A wówczas miałby dość czasu, by zejść z dachów i poszukać sobie nowej kryjówki.

Znów pojawiła się przed nim półtorametrowa przestrzeń między budynkami i znów przesadził ja bez chwili wahania.

Wylądował dobrze. Ale jego prawa noga przebiła na wylot przegniłe gonty i ugrzęzła w nich po biodro. Zaczął się szamotać próbując ją jakoś wyrwać, lecz na stromym, kruchym dachu nigdzie nie mógł znaleźć odpowiedniego oparcia.

— Tam jest!

Zaczął gwałtownie szarpać gonty obiema rękami. Myśliwi byli już prawie w zasięgu strzału. Jeszcze chwila i będzie stanowił łatwy cel, jeśli nie zdoła wydostać nogi.

Nim myśliwi pojawili się na dachu sąsiedniego budynku, udało mu się wyrwać metrową dziurę w przegniłym poszyciu. Oswobodził w ten sposób nogę i nie widząc innego wyjścia, wskoczył przez dziurę do wnętrza domu. Przez sekundę znajdował się w powietrzu, aż wreszcie uderzył nogami w stół, który załamał się pod jego ciężarem. Barrent wyrócił się na podłogę, po czym wstał i ujrzał, że znajduje się w salonie kogoś z klasy Hadji. Niecały metr od niego, w fotelu na biegunach, siedziała staruszka. Twarz miała skamieniałą z przerażenia i bujała się mechanicznie.

Tymczasem z dachu dochodziły już odgłosy zbliżającego się pościgu. Barrent dostał się przez kuchnię do tylnego wyjścia, przebiegł pod rzędami sznurów z suszącą się bielizną i przeskoczył przez niski żywopłot. Ktoś strzelił do niego z okna na piętrze. Spojrzawszy w górę zobaczył

małego chłopca, który próbował celować z ciężkiego pistoletu termicznego. Ojciec najpewniej zabronił mu brać udział w Polowaniu w mieście.

Wypadł na ulicę i biegł co tchu, dopóki nie natrafił na boczny zaułek. Wyglądał jakoś znajomo. I nagle Barrent zorientował się, że jest w Dzielnicy Mutantów, niedaleko domu Myli.

Z tyłu coraz głośniejsze dobiegały nawoływania pogoni.

Dopadł domu Myli. Drzwi były otwarte.

Wewnątrz znajdowali się wszyscy: jednooki starzec, łysa staruszka i Myła. Nie wydawali się zaskoczeni jego nagłym pojawieniem się w drzwiach.

— A więc wybrali pana w Loterii — powiedział jednooki.

— Tak właśnie myśleliśmy.

— Czy Mylą widziała to w wodzie? — spytał Barrent.

— Nie było takiej potrzeby — odparł starzec. —

Zważywszy na pana osobę łatwo to można było przewidzieć. Zuchwały, ale nie bezlitosny. W tym cały kłopot, Barrent.

Mutant nie używał już obligatoryjnej formy zwracania się do Uprzywilejowanego Obywatela, ale w zaistniałych okolicznościach to także było łatwe do przewidzenia.

— Rok po roku powtarza się dokładnie to samo — ciągnął.

— Byłby pan zdumiony, jak wielu takich jak pan, obiecujących, młodych ludzi kończy w tym pokoju zupełnie bez tchu, trzymając promiennik, jakby ważył tonę i mając za sobą pogoń o trzy minuty z tyłu. Każdy z was liczy, że mu pomożemy, ale mutanci lubią trzymać się z dala od kłopotów.

— Zamknij się, Dem — odezwała się staruszka.

— Ale tym razem chyba musimy panu pomóc — ciągnął Dem. — Mylą tak zdecydowała z siebie tylko znanych powodów. — Uśmiechnął się sardonicznie. — Matka i ja

tłumaczyliśmy jej, że nie ma racji, ale ona się uparła. A ponieważ to właśnie ona, jako jedyna z nas, potrafi widzieć przyszłość, musimy pozwolić jej iść własną drogą.

— Nawet przy naszej pomocy — odezwała się Mylą — są małe szanse, że uda się panu przeżyć Polowanie.

— Jeżeli mnie zabiją — powiedział Barrent — to jak mogłaby się sprawdzić pani przepowiednia? Pamięta pani, miałem przyglądać się moim własnym zwłokom, które rozbite były na drobne kawałki.

— Pamiętam — odparła Mylą. — Ale pańska śmierć nie będzie miała żadnego wpływu na przepowiednię. Jeśli nie sprawdzi się ona w teraźniejszym pańskim życiu, to po prostu dogoni pana w następnym wcieleniu.

Barrent nie czuł się tym wcale pocieszony.

— Co mam robić? — spytał. Starzec wręczył mu garść łachmanów.

— Niech pan to założy — powiedział. — A ja zajmę się pańską twarzą. Od tej chwili będziesz, przyjacielu, mutantem.

Już wkrótce Barrent znalazł się z powrotem na ulicy. Miał na sobie łachmany, pod którymi trzymał w pogotowiu promiennik. Drugą ręką wyciągnął przed siebie jałmużną miseczkę. Jednooki starzec nie szczędził różowawożółtej masy plastycznej. Twarz Barrenta była teraz monstrualnie obrzmiała w okolicach czoła i miała płaski, bardzo szeroki nos, rozciągający się na boki aż do kości policzkowych.

Dzięki tym zmianom nie sposób było jej rozpoznać, a przede wszystkim zniknęło z niej piętno ofiary Polowania.

Grupa myśliwych przemknęła obok, ledwie na niego spojrzawszy. W Barrenta znów zaczęła wstępować nadzieja. Udało mu się zyskać mnóstwo cennego czasu.

Ostatnie promienie wodnistego słońca Omegi chowały się właśnie za linię horyzontu. Noc otwierała przed nim nowe

szansę i przy odrobinie szczęścia powinno mu się udać przetrwać do świtu. Potem były, oczywiście, Igrzyska, ale Barrent nie miał zamiaru brać w nich udziału. Gdyby jego przebranie okazało się na tyle dobre, by uchronić go przed całym rozpalonym gorączką Polowania miastem, to nie było powodu, dla którego miałby się dać złapać na Igrzyska.

Być może, kiedy święta już się skończą, będzie mógł wrócić do społeczeństwa. Całkiem też prawdopodobne, że jeśli udało mu się przeżyć Polowanie i uniknąć Igrzysk, zostałby specjalnie nagrodzony. Takie zuchwałe i uwieńczone powodzeniem pogwałcenie prawa powinno być przecież jakoś wyróżnione.

Tymczasem zbliżała się następna grupa myśliwych. Było ich pięciu, a wśród nich znajdował się Tem Rend, groźny i dumny w swym nowym uniformie Cechu Morderców.

— Hej, ty tam! — wrzasnął jeden z myśliwych. — Nie widziałeś przechodzącej tędy jakiejś Zwierzyny?

— Nie, Obywatelu — odparł Barrent, pochylając z szacunkiem głowę i trzymając w pogotowiu pod łachmanami promiennik.

— Nie wierz mu — powiedział inny myśliwy. — Te przekłete mutanty nigdy nie chcą nic powiedzieć.

— Chodźcie, znajdziemy go — zawołał trzeci z mężczyzn i grupa myśliwych ruszyła do przodu. Tem Rend jednak pozostał.

— Jesteś pewien, że nie widziałeś tutaj żadnego ze ściganych? — spytał.

— Całkowicie, Obywatelu — odparł Barrent, zastanawiając się, czy Rend go rozpoznał. Nie miał ochoty go zabijać; zresztą prawdę mówiąc, nie był wcale pewien, czyby mu się to w ogóle udało, ponieważ Rend miał niesamowity refleks. Co prawda trzymał teraz swój

promiennik luźno przy boku, podczas gdy Barrent cały czas już do niego mierzył i ta przewaga ułamka sekundy chyba wyrównywała ich szansę, ale gdyby przyszło co do czego, to wynik pojedynku byłby zapewne remisowy, co w tych warunkach oznaczało, iż pozabijaliby się nawzajem. — No dobra — mruknął Rend. — Gdybyś jednak któregoś z nich zobaczył, to powiedz mu, żeby nie próbował ukryć się w przebraniu mutanta.

— Dlaczego?

— Ta sztuczka bardzo szybko się wydaje — odparł gładko Rend. — Można na tym zarobić najwyżej około godziny wytchnienia, zanim informatorzy zdążą faceta rozszyfrować. Gdybym to ja był Zwierzyną i musiał przebrać się za mutanta, przynajmniej nie siedziałbym na tym krawężniku, tylko pryskałbym z Tetrahydy.

— Jak to?

— Całkiem po prostu. Każdego roku kilku ściganych ucieka w góry. Prawie nikt o tym nie wie, gdyż władze oczywiście zachowują to w tajemnicy. Ale Cech Morderców prowadzi pełną kartotekę wszystkich sztuczek, metod i dróg ucieczki, jakie kiedykolwiek zostały użyte. Należy to do naszego fachu.

— To bardzo interesujące — powiedział Barrent. Wiedział już, że Rend go rozpoznał. Zachowywał się jak dobry sąsiad, ale za to: kiepski morderca.

— Oczywiście wydostać się z miasta nie jest łatwo — ciągnął Rend. — A poza tym, jak już się człowiekowi uda, to wcale nie oznacza, że ma wszystko z głowy. Cały czas trzeba uważać na patrole myśliwych, a co gorsza... Nagle przerwał. Zbliżała się do nich następna grupa mężczyzn. Rend miło się uklonił i odszedł. Barrent poczekał, aż uzbrojeni mężczyźni oddalą się, po czym

podniósł się z krawężnika i ruszył przed siebie. Rada Renda wcale nie była taka głupia. To oczywiste, że niektórym musiało się udawać uciec z miasta. Życie w górskich pustkowiach Omegi bez wątplenia nie należało do łatwych, ale największe nawet trudności były lepsze niż śmierć.

Jeżeli zdoła przedostać się poza bramy miasta, będzie musiał uważać na patrole. Ale Tem wspomniał o czymś jeszcze gorszym. Co to takiego mogło być? Może jakieś grupy szkolone specjalnie do polowań w górach? Może jakieś anomalie pogodowe? Trująca roślinność? Niebezpieczne zwierzęta? Szkoda, że Rend nie skończył tego ostatniego zdania.

Z zapadnięciem nocy zbliżył się do Bramy Południowej. Żałośnie zgarbiony pokuśtykał w kierunku straży, zagradzającej mu drogę.

Rozdział 17

Ze strażnikami nie było żadnych kłopotów. Całe rodziny mutantów uciekały z miasta, szukając w górach schronienia przed szaleńczym Polowaniem. Barrent przyłączył się do jednej z takich grup i wkrótce znalazł się dwa kilometry za Tetrahydą, u podnóża wzgórz otaczających miasto łagodnym półkolem.

Tutaj mutanci zatrzymali się i rozbili obóz. Barrent ruszył dalej i przed północą zaczął się wspinać po skalistym, osmaganym wiatrami zboczu jednej z wyższych gór. Był głodny, ale chłodne, czyste powietrze wprawiało go w nastrój radosnego podniecenia. Zaczai wierzyć, że jednak uda mu się jakoś przeżyć Polowanie.

Usłyszał grupę hałaśliwych łowców, przeczesujących podnóże góry, ale w panujących wokół ciemnościach nie

byli w stanie go dostrzec. Wspinał się dalej. Wkrótce przestały docierać doń jakiekolwiek dźwięki poza jednostajnym świstem wiatru na skalistych urwiskach. Najprawdopodobniej była już jakaś druga rano — do świtu pozostały tylko trzy godziny.

Zacząło padać. Deszcz, początkowo nieznaczny, wkrótce przekształcił się w zimną ulewę. Nie była to na Omedze pogoda trudna do przewidzenia. Tak jak nietrudne do przewidzenia było, że ponad górami uformują się ogromne, czarne, burzowe chmury, siejące dudniącymi grzmotami i jaskrawożółtymi zygzakami błyskawic. Barrent znalazł schronienie w niewielkiej jaskini i uważał się za szczęśliwca, ponieważ temperatura jak do tej pory specjalnie nie spadła.

Usiadł pod skalną ścianą, a po twarzy spływały mu resztki charakterystycznej. Na wpół przysypiając obserwował zbocze poniżej wejścia do jaskini. Nagle w połyskującym blasku jednej z błyskawic spostrzegł, że coś porusza się w górę po skałach prosto w jego stronę.

Wstał i z promiennikiem gotowym do strzału czekał na następny błysk światła. Kiedy po chwili niebo znowu się rozświetliło, dostrzegł zimny, mokry połysk metalu, migające czerwone i zielone światełka i parę metalowych chwytaków, czepiających się skalnych występów i rosnących między kamieniami maleńkich krzewów. Była to maszyna podobna do tej, z którą walczył w podziemiach Ministerstwa Sprawiedliwości. Teraz już wiedział, przed czym chciał go ostrzec Rend. I dlaczego tak niewielu ściganych przeżyło Polowanie, nawet jeśli udało im się wymknąć z Tetrahydy. Tym razem Max z pewnością nie będzie działał na chybił trafił, żeby wyrównać szansę pojedynku. I nie będzie już łatwych do znalezienia bezpieczników.

Kiedy Max pojawił się w zasięgu strzału, Barrent nacisnął spust. Plama błysku ześliznęła się po pancерnej skorupie maszyny, nie wyrządzając jej najmniejszej szkody.

Barrent wyskoczył z jaskini i zaczął się wspinać.

Max uparcie pełzył za nim po zdradliwym, mokrym zboczu.

Barrent spróbował zgubić go na osypisku ruchomych złomów skalnych, ale maszyna mocno trzymała się podłoża. Podejrzewał, iż musiała kierować się zapachem i najprawdopodobniej była zaprogramowana na zapach niezmywalnej farby, którą znaczone ściganych.

Na bardziej stromym fragmencie zbocza Barrent zaczął rzucać za siebie kamienie licząc, iż wywoła w ten sposób lawinę. Max jednak omijał większość spadających głazów, te zaś, które w niego uderzały, nie czyniły mu żadnej szkody.

W końcu Barrent dotarł do miejsca, z którego dalsza wspinaczka była już niemożliwa. Przed nim i po bokach znajdowały się już tylko wysokie, pionowe ściany urwiska. Czekał. Kiedy maszyna wyłoniła się z mroku, przyłożył lufę promiennika do jej metalowej skorupy i nacisnął spust.

Max zadrżał pod uderzeniem pełnego ładunku promiennika. Lecz już w następnej chwili odepchnął broń na bok i owinał metalowe ramię wokół szyi Barrenta.

Twarde przeguby zwarły się. Barrent poczuł, że zaczyna tracić przytomność. Przez chwilę zastanawiał się, czy umrze uduszony, czy też na skutek zmiżdżenia kręgosłupa.

I nagle ucisk zelżał. Maszyna cofnęła się o kilkadziesiąt centymetrów. Daleko na horyzoncie pojawiły się pierwsze szare smugi brzasku. Przeżył Polowanie. Program maszyny nie pozwalał jej zabić go po nastaniu świtu. Ale

także nie pozwalał jej go wypuścić. Uwięziła go w ciasnym załamaniu skalnej ściany aż do nadejścia myśliwych. Zaprowadzono go z powrotem do Tetrahydy, gdzie oszalały z entuzjazmu tłum przywitał go jak bohatera. Po dwugodzinnym pochodzie, Barrenta i czterech innych mężczyzn, którym udało się ująć z życiem z Polowania, zaprowadzono do biura Komitetu Nagród. Prezes Komitetu wygłosił krótkie i wzruszające przemówienie na temat sprytu i odwagi, jaką wykazali, wychodząc cało z Polowania. Nadał wszystkim pięciu godność Hadjich i obdarował ich złotymi kolczykami, oznakami nowo uzyskanego statusu. A na koniec życzył każdemu z właśnie nobilitowanych lekkiej śmierci w czasie Igrzysk.

Rozdział 18

Z Komitetu Nagród strażnicy przeprowadzili Barrenta wzdłuż rzędu lochów pod Areną i zamknęli go w jednej z cel. Powiedziano mu, by był cierpliwy: Igrzyska już się rozpoczęły i jego kolej wkrótce nadejdzie.

W celi zbudowanej dla trzech osób tłoczyło się dziewięciu mężczyzn. Większość z nich siedziała lub leżała na podłodze w zupełnej apatii, z cichą rezygnacją oczekując śmierci. Tylko jeden z nich z całą pewnością nie pogodził się ze swym losem. Kiedy Barrent wszedł do celi, człowiek ten przepchnął się energicznie w jego stronę.

— Joe!

Mały malwersant wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— To niezbyt sympatyczne miejsce na spotkania, Will.

— Skąd się tu wzięłeś?

— Rozgrywki polityczne — odparł Joe. — Politykowanie na Omedze to niebezpieczne zajęcie. Zwłaszcza w czasie Igrzysk. Wydawało się, że nic mi nie mogą zrobić, ale... —

Wzruszył ramionami. — Dziś rano zostałem wybrany do wzięcia udziału w Igrzyskach.

— Czy jest jakaś szansa, żeby się stąd wydostać?

— Może i jest — odparł Joe. — Powiedziałem tej twojej dziewczynie, co mi kazaleś, więc pewnie jej przyjaciele coś wymyślą. Ja osobiście oczekuję na ułaskawienie.

— To możliwe?

— Wszystko jest możliwe. Choć lepiej zbytnio na to nie liczyć.

— Na czym polegają te Igrzyska? — spytał Barrent.

— Są dokładnie takie, jak można się było spodziewać — odparł Joe. — Walki jeden na jednego, bitwy z przeróżnymi przedstawicielami omegańskiej fauny i flory, pojedynki na promienniki i pistolety termiczne... Podobno jest to wierna kopia starych ziemskich festynów.

— I jeśli ktoś przeżyje, staje ponad prawem — powiedział Barrent.

— Zgadza się.

— Ale co to tak naprawdę znaczy „stanać ponad prawem”?

— Nie mam pojęcia — odparł Joe. — Wygląda na to, że właściwie nikt nic na ten temat nie wie. Mnie się udało tylko dowiedzieć, że tych, którzy przetrwają Igrzyska, zabiera Szatan. Podobno to nic przyjemnego.

— Domyślam się. Na Omedze niewiele jest przyjemności.

— Wcale nie jest tu aż tak fatalnie — odparł Joe. — Nie masz tylko odpowiedniego wyczucia...

Nagle przerwał na widok zbliżającego się silnego oddziału straży. Przyszła kolej na Barrenta i jego współtowarzyszy.

— Nici z ułaskawienia — powiedział Barrent.

— Takie życie — odparł Joe.

Wyprowadzono ich z celi i ustawiono rzędem przed żelazną bramą, oddzielającą blok więzienny od Areny. Na

chwile przed otwarciem bramy z bocznego korytarza wybiegł jakiś gruby, dobrze ubrany mężczyzna, wymachując energicznie trzymaną w ręce kartką papieru.

— Co to jest? — spytał dowódca straży.

— Poręka formalna i potwierdzenie przyjęcia kaucji — odparł grubas. — Po drugiej stronie znajduje się nakaz ustania i zaprzestania. — Wręczył dowódcy kartkę, drugą ręką wyciągając z kieszeni jeszcze kilka dokumentów. — Tu jest zaświadczenie o transferze upadłościowym, zajęciu ruchomości i pensji oraz nakaz natychmiastowego doprowadzenia do organu wymiaru sprawiedliwości. Dowódca zsunął hełm na tył głowy i podrapał się w wąskie czoło.

— Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć, o czym gada jakiś adwokat. Co z tych papierzysków wynika?

— Że on jest wolny — odparł grubas, wskazując palcem na Joe'ego.

Kapitan wziął resztę dokumentów, obrzucił je nieufnym spojrzeniem i przekazał swojemu pomocnikowi.

— W porządku — powiedział. — Niech go pan zabiera. Ale za moich czasów tak nie bywało. Jak się Igrzyska już zaczęły, to wszystko inne szło na bok.

Szczerząc się triumfalnie w uśmiechu, Joe precyzyjnie przeszedł przez szereg strażników i podszedł do grubego adwokata.

— Nie ma pan żadnych dokumentów w sprawie Willa Barrenta? — spytał.

— Nie mam — odparł grubas. — Jego sprawą zajmuje się ktoś inny. Podejrzewam jednak, iż zestaw odpowiednich dokumentów zostanie skompletowany dopiero po zakończeniu Igrzysk.

— Ale wówczas będę już najprawdopodobniej martwy — powiedział Barrent.

— Mogę pana zapewnić, że w niczym to nie zakłóci przebiegu procedury sądowej — oświadczył z dumą adwokat. — Żywy czy martwy skorzysta pan z pełni swoich praw.

— No dobra, idziemy — przerwał im dowódca straży.

— Powodzenia — zawołał Joe, po czym ustawieni w szeregu więźniowie ruszyli przez żelazną bramę i znaleźli się na zalanej oślepiającym blaskiem Arenie.

Barrent wyszedł zwycięsko z pierwszej rundy bezpośrednich pojedynków między więźniami, w których jedna czwarta walczących zginęła. Następnie więźniowie uzbrojeni w miecze spotkali się z najgroźniejszymi przedstawicielami omegańskiej fauny. Wśród zwierząt, z którymi przyszło im walczyć, był także hintozaur i hintopterus, ogromne opancerzone bestie z potwornymi paszczami, zamieszkujące pustynne tereny daleko na południe od Tetrahydy. Zanim udało się je zabić, zdążyły rozszarpać piętnastu dalszych mężczyzn. Barrent zmierzył się z saunusem, uskrzydłym czarnym gadem z Gór Zachodnich. Przez chwilę wydawało się, że nie ma żadnych szans w walce z tym odrażającym monstrum o ociekających jadem zębach. Jednak w samą porę znalazł na niego sposób. Zrezygnował z próby przebicia mieczem niezwykle twardej skóry zwierzęcia i skoncentrował się na pióropuszu jego lotek ogonowych. Kiedy wreszcie udało mu się je uszkodzić, saunus stracił zdolność kierowania lotem i z całym impetem rąbnął w wysoki mur, oddzielający arenę od trybun. Zadanie końcowego pchnięcia w jedyne oko oszołomionego uderzeniem potwora było już stosunkowo proste. Rozentuzjasmowany tłum nagrodził Barrenta burzą oklasków.

Barrent wycofał się w miejsce przeznaczone dla więźniów aktualnie nie biorących udziału w walce i przyglądał się

zmaganiom pozostałych mężczyzn z trichomotredami, niewiarygodnie szybkimi, drobnymi stworzeniami wielkości szczura i usposobieniu rozjuszonego rosomaka. Dopiero piąta drużyna więźniów dała sobie z nimi radę. Później nastąpił krótki przerywnik w postaci kilku pojedynków między więźniami, po czym ponownie uprzątnięto arenę.

Nadeszła pora na twardołuskie płazy kriatynowe.

Wtoczyły się na arenę ospale i dość powolne z natury, ale za to całkowicie chronione grubym pancerzem z niezwykle twardej kriatyny. Ich biczowate ogony, służące także jako czułki, błyskawicznie rozprawiały się z każdym, kto znalazł się w ich zasięgu. Barrent musiał walczyć z jednym z tych potworów po tym, jak zabił on czterech innych więźniów.

Ponieważ bardzo uważnie śledził wcześniejsze walki, doszedł do wniosku, że jest takie miejsce, gdzie kriatynowy czulek nie sięga. Poczekał na sprzyjający moment i skoczył na środek szerokiego grzbietu bestii.

Kiedy skorupa rozpękła się na dwie połowy, tworząc gigantyczną paszczę — w ten sposób płazy kriatynowe pobierały pokarm — Barrent wbił w nią swój miecz aż po rękojęść. Bestia wyzionęła ducha z miłym pośpiechem, a tłum w aplauzie zarzucił arenę poduszkami.

Zwycięstwo pozostawiło Barrenta stojącego samotnie na splamionym krwią piasku. Pozostali więźniowie albo zginęli, albo byli zbyt ciężko ranni, by móc kontynuować walkę. Stał bez ruchu i czekał, zastanawiając się, jaką to bestię ma jeszcze w zanadrzu Komitet Igrzysk.

Nagle z piasku wystrzelił pęd jakiejś rośliny, a zaraz potem drugi. W ciągu kilkunastu sekund na arenie wyrosło grube, niewysokie drzewo, wypuszczając wciąż nowe korzenie i chwytne wąsy, którymi ściągało każde ciało

znalezione na piasku areny, żywe czy martwe, i wpychało je sobie do pięciu otworów gębowych, położonych wokół nasady pnia. Było to drzewo padlinożerne, występujące na bagnach północnego wschodu i sprowadzone z największą trudnością. Powiadano, że jedyną skuteczną bronią w walce z tym drapieżnikiem jest ogień, ale skąd tu na wysypanej piaskiem arenie wziąć ogień?

Chwyciwszy miecz oburącz, Barrent zaczął obcinać wyrastające pędy; na miejsce każdego z nich pojawiała się kilka nowych. Pracował w szalonym tempie, by nie dać się otoczyć, lecz ręce zaczęły mu omdlewać, a im szybciej ciął i rąbał drzewo, tym szybciej się ono regenerowało. Nie sposób było je zniszczyć.

Jedyna nadzieja leżała w powolności ruchów drzewa. Co prawda było ono wystarczająco szybkie, jednak nie dawało się tego porównać z szybkością ludzkich mięśni. Barrent po prostu wymknął się z narożnika, w którym osaczały go odrastające pędy. Dwadzieścia metrów dalej ujrzał jakiś miecz na wpół zakopany w piasku. Dopadł go w kilku susach, lecz w tym momencie usłyszał ostrzegawczy ryk tłumu i poczuł, że jeden z pędów oplata mu kostki nóg. Odrąbał go cięciem miecza, ale już inny pęd oplatał mu się wokół bioder. Zaparł się piętami w piasek i uderzył mieczami o siebie, próbując skrzesać iskrę.

Przy pierwszej próbie miecz trzymany w prawej ręce pękł w połowie.

Podniósł szybko odłamaną część i raz po raz uderzał nią o kikut miecza, podczas gdy drapieżne gałęzie ściągały go coraz bliżej szeroko rozwartych paszcz drzewa. Stał dzwoniła tępo sypiąc wokół iskrami, aż wreszcie jedna z nich opadła na gałąź.

Gałąź zapaliła się z niewiarygodną szybkością, a po chwili ogień popędził w kierunku pnia drzewa. Pięć paszcz jęknęło pod zalewającym je żarem.

Gdyby wypadki miały potoczyć się własną koleją, Barrent spłonąłby żywcem, ponieważ niemal całą przestrzeń areny wypełniały łatwo palne pędy. Ale płomienie zagroziły także drewnianym ścianom amfiteatru i trybun. Oddział tetrahydzyjczy strażnicy ugasił pożar w samą porę, by uratować zarówno Barrenta, jak i wszystkich widzów. Zataczając się z wyczerpania pozostał sam na środku areny. Zastanawiał się, co go jeszcze czeka, ale przez dłuższą chwilę nic się nie działo. A potem na sygnał z loży prezydenckiej zabrzmiały fanfary i rozległ się ryk widowni wiwatującej na jego cześć.

Igrzyska dobiegły końca. Barrent przeżył.

Widzowie jednak w dalszym ciągu nie opuszczali swych miejsc. Wszyscy czekali na ostateczne dopełnienie się losu Barrenta — człowieka, który wzniósł się ponad prawo. Po chwili usłyszał cichy, nabożny jęk, który przetoczył się przez tłum. Odwrócił się błyskawicznie i ujrzał unoszącą się w powietrzu plamkę jaskrawego światła. Plamka zaczęła pęcznić, strzelając na wszystkie strony promieniami, które natychmiast ściągała z powrotem ku sobie. Rosła z chwili na chwilę, tak oślepiająco jasna, iż nie sposób było na nią patrzeć. I wtedy Barrent przypomniał sobie słowa Wujka Ingemara: „Czasami Szatan nagradza nas ukazaniem się w całym straszliwym pięknie swej ognistej postaci. Tak, siostrzeńcze, dostąpiłem zaszczytu, by ujrzeć go na własne oczy. Pojawił się w czasie Igrzysk dwa lata temu, a także rok wcześniej...”

Tymczasem z plamki utworzyła się ogromna żółtoczerwona kula o średnicy sześciu metrów, której dolna krawędź prawie dotykała ziemi. Kula rosła nadal

stając się po bokach coraz cieńsza i tworząc w środku coś w rodzaju talii. Po chwili, ponad talią, górna część kuli wypełniła się nieprzeniknioną czernią, a obie części zaokrągliły się i przekształciły w dwie osobne kule, połączone wąską szyjką: jedna z kul rozjarzona była oślepiającym blaskiem, druga — absolutnie czarna. Następnie czarna, górna kula wydłużyła się przybierając niezapomniany kształt rogów Szatana. Barrent starał się uciec, ale ogromna czarnogłowa postać płynnym ruchem dopadła go i pochłonęła. Znalazł się w pułapce wiru oślepiającej jasności, zwieńczonej czernią. Blask przeniknął do jego głowy — próbował krzyczeć, po czym stracił przytomność.

Rozdział 19

Ocknął się w wysokim, mrocznym pomieszczeniu. Leżał na łóżku. Tuż obok stało dwoje ludzi. Odniósł wrażenie, że się spierają.

— Po prostu nie możemy już dłużej czekać — mówił mężczyzna. — Wydajesz się nie doceniać powagi sytuacji.

— Lekarz powiedział, że potrzebuje jeszcze co najmniej trzech dni odpoczynku — odezwała się kobieta. Po chwili Barrent uzmysłowił sobie, że był to głos Moery.

— Ostatecznie możemy mu dać te następne trzy dni.

— A także potrzebuje czasu na wprowadzenie i naukę.

— Mówiłaś, że jest bystry. Nie zajmie mu to dużo czasu.

— To może potrwać całe tygodnie.

— Wykluczone. Statek ląduje za sześć dni.

— Eylan, wrzucasz za duże tempo — powiedziała Moera.

— Musimy poczekać. Na następny Dzień Lądowania będziemy znacznie lepiej przygotowani...

— Do tej pory możemy przestać panować nad sytuacją — przerwał jej mężczyzna. — Przykro mi, Moera, ale albo wykorzystamy Barrenta teraz, albo wcale.

— Wykorzystacie mnie do czego? — spytał Barrent. — Gdzie ja jestem? Kim pan jest?

Mężczyzna odwrócił się w stronę łóżka. W nikłym świetle Barrent ujrzał bardzo wysokiego, chudego, przygarbionego starca z sumiastymi włosami.

— Cieszę się, że już pan nie śpi — powiedział mężczyzna.

— Nazywam się Swen Eylan. Jestem dowódcą Grupy II.

— Co to jest Grupa II? — spytał Barrent. — W jaki sposób wydostaliście mnie z Areny? Czy jesteście na usługach Szatana? Eylan uśmiechnął się.

— Niezupełnie na usługach — odparł. — Wkrótce wszystko panu wyjaśnimy. Myślę jednak, że najpierw powinien pan coś zjeść.

Pielęgniarka wniosła tacę z posiłkiem. Kiedy Barrent zabrał się do jedzenia, Eylan przysunął sobie krzesło i opowiedział mu o Szatanie.

— Nasza Grupa nie rości sobie prawa do tytułu założycieli sekty wyznawców Zła. Ta religia pojawiła się na Omedze chyba zupełnie spontanicznie. Ale skoro już była, od czasu do czasu pozwalaliśmy sobie ją wykorzystywać. Kapłani okazali się w tym niezwykle pomocni. W końcu czciciele Zła bardzo wysoko cenią brak moralności. Stąd w oczach omegańskiego duchowieństwa ukazanie wiernym fałszywego Szatana nie jest bluźnierstwem. Wręcz przeciwnie. W ortodoksyjnej religii Zła duży nacisk kładzie się na fałszywe obrazy, zwłaszcza jeśli są one ogromne, ogniste i wstrząsające jak ten, który uratował pana z Areny.

— W jaki sposób to robicie? — spytał Barrent.

— To ma coś wspólnego z płaszczyznami tarcia i polami sił — odparł Eylan. — Ale o szczegóły musiałby pan zapytać naszych inżynierów.

— Dlaczego mnie uratowaliście?

Eylan spojrział na Moerę, która wzruszyła ramionami.

— Chcieliśmy, by wykonał pan dla nas pewne ważne zadanie — powiedział z zakłopotaniem. — Ale zanim panu to wyjaśnię, powinien pan chyba dowiedzieć się czegoś na temat naszej organizacji. Z pewnością musi ona budzić pańską ciekawość.

— Owszem, budzi — odparł Barrent. — Czy stanowicie coś w rodzaju kryminalnej elity?

— Stanowimy elitę — przytaknął Eylan — ale nie uważamy się za kryminalistów. Na Omegę zsyła się dwa całkowicie różne rodzaje ludzi. Jeden tworzą prawdziwi przestępcy, a więc mordercy, podpalacze, bandyci i im podobni. To są właśnie ludzie, wśród których pan żył. Natomiast drugi rodzaj, to osoby skazane za przestępstwa dewiacyjne: polityczną niepewność, naukową nieortodoksyjność czy brak nastawienia religijnego. Spośród nich właśnie rekrutują się członkowie naszej organizacji, którą dla

celów identyfikacyjnych nazywamy Grupą II. Z tego, co zdołaliśmy sobie przypomnieć i zrekonstruować, wynika, że nasze przewiny polegały głównie na wyznawaniu poglądów niezgodnych z tymi, które powszechnie obowiązywały na Ziemi. Byliśmy nonkonformistami i najprawdopodobniej tworzyliśmy niepewny element stanowiący zagrożenie dla władzy. Z tego powodu deportowano nas na Omegę.

— I odseparowaliście się od tamtych — powiedział Barrent.

— Zostaliśmy zmuszeni. Jednym z powodów było to, iż kryminaliści Grupy I niełatwo poddają się czyjemuś zwierzchnictwu. Nie byliśmy w stanie nimi kierować, a także nie mogliśmy dopuścić, by oni kierowali nami. Cała rzecz polegała jednak na czym innym. Przede wszystkim mieliśmy pewne zadanie do wykonania, którego powodzenie wymagało zachowania absolutnej tajemnicy. Nie wiedzieliśmy, jakich urządzeń używają statki wartownicze do obserwacji powierzchni Omegi, więc dla bezpieczeństwa zesłaliśmy do podziemia. Dosłownie. Pomieszczenie, w którym pan się teraz znajduje, ulokowane jest siedemdziesiąt metrów pod powierzchnią planety. Siedzimy tu ukryci wysyłając na zewnątrz jedynie specjalnych agentów, jak Moera, którzy wśród deportowanych wyszukują więźniów z naszej Grupy, to jest więźniów politycznych i społecznych.

— Ale mnie nie wyszukaliście — powiedział Barrent.

— Oczywiście, że nie. Pan został przecież zesłany rzekomo za morderstwo, co automatycznie umieszczało pana w Grupie I. Niemniej jednak pana zachowanie było dość nietypowe. Sprawiał pan wrażenie świetnego potencjalnego kandydata dla nas, więc od czasu do czasu pomagaliśmy panu. Ale przed przyjęciem do Grupy musieliśmy mieć co do pana absolutną pewność. To, że uparcie wypierał się pan popełnienia morderstwa, przemawiało za panem. Przepytaliśmy także Illiardiego i doszliśmy do wniosku, że nie ma żadnych powodów, by wątpić, że to on popełnił morderstwo, za które pana skazano. Ale najbardziej przemawiały za panem niezwykle wysokie umiejętności radzenia sobie w ekstremalnych sytuacjach. Ostatecznym sprawdzianem były tu Polowanie i Igrzyska. Ogromnie potrzebowaliśmy człowieka o pańskich możliwościach.

— Na czym polega wasze zadanie? — spytał Barrent. —
Co chcecie osiągnąć?

— Chcemy wrócić na Ziemię — odpowiedział Eylan.

— Przecież to niemożliwe.

— My tak nie uważamy. Zbadaliśmy sprawę w najdrobniejszych szczegółach i doszliśmy do wniosku, że pomimo statków wartowniczych powrót na Ziemię jest możliwy. Przekonamy się o tym za sześć dni, bo wtedy właśnie będziemy musieli podjąć próbę ucieczki.

— Wydaje mi się, że byłoby lepiej poczekać następne sześć miesięcy — powiedziała Moera.

— Wykluczone. Sześciomiesięczna zwłoka mogłaby być prawdziwą katastrofą. Każde społeczeństwo ma swój cel, a w przypadku przestępczej społeczności Omegi celem tym jest samozagłada. Wygląda pan na zaskoczonego, Barrent. Czyżby pan tego nie dostrzegał?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem — odparł Barrent. — W końcu byłem tej społeczności członkiem.

— To absolutnie pewne — powiedział Eylan. — Wystarczy popatrzeć na prawa i zwyczaje. Wszystkie koncentrują się wokół zalegalizowanego mordu. Święta są wymówką dla prowadzenia morderstw masowych. Nawet to prawo, które określa stopę zabójstw, zaczyna zawodzić. Społeczeństwo żyje na krawędzi chaosu. I trudno się dziwić. Nikt nie ma już żadnego poczucia bezpieczeństwa. Jeśli ktoś chce przeżyć, musi zabijać. Jeśli ktoś chce osiągnąć wyższy status, musi zabijać. Jedyne, co można robić bezpiecznie, to zabijać — coraz więcej i coraz szybciej.

— Przesadzasz — powiedziała Moera.

— Nie sędzę, chociaż oczywiście zdaję sobie sprawę, że omegańskie instytucje wyglądają trwale i stabilnie, że jest w nich jakby wrodzony konserwatyzm, nawet w odniesieniu do morderstwa. Ale to tylko złudzenie. Jestem

przekonany, że wszystkie umierające społeczeństwa kontynuowały iluzję trwałości i stabilności do samego końca. Lecz cóż, koniec omegariskiego społeczeństwa jest już bardzo bliski.

— Jak bardzo? — spytał Barrent.

— Myślę, że wybuch nastąpi mniej więcej za cztery miesiące — powiedział Eylan. — Jediną rzeczą, która mogłaby to zmienić, jest pchniecie tego społeczeństwa w innym kierunku, ukazanie mu nowego celu.

— Ziemi — powiedział Barrent.

— Właśnie. I dlatego naszą próbę musimy podjąć natychmiast.

— No cóż, niewiele jeszcze wiem na ten temat — powiedział Barrent — ale zrobię, co będę mógł. Z przyjemnością wezmę udział w każdej ekspedycji, jaką postanowicie zorganizować.

Eylan znów się zmieszał.

— Przypuszczam, że nie wyraziłem się zbyt jasno — powiedział. — To pan, Barrent, będzie naszą ekspedycją. Pan i tylko pan... Przepraszam, że to tak niezręcznie wypadło.

Rozdział 20

Według tego, co mówił Eylan, Grupa II miała co najmniej jeden słaby punkt. Ludzie, wchodzący w jej skład, nie byli już pierwszej młodości. Oczywiście do grupy należało także kilku młodszych członków, ci jednak prawie w ogóle nie stykali się z przemocą i trudno było przypuszczać, iż nagle zdołają rozwinąć w sobie odpowiednie umiejętności. Bezpieczni w podziemnym ukryciu, nie musieli nigdy strzelać w gniewie z promiennika, nie musieli szukać ratunku przed śmiercią w ucieczce, nigdy nie zetknęli się z krytycznymi sytuacjami, przez które Barrent wielokrotnie

przeszedł. Byli odważni, lecz nigdy jeszcze się nie sprawdzili. Z ochotą podjęliby się wyprawy na Ziemię, ale szansę na to, by taka ekspedycja się powiodła, były niemal żadne.

— I uważacie, że właśnie ja mam takie szansę? — spytał Barrent.

— Owszem. Jest pan młody i silny, dość inteligentny i niezwykle zaradny. Ma pan bardzo wysoki współczynnik zdolności przeżycia. Uważamy, że jeśli komukolwiek miałyby się to udać, to właśnie panu.

— A dlaczego chcecie wysłać tylko jednego człowieka?

— Ponieważ wysłanie całej grupy nie miałyby żadnego sensu. Każda osoba więcej to dwa razy większe ryzyko wykrycia. Wysyłając jednego człowieka gwarantujemy sobie maksimum bezpieczeństwa i jednocześnie maksimum możliwości wykorzystania szans. Jeśli się panu powiedzie, uzyskamy cenne informacje na temat wroga, lecz jeśli się panu nie powiedzie, jeśli zostanie pan schwytany, władze uznają to raczej za próbę działania na własny rachunek niż w imieniu jakiejś zorganizowanej grupy.

W ten sposób nadal będziemy mieli szansę wzniecić powszechne powstanie na Omedze.

— W jaki sposób mam się dostać na Ziemię? — spytał Barrent. — Macie gdzieś tu ukryty statek dalekiego zasięgu?

— Niestety nie. Mamy zamiar wysłać pana na Ziemię na pokładzie najbliższego statku więziennego.

— To przecież niemożliwe!

— Możliwe. Przeprowadziliśmy szczegółową analizę wszystkich lądowań. Dokonuje się ich według pewnego określonego schematu. Więźniowie zostają wyprowadzeni na zewnątrz pod eskortą strażników. Podczas odprawy na placu statek pozostaje praktycznie bez ochrony, choć

otacza go luźny kordon wartowników. Żeby umieścić pana na pokładzie, wywołamy zamieszanie. Postaramy się odciągnąć uwagę strażników na tak długo, by zdążył pan się znaleźć wewnątrz statku.

— Ale przecież nawet jeżeli mi się to uda, złapią mnie natychmiast po powrocie na statek.

— Niekoniecznie. Statek więzienny jest ogromnym transporterem z wielką liczbą pomieszczeń magazynowych, które powinny dostarczyć świetnego miejsca na kryjówkę. A poza tym na pańską korzyść działać będzie element zaskoczenia. To będzie pewnie pierwsza w całej historii Omegi próba ucieczki.

— A po wylądowaniu statku na Ziemi?

— Ukryje się pan w przebraniu jednego z członków załogi — powiedział Eylan. — Nieudolność zbiurokratyzowanych ziemskich instytucji pracuje dla pana.

— Miejmy nadzieję — odparł Barrent. — Ale dobrze: założmy, że wyląduję na Ziemi bezpiecznie i że zdobędę informacje, o jakie wam chodzi. Co miałbym z nimi zrobić?

— Przesłać następnym statkiem więziennym — odparł Eylan. — Mamy zamiar ten statek pochwycić i opanować. Barrent potarł ze znużeniem czoło.

— Skąd wam przyszło do głowy — spytał — że cokolwiek z tego wszystkiego się uda? Jakie szansę mam ja, moja wyprawa, wasz bunt wobec instytucji tak potężnej jak Ziemia?

— Musimy zaryzykować — odparł Eylan — gdyż w przeciwnym wypadku po prostu zginiemy w krwawej jatce, w którą niebawem już zmieni się cała Omega. Zgadzam się, że rachunek prawdopodobieństwa przemawia na naszą niekorzyść. Ale mamy do wyboru albo spróbować coś zrobić, albo umrzeć nie robiąc niczego.

Moera przyznała mu rację skinieniem głowy.

— Poza tym istnieją pewne dodatkowe szanse — powiedziała. — Rząd ziemski ma bez wątpienia charakter represyjny, a to nasuwa przypuszczenie, że także na samej Ziemi muszą istnieć jakieś grupy oporu. Być może uda ci się nawiązać z nimi kontakt. Gdyby bunt wybuchł jednocześnie tu i na Ziemi, to mogłoby to postawić władze w dość trudnej sytuacji.

— Być może — mruknął Barrent.

— Na coś trzeba liczyć — powiedział Eylan. — Przystaje pan do nas?

— Jasne — odparł Barrent. — Z dwojga złego wolę umrzeć na Ziemi niż na Omedze.

— Statek więzienny ląduje za sześć dni — powiedział Eylan. — Do tego czasu przekazemy panu wszystkie informacje o Ziemi, jakie mamy. W części są to rekonstrukcje zapisów pamięci, w części projekcje mutantów, a resztę stanowią logiczne wnioski. To wszystko, czym dysponujemy, ale wydaje mi się, że na tej podstawie można zbudować dość dokładny obraz sytuacji panującej obecnie na Ziemi.

— Kiedy zaczynamy? — spytał Barrent.

— Zaraz — odparł Eylan.

punkty, rolę, jaką odgrywa w nich tajna policja, terror i sieć donosicieli.

Kiedy Eylan skończył, Barrenta przekazano niskiemu mężczyźnie o oczach jak paciorki, który specjalizował się w ziemskich metodach kasowania zapisów pamięci.

Wychodząc z założenia, że niszczenie pamięci było powszechnie stosowanym sposobem walki z wszelką opozycją, człowiek ten próbował ustalić prawdopodobny charakter występujących w tych warunkach podziemnych

organizacji, ich ewentualne możliwości, a także metody nawiązywania z nimi kontaktu.

Na koniec wreszcie zapoznano go ze wszystkimi szczegółami planu Grupy II, zgodnie z którym miał być umieszczony na pokładzie statku więziennego.

Kiedy nastął Dzień Lądowania, Barrent doznał ogromnej ulgi. Miał już dość siedzenia po kilkanaście godzin na dobie i wkuwania setek wiadomości. Każde działanie wydawało mu się odmianą na lepsze.

Barrent otrzymał ogólne kompendium wiedzy o ukształtowaniu powierzchni Ziemi, panującym na niej klimacie i największych skupiskach ludności. Następnie przesłano go pułkownikowi Brayowi, który przed deportacją na Omegę pracował w sztabie Ziemskich Sił Dalekiej Przestrzeni. Bray opowiedział mu o prawdopodobnym potencjale militarnym Ziemi, oszacowanym na podstawie liczby statków wartowniczych patrolujących przestrzeń wokół Omegi i ich poziomu technicznego. Podał mu informacje na temat wielkości sił zbrojnych, ich prawdopodobnego podziału na siły morskie, lądowe i przestrzenne, a także przypuszczalnej skuteczności działania. Jego adiutant, kapitan Carell, wygłosił wykład na temat broni specjalnych, jej ewentualnych typów, zasięgu rażenia i dostępności dla przeciętnego mieszkańca Ziemi. Inny współpracownik pułkownika, porucznik Daoud, opisał urządzenia wykrywające, prawdopodobne miejsca ich instalowania oraz sposoby identyfikacji i wprowadzania w błąd. Następnie odesłano go z powrotem Eylanowi na szkolenie polityczne. Od niego Barrent dowiedział się, że władza na Ziemi ma najprawdopodobniej charakter dyktatury. Poznał metody, jakimi posługują się wszystkie dyktatury, ich mocne i słabe

Rozdział 21

Ogromny statek więzienny wykonał ostatnie manewry i bezszelestnie osiadł na lądowisku. Pobłyskiwał matowo w południowym słońcu, stanowiąc namacalny dowód, jak potężne jest ramię Ziemi i jak daleko ono sięga. Otwarto luki i spuszczone długie pochylnie. Więźniowie eskortowani przez dwa rzędy strażników opuścili pokład statku i ustawili się na placu.

Ceremonia lądowania jak zwykle zgromadziła niemal całą ludność Tetrahydy. Barrent przepchnął się przez tłum i stanął tuż za plecami strażników. Dotknął kieszeni, by się upewnić, czy nie zapomniał swego promiennika. Wykonali go fachowcy z Grupy II, używając wyłącznie niewykrywalnego przez czujniki plastiku. Pozostałe kieszenie wypychało mu inne, specjalne wyposażenie.

Barrent miał nadzieję, że nie będzie musiał zeń korzystać. Głos w megafonach zaczął wyczytywać numery więźniów, dokładnie jak wówczas, kiedy sam poznał swoje imię i nazwisko. Słuchał tego wszystkiego stojąc na lekko ugiętych kolanach i czekał na rozpoczęcie akcji.

Odczytywanie listy zaczęło zbliżać się ku końcowi.

Pozostało jeszcze tylko dziesięciu więźniów. Barrent spiął się i pochylił do przodu. Głos z megafonów monotonicznie ciągnął dalej. Jeszcze czterech więźniów, trzech...

Kiedy odczytano ostatnie nazwisko, blade niebo zasnuła chmura czarnego dymu. Wiedział, że to Grupa podpaliła puste baraki przy Placu A2. Ciągle czekał.

I nagle zaczęło się. Powietrzem targnęła ogłuszająca eksplozja. Dwa rzędy pustych baraków wyleciały w powietrze, a fala uderzeniowa zachwiała zgromadzonym tłumem. Jeszcze zanim szczątki baraków zaczęły opadać, Barrent zerwał się do biegu. Dwie następne detonacje

rozległy się w momencie, gdy dopadł cienia rzucanego przez statek. Błyskawicznie zrzucił z siebie strój Hadjiego. Pod spodem miał kopię munduru strażnika. Chwilę później biegł już w kierunku rampy wyladowczej. Dudniący głos megafonów nawoływał do zachowania porządku. Strażnicy nadal byli oszołomieni.

Czwarta eksplozja cisnęła Berrenta na ziemię. Zerwał się jednak natychmiast i pomknął w stronę luku. Kilka sekund później był już wewnątrz statku. Z zewnątrz dochodziły go wrzaski dowódcy straży wydającego rozkazy. Strażnicy zaczęli formować zwarte szeregi, gotując broń do użycia przeciwko krnąbrnym tłumom. Po jakimś czasie, już w zupełnym porządku, zaczęli wycofywać się w stronę statku.

Barrent nie miał ani chwili do stracenia. Znajdował się w drugim, wąskim korytarzu. Skreślił w prawo i puścił się biegiem w kierunku części dziobowej. Daleko w tyle słyszał już ciężki, miarowy tupot kolumny żołnierzy.

No, jeśli te wszystkie informacje, którymi karmili mnie przez tyle czasu, nie okażą się teraz zgodne z prawdą — pomyślał — to ekspedycja skończy się, nim się zaczęła.

Przebiegł obok długiego rzędu pustych cel i znalazł się przed drzwiami z napisem: SALA ODPRAW STRAŻY.

Pałące się nad nimi zielone światelko wskazywało, iż włączony jest system wentylacyjny. Ruszył dalej i zatrzymał się przed następnymi drzwiami. Nacisnął lekko klamkę. Były otwarte. Za nimi znajdowało się pomieszczenie zastawione po sufit częściami zamiennymi do zespołu napędowego. Wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą.

Strażnicy przemaszerowali korytarzem, po czym weszli do sali odpraw. Przechodzili tak blisko, że doskonale słyszał ich rozmowy:

— Jak myślisz, co to były za wybuchy?

— Kto to może wiedzieć? Ci więźniowie są przecież walnięci.

— Gdyby tylko umieli, wysadziliby w powietrze całą tę planetę.

— I byłoby po kłopotach.

— Patrz, takie potężne eksplozje i właściwie żadnych szkód. Już kiedyś było coś takiego, jakieś piętnaście lat temu. Pamiętasz?

— Wtedy jeszcze tu nie pracowałem.

— Ano tak. A wtenczas było dużo gorzej. Zginęło dwóch strażników i pewnie ze stu więźniów.

— A o co im poszło?

— Nie mam pojęcia. Pewnie po prostu lubią wysadzać różne rzeczy w powietrze.

— Jak tak dalej będzie, to i nas spróbują wysadzić.

— Nie uda im się. Bo od czegoś chyba są te statki wartownicze, nie?

— Jesteś taki pewien? W porządku, ale ja tam się będę cieszył, jak już wrócimy na Punkt Kontrolny.

— O to chodzi! Dobrze będzie zejść z tego pieprzonego statku i trochę pożyć.

— Na Punkcie Kontrolnym nie jest źle, ale ja ci powiem, że wolałbym wrócić na Ziemię.

— Zgoda, ale nie można mieć wszystkiego.

Ostatni strażnicy weszli do sali odpraw, po czym rozległ się odgłos zatraskiwanych drzwi. Barrent czekał. Po kilku minutach poczuł, że przez statek przebiega delikatne drżenie. Startowali.

Uzyskał niezwykle cenną informację. Najwyraźniej wszyscy lub co najmniej większość strażników wysiadła w Punkcie Kontrolnym. Czy zatem na pokład wchodził później nowy oddział straży? Możliwe. Ale samo już

istnienie Punktu Kontrolnego oznaczało, że statek musiał być sprawdzany, czy nie ma na nim zbiegłych więźniów. Była to zapewne czysta formalność, jako że w całej historii Omegi żaden więzień jeszcze nie uciekł, niemniej jednak należało wymyślić jakiś sposób, by nie dać się złapać. Ale z tym nie musiał się spieszyć. Na razie poczuł, że podłoga przestaje wibrować. A zatem statek opuścił powierzchnię Omegi. Barrent znajdował się na pokładzie i zmierzał w kierunku Ziemi. Jak do tej pory wszystko szło zgodnie z planem.

Siedział w magazynie jeszcze przez następne kilka godzin. Czuł się bardzo zmęczony i zaczęły go boleć stawy. W niewielkim pomieszczeniu powietrze miało kwaśny, męczący zapach. Podniósł się z trudem, podszedł do otworu wentylatora i przyłożył do niego rękę. Wentylator nie działał. Wyciągnął z kieszeni mały przyrząd pomiarowy. Okazało się, że ilość tlenu gwałtownie spada. Uchylił drzwi na korytarz i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Wiedział, że jego przebranie nie zda się na nic między ludźmi, którzy doskonale się znają. Musiał pozostać w ukryciu. I musiał skądś brać powietrze.

Korytarze były całkowicie puste. Minał drzwi sali odpraw, słysząc dobiegający stamtąd cichy pomruk rozmów. Zielone światelko nad drzwiami płonęło jaskrawo. Szedł dalej, czując pierwsze oznaki oszołomienia. Miernik pokazywał, że także w korytarzu zawartość tlenu zaczyna spadać.

Grupa zakładała, iż system wentylacji będzie działał we wszystkich pomieszczeniach. Tymczasem na opustoszałym statku nie było takiej potrzeby. W tlen zaopatrywano najwyraźniej tylko pojedyncze kabiny strażników i te sektory, w których znajdowała się załoga.

Barrent popędził cichymi, mrocznymi korytarzami, z trudem łapiąc oddech. Powietrze rozrzedzało się coraz gwałtowniej. Być może przed uruchomieniem głównych rezerw statku właśnie stąd czerpano tlen doprowadzany do pomieszczeń załogi i strażników.

Mijał wiele otwartych drzwi, ale nad żadnymi z nich nie paliło się zielone światelko. W głowie mu łomotało, a zamiast nóg czuł galaretowatą masę. Zaczai zastanawiać się, co dalej.

Wyglądało na to, iż najwięcej szans powinien mieć w sektorze zajmowanym przez załogę. Obsługa statku chyba raczej nie była uzbrojona. A nawet gdyby była, to z pewnością znacznie łatwiej by sobie z nią poradził niż ze strażnikami. Być może udałoby mu się wziąć któregoś z oficerów jako zakładnika; być może nawet udałoby mu się przejąć statek.

Warto było spróbować. Musiał spróbować.

Przy końcu korytarza natrafił na klatkę schodową. Zaczął wchodzić na górę, aż wreszcie minawszy kilkanaście wyludnionych pięter, ujrzał na jednej ze ścian napis: SEKCJA DOWODZENIA. Poniżej widniała strzałka wskazująca odpowiedni kierunek. Barrent wyciągnął z kieszeni plastikowy promiennik i zataczając się, ruszył w tę stronę.

Na obrzeżach pola widzenia przepływały mu czarne cienie. Zaczynał tracić przytomność. Ogarniały go niewyraźne wizje, jakieś błyski przerażających obrazów, w czasie których wydawało mu się, iż wałą się na niego ściany korytarza. Zdał sobie sprawę, że pełźnie na czworakach czolgając się w stronę drzwi z napisem: STEROWNIA — Wstęp wyłącznie dla członków dowództwa.

Korytarz zdawał się wypełniony szarą mgłą. Kiedy na chwilę przejaśniało, Barrent stwierdził, iż utracił ostrość

widzenia. Podciągnął się na nogi i przekręcił gałkę. Drzwi zaczęły ustępować.

Rozdział 22

Chwycił mocniej kolbę promiennika i ostatnim wysiłkiem spróbował zmobilizować się do działania.

Lecz wraz z otwarciem drzwi ciemność wokół niego zatrzasnęła się nieodwołalnie. Wydawało mu się, że widzi przerażone twarze, słyszy wołający głos: „Uwaga! On jest uzbrojony!” I wówczas pochwyliła go nieskazitelna czerń, po czym runął głęboko w przepaść.

Do przytomności wrócił nagle i całkowicie. Usiadł i spostrzegł, że wpadł do środka sterowni. Metalowe drzwi zatrzasnęły się za nim i oddychał już teraz bez najmniejszych trudności. Ale nie widział nikogo z załogi. Pomyśleli pewnie, że nie odzyska przytomności, i pobiegli po strażników.

Podniósł się z trudem, instynktownie chwytając promiennik. Przyjrzał mu się dokładnie, po czym marszcząc brwi, odłożył go na bok. Dlaczego, zdumiał się, zostawiono go samego w sterowni, najważniejszym pomieszczeniu całego statku? Dlaczego nie zabrano mu broni?!

Usiłował przypomnieć sobie twarze, które widział tuż przed upadkiem. Wspomnienia były niewyraźne: jakieś mroczne, rozmazane postacie, jakieś dudniące, jak z nocnego koszmaru, głosy. Czy to naprawdę byli żywi ludzie?

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej dochodził do wniosku, że postacie te powstały wyłącznie w jego wyobraźni, podczas zacierającej się świadomości. W rzeczywistości nie było tu nikogo. Znajdował się zupełnie sam w centralnym ośrodku nerwowym całego statku.

Podszedł do głównej płyty sterowniczej. Podzielona była na dziesięć sekcji. Każda z nich zawierała rzędy najprzeróżniejszych wskaźników, które przekazywały jakieś sobie tylko znane informacje. Wskaźniki połączone były z różnymi przełącznikami, nastawnikami oporowymi i dźwigniami.

Ruszył wzdłuż płyty, mijając powoli każdą z dziesięciu sekcji. Wszystkie, od pulpitu aż po sam sufit, błyskały nieustannie zmieniającymi się rysunkami kolorowych światełek. Ostatnia sekcja sprawiała wrażenie najważniejszego urządzenia sterującego, kontrolującego pracę całej reszty. Znajdował się tu niewielki ekran oznaczony napisem: KOORDYNACJA RĘCZNA/AUTOMATYCZNA. Napis AUTOMATYCZNA świecił się. Obok było wiele podobnych ekranów odnoszących się do nawigacji, namiarów, wyliczeń kursów kolizyjnych, wejścia i wyjścia z podprzestrzeni, wejścia i wyjścia z normalnej przestrzeni i manewrów lądowania. Wszystkie nastawiono na sterowanie automatyczne. Nieco dalej zegar programu lotu podawał różne dane czasowe. Do Punktu Kontrolnego nr 1 pozostało 29 godzin, 4 minuty i 51 sekund. Czas postoju — trzy godziny. Z Punktu Kontrolnego do Ziemi — 480 godzin.

Cała płyta sterownicza błyskała i mruzczała do siebie, pogodnie i całkowicie samowystarczalnie. Barrent nie mógł oprzeć się wrażeniu, że obecność człowieka w tym sanktuarium maszyn jest świętokradztwem.

Sprawdził kontrolki dopływu powietrza. Nastawiono je na automatyczną kompensację zużycia, dostarczając dokładnie tyle tlenu, ile trzeba, by zaspokoić potrzeby wszystkich przebywających w sterowni osób, a więc w tym wypadku jednej.

Ale gdzie się podziała załoga? Barrent potrafił zrozumieć konieczność automatycznego sterowania tak olbrzymim statkiem. Obiekt na tyle potężny i skomplikowany musiał być w znacznej mierze samowystarczalny. Ale zbudowany został przez ludzi i ludzie wyznaczyli mu programy działania. Dlaczego nikt nie kontrolował wskazań płyty rozdzielczej, by w razie potrzeby skorygować działanie urządzeń? A gdyby strażnikom dłużej zeszło na Omedze? Gdyby z jakiegoś powodu zaistniała konieczność ominięcia Punktu Kontrolnego i udania się wprost na Ziemię? Albo w ogóle trzeba było zmienić kurs? Kto wprowadzał nowe programy, kto wydawał statkowi rozkazy, kto posiadał kompleksową wiedzę, która pozwalałaby mu kierować całą operacją?

Rozejrzał się po sterowni i odkrył stojak z przenośnymi aparatami tlenowymi. Wybrał jeden z nich, sprawdził, czy działa, nałożył i wyszedł na korytarz.

Po długim marszu dotarł do drzwi opatrzonych napisem KWATERY ZAŁOGI. Pomieszczenie za drzwiami było wysprzątane i puste. Łóżka stały w równiutkich rzędach, pozbawione prześcieradeł i koców. W szafkach nie było żadnych ubrań ani jakichkolwiek innych rzeczy osobistych. Wyszedł na korytarz i przeszukał pokoje kapitana i oficerów. Nie znalazł w nich najmniejszego śladu, który świadczyłby o tym, że ktokolwiek tu ostatnio mieszkał.

Wrócił do sterowni. Teraz stało się już zupełnie jasne, że statek nie ma w ogóle załogi. Być może władze na Ziemi były tak pewne swego rozkładu lotów i niezawodności statków, że uznały załogę za zbędną. Być może...

Ale takie postępowanie wydawało się Barrentowi ogromnie lekkomyślne. Było coś bardzo dziwnego w tym, że planeta

pozwalala swoim statkom międzygwiazdowym latać bez ludzkiego nadzoru.

Postanowił jednak powstrzymać się od wydawania sądów, zanim nie zbierze więcej informacji. Na razie musiał pomyśleć, co robić, aby przeżyć. Kieszonki miał wypchane koncentratami spożywczymi, ale zabranie odpowiedniej ilości wody było niemożliwe. Czy statek pozbawiony załogi mógł mieć na pokładzie jakieś zapasy? Jednocześnie przez cały czas musiał pamiętać o oddziale straży, przebywającym kilka poziomów niżej w sali odpraw i o zbliżającym się nieuchronnie Punkcie Kontrolnym; nie zastanowił się jeszcze, co się może tam zdarzyć i co ewentualnie miałby w związku z tym zrobić.

Tymczasem okazało się, że nie będzie musiał korzystać ze swoich zapasów żywności. Maszyny w mesie oficerskiej nadal serwowały jedzenie i picie za naciśnięciem odpowiedniego klawisza. Nie sposób było zorientować się, czy jest to żywność naturalna, czy też chemicznie syntetyzowana, ale ponieważ była smaczna i bardzo pożywna, reszta przestała Barrenta obchodzić.

Po pierwszym posiłku spróbował zbadać wyższe poziomy statku. Zgubiwszy się jednak kilka razy postanowił nie podejmować zbędnego ryzyka. Centrum było tutaj, w sterowni, i w niej właśnie spędzał większość czasu.

Udało mu się znaleźć iluminator. Naciskając klawisz uruchamiający przesłony, mógł obserwować roje gwiazd lśniących w czarnej, bezkresnej przestrzeni. Świetliste punkty ciągnęły się bez końca, przekraczając granice ludzkiej wyobraźni. Barrent przyglądał się temu spektaklowi i czuł zalewającą go falę dumy. Był dzieckiem wszechświata, a miliardy nieznanymi gwiazdami stanowiły jego dziedzictwo.

Do Punktu Kontrolnego pozostało sześć godzin. Nowe sektory płyty sterowniczej nabrały nagle życia, sprawdzając i korygując działanie układów rządzących statkiem i przygotowując go do lądowania. Dwie i pół godziny później Barrent dokonał ciekawego odkrycia. Znalazł główny system komunikacji wewnętrznej, obejmujący swym zasięgiem wszystkie pomieszczenia. Przełączając się na odbiór, mógł podsłuchiwać rozmowy prowadzone w celi strażników.

Nie dowiedział się jednak niczego, co mogłoby mu się przydać. Przez ostrożność lub może z braku zainteresowania strażnicy nie poruszali tematów politycznych. Całe życie spędzali na Punkcie Kontrolnym, od czasu do czasu odbywając jedynie loty na statku więziennym. Niektóre z ich wypowiedzi były dla Barrenta niezrozumiałe. Słuchał jednak nadal, zafascynowany wszystkim, co ci ludzie z Ziemi mieli do powiedzenia.

— Pływałeś kiedyś na Florydzie?

— Nie znoszę słonej wody.

— Na rok przed powołaniem do Straży zdobyłem trzecią nagrodę na wystawie orchidei w Dayton.

— Jak przejdę na emeryturę, kupię sobie willę w Antarktyce.

— Ile ci jeszcze zostało?

— Osiemnaście lat.

— No cóż, ktoś to musi robić.

— Ale dlaczego ja? I dlaczego nie dają nam urlopów na Ziemi?

— Widziałeś taśmy, to wiesz dlaczego. Przestępstwo jest jak choroba. Staje się zaraźliwe.

— No i co z tego?

— To z tego, że jak robisz przy kryminalistach, to zawsze istnieje ryzyko, że się zarazisz. I co gorsza, możesz pozarażać innych na Ziemi.

— To niesprawiedliwe...

— Nic się tu na to nie poradzi. Ci uczeni wiedzą, co mówią. A poza tym, Punkt Kontrolny nie jest taki zły.

— Jak kto lubi wszystko sztuczne... powietrze, kwiaty, jedzenie...

— Człowiek nie może mieć wszystkiego naraz. Masz tam rodzinę?

— Chcą wracać na Ziemię.

— Mówią, że po pięciu latach na Punkcie nie da rady wrócić. Grawitacja cię zniszczy.

— Dam się jej zniszczyć. W każdej chwili...

Z rozmów tych Barrent wywnioskował, że ci strażnicy o surowych twarzach byli dokładnie takimi samymi ludźmi jak więźniowie na Omedze. Większość z nich nie bardzo chyba lubiła swoją pracę. Tak jak mieszkańcy Omegi, każdy z nich marzył o powrocie na Ziemię.

Na wszelki wypadek zapamiętał wszystkie uzyskane informacje. Tymczasem statek dotarł do Punktu Kontrolnego. Gigantyczny pulpit sterowniczy rozjarzył się kaskadami światełek, wprowadzając ostatnie poprawki do zawitych manewrów dokowania.

W końcu statek osiadł na płycie lądowiska, a jego maszyny przeszły na bieg jałowy. Przez aparaturę komunikacji wewnętrznej Barrent usłyszał, iż strażnicy opuszczają swoje pomieszczenie. Mógł też śledzić ich przemarsz korytarzami aż do luku wyładowczego. Ostatni ze strażników opuszczających statek powiedział jeszcze: „Oho, idą kontrolerzy! Czołem, chłopaki!”

Odpowiedzi nie było. Strażnicy zeszli z pokładu, a z korytarzy dobiegł nowy dźwięk: ciężki, miarowy krok tych, których strażnik nazwał kontrolerami. Sądząc po odgłosach było ich bardzo wielu. Swoją inspekcję rozpoczęli od komór zespołów napędowych, posuwając się metodycznie coraz wyżej. A co gorsza, wyglądało na to, że otwierają absolutnie wszystkie drzwi i zagląдают do wszystkich zakamarków i szafek. Barrent zacisnął w spoczonej dłoni kolbę promiennika, zastanawiając się, gdzie na pokładzie statku mógłby się ukryć. Musiał założyć, że przeszukają zupełnie wszystko. A zatem jedyną szansą było ominięcie ich i ukrycie się w tej części, którą już sprawdzili. Nasunął na twarz aparat tlenowy i wyszedł na korytarz.

Rozdział 23

go i ruszył dalej w górę schodów. Napis na plecach kombinezonu głosił: JEDNOSTKA DS. DERATYZACJI. Barrent uzmysłowił sobie, że maszynę tę zbudowano jedynie w celu poszukiwania i zwalczania gryzoni. Obecność zbiega nie robiła na niej żadnego wrażenia. Zapewne inne androidy były podobnie wyspecjalizowane. Ukrył się w pustym magazynie na jednym z niższych poziomów i odczekał, aż kontrolerzy opuszczą statek. Natychmiast potem wrócił do sterowni. Nikt więcej nie wszedł już na pokład. Dokładnie o czasie ogromny statek opuścił Punkt Kontrolny. Kierunek — Ziemia.

Pół godziny później w dalszym ciągu nie wiedział, jak przedostać się przez kordon kontrolerów. Skończyli sprawdzanie niższych poziomów i właśnie wchodzili na pokład, gdzie znajdowała się sterownia. Barrent słyszał już odgłosy kroków przy końcu korytarza. Szedł szybko przed

siebie, wyprzedzając ich o jakieś sto metrów, i usiłował znaleźć kryjówkę.

Na końcu tego korytarza powinna być klatka schodowa. Mógłby zejść nią kilka pięter niżej, do części, którą już przeszukali. Zaczai biec, zastanawiając się, czy przypadkiem nie pomylił kierunku. Ciągle jeszcze miał ledwie mgliste pojęcie o topografii statku. Jeśli się pomylił, znalazłby się w potrzasku.

Dobiegł do końca korytarza i zobaczył wejście na klatkę. Kroki za plecami zaczęły się zbliżać. Rzucił się w dół schodów, oglądając się za siebie przez ramię.

I rąbnął głową w ogromny tors jakiegoś mężczyzny. Szarpnął się do tyłu, wymierzając promiennik w olbrzyma. Ale w ostatniej chwili powstrzymał się przed naciśnięciem spustu. To, co stało przed nim, nie było człowiekiem.

Miało ponad dwa metry wysokości i ubrane było w czarny kombinezon z biegnącym przez środek piersi napisem: **ZESPÓŁ NADZORU — ANDROID B212**. Jego twarz była stylizacją twarzy ludzkiej zręcznie wyrzeźbionej w plastiku koloru szpachlówki. Oczy płonęły mu głęboką, nieprawdopodobną czerwienią. Android kołysał się na dwóch nogach i balansując ostrożnie, posuwał się w kierunku Barrenta, nie spuszczając zeń wzroku. Barrent cofnął się jeszcze kilka kroków. Miał poważne wątpliwości, czy strzał z promiennika mógłby być skuteczny.

Nigdy jednak się tego nie dowiedział, ponieważ android wyminął. Pozostała część podróży upłynęła już bez specjalnych wrażeń. Barrent jadł i spał, a przed wejściem statku do podprzestrzeni obserwował bezkresną paradę gwiazd. Próbował wyobrazić sobie, jak wygląda planeta, ku której zmierzał, ale żaden konkretny obraz nie przychodził mu do głowy. Cóż to za ludzie budowali' ogromne statki międzygwiazdne, lecz nie uznawali za

stosowne obsadzić ich załogą? Dlaczego tak dokładnie kontrolowali cały statek, a jednocześnie wyposażali swych kontrolerów w niezwykle wąski i wyspecjalizowany zakres percepcji? Dlaczego deportowali znaczną część swego społeczeństwa, a potem już nie interesowali się, w jakich warunkach wygnańcy żyją i umierają? Dlaczego uznali za konieczne wymazanie z pamięci więźniów wszystkich wspomnień dotyczących Ziemi?

Na te pytania Barrent nie potrafił znaleźć żadnej odpowiedzi.

Zegar w sterowni monotonnie wypisywał wciąż nowe cyferki, odliczając minuty i godziny podróży. Statek wszedł i wyszedł z podprzestrzeni, a potem ustawił się na deceleracyjnej orbicie wokół błękitnozielonej planety, którą Barrent obserwował z mieszanymi uczuciami. Jakoś nie mogło do niego dotrzeć, że wreszcie wraca na Ziemię.

Rozdział 24

Statek wylądował gdzieś na północy kontynentu amerykańskiego. Był przepiękny, słoneczny dzień, zegary wskazywały samo południe. Barrent miał zamiar poczekać na zapadnięcie zmroku, zanim opuści statek, ale na ekranach sterowni pojawił się ironicznie nieaktualny napis: DWADZIEŚCIA MINUT NA ZEJŚCIE Z POKŁADU WSZYSTKICH PASAŻERÓW I ZAŁOGI. STATEK ZOSTANIE PODDANY PEŁNEJ DEZYNFEKCJI. DWADZIEŚCIA MINUT.

Barrent nie bardzo wiedział, na czym miała polegać „pełna dezynfekcja”, ale skoro załodze niedwuznacznie rozkazano zejść z pokładu, to pewnie zwykły aparat tlenowy nie mógł stanowić wystarczającego zabezpieczenia. Z dwojga złego opuszczenie statku teraz wydawało mu się złem mniejszym.

Specjaliści Grupy II długo zastanawiali się, jaki strój powinien mieć na sobie Barrent w momencie zejścia na Ziemię. Te pierwsze kilka minut mogły zadecydować o wszystkim. Na nic wszelki spryt, gdyby okazało się, że jego ubranie jest dziwaczne, obce, nietypowe. Oczywiście powinien mieć na sobie zwykłą, ziemską odzież. Problem jednak w tym, że nikt w Grupie nie wiedział, jak ubierają się mieszkańcy ojczystej planety. Część chciała, żeby Barrent zabrał ze sobą przybliżoną rekonstrukcję ubrania cywilnego. Inni uważali, że mundur strażnika powinien zdać egzamin także w czasie lądowania. Barrent natomiast przychylił się do koncepcji tych, którzy twierdzili, iż jednocześnie kombinezon mechanika będzie najmniej rzucał się w oczy na kosmodromie, gdyż jego krój i fason nie mógł chyba ulec jakimś radykalnym przeobrażeniom. Po dotarciu do miasta takie przebranie mogło mu, oczywiście, przysporzyć kłopotów, ale o to miał się martwić w odpowiednim czasie.

Szybko zrzucił z siebie mundur. Pod spodem miał cienki kombinezon. Ukrywszy pod nim swój promiennik, wziął do ręki składane pudełko na lunch i ruszył korytarzem w kierunku wyjścia. Na moment zawahał się jeszcze, rozważając, czy nie powinien zostawić broni na statku. Zdecydował się jednak zatrzymać ją przy sobie. I bez promiennika każda rewizja musiałaby ujawnić, kim jest, a dzięki niemu miał przynajmniej jakieś szansę uciec przed policją.

Wziął głęboki oddech i przekroczywszy próg luku wyladowczego, zaczął schodzić w dół pochylni. Nie było żadnej straży, żadnych kontrolerów, żadnej policji, wojska czy urzędników celnych. Nie było w ogóle nikogo. Po przeciwległej stronie szerokiego lądowiska lśniły w słońcu rzędy statków kosmicznych, natomiast

dokładnie na wprost znajdowało się ogrodzenie, a w nim otwarta brama.

Ruszył przez płytę dość szybko, lecz bez widocznego pośpiechu. Nie mógł zrozumieć, dlaczego to wszystko jest takie proste. Być może tajna policja Ziemi stosowała bardziej wyrafinowane metody sprawdzania pasażerów statków międzygwiazdnych.

Doszedł do bramy. Nie było przy niej nikogo poza łysym mężczyzną w średnim wieku i może dziesięcioletnim chłopcem. Sprawiali wrażenie, jakby na niego czekali, ale Barrent w żaden sposób nie mógł uwierzyć, by to właśnie byli agenci rządu. Choć, z drugiej strony, cóż tak naprawdę wiedział o Ziemi? Przeszedł przez bramę. Łysy mężczyzna wziął malca za rękę i zbliżył się do Barrenta.

— Najmocniej pana przepraszam — powiedział.

— Słucham?

— Widziałem, jak pan wysiadał ze statku. Czy mógłbym panu zadać kilka pytań?

— Oczywiście — odparł Barrent, przesuwając rękę w kierunku suwaka kombinezonu, tam gdzie schował swój promiennik. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, że łysy był agentem tajnej policji. Jedynie obecność dziecka dezorientowała go nieco, chyba że chłopiec był uczniem szkoły policyjnej.

— Chodzi o to — powiedział mężczyzna — że mój syn, Ronny, pisze pracę dyplomową dziesiątego stopnia o statkach kosmicznych.

— Dlatego chciałem obejrzeć jakiś statek — wyjaśnił Ronny. Był drobnym dzieckiem o szczupłej, inteligentnej twarzy.

— No właśnie, chciał obejrzeć jakiś statek — powtórzył mężczyzna. — Mówilem mu, że to zbyteczne, bo przecież

wszystkie informacje, łącznie z rysunkami, można znaleźć w encyklopedii, ale on się uparł.

— W ten sposób miałbym dobry wstęp do swojej pracy — powiedział Ronny.

— Oczywiście — przyznał Barrent, energicznie potakując głową. Zaczynał mieć wątpliwości co do mężczyzny. Jak na agenta tajnej policji zabierał się do owych indagacji niezwykle okreśną drogą.

— Pracuje pan na statku? — spytał Ronny.

— Zgadza się.

— Ile one wyciągają?

— W rzeczywistej czy w podprzestrzeni? To pytanie jakby trochę zbiło Ronny'ego z tropu. Wydał dolną wargę i powiedział:

— O rany, nie wiedziałem, że one wchodzą do podprzestrzeni.— Zastanowił się przez chwilę, po czym dodał: — Prawdę mówiąc, to chyba w ogóle nie wiem, co to jest podprzestrzeń.

Barrent i ojciec chłopca uśmiechnęli się wyrozumiale.

— No to ile wyciągają w rzeczywistej przestrzeni? — spytał Ronny.

— Sto sześćdziesiąt tysięcy kilometrów na godzinę — odparł Barrent, wymieniając pierwszą liczbę, jaka mu przyszła na myśl. Chłopiec skinął głową, podobnie jak jego ojciec.

— Bardzo szybko — powiedział ojciec.

— A w podprzestrzeni oczywiście dużo więcej — dodał Barrent.

— Oczywiście — potaknął ojciec. — Statki międzygwiazdne są faktycznie bardzo szybkie. Ale muszą być. W grę wchodzi przecież olbrzymie odległości.

Prawda, proszę pana?

— Bardzo wielkie odległości — zgodził się Barrent.

— Jaki napęd ma statek? — spytał Ronny.

— Typowy — odparł Barrent. — W zeszłym roku zainstalowali mu triplexboostery, ale to raczej podpada pod napęd dodatkowy.

— Słyszałem o tych triplexboosterach — powiedział mężczyzna. — Fantastyczne maszyny.

— Rzeczywiście niezłe — odparł roztropnie Barrent. Był już pewien, że łysy jest dokładnie tym, za kogo się podawał: przeciętnym obywatelem, nie mającym pojęcia o statkach kosmicznych, który przyprowadził swego syna na kosmodrom.

— A skąd bierzecie powietrze? — dociekał Ronny.

— Generujemy je sami — odparł Barrent. — Ale powietrze nie

stanowi żadnego problemu. Najważniejsza jest woda. Pewnie wiesz, że wody nie daje się sprężyć pod ciśnieniem i bardzo trudno jest ją zmagazynować w odpowiednich ilościach. Innym poważnym problemem jest nawigacja przy wychodzeniu z podprzestrzeni.

— Co to jest ta podprzestrzeń? — spytał chłopiec.

— W istocie rzeczy — odparł Barrent — to po prostu inny poziom przestrzeni rzeczywistej. Ale wszystko to znajdziesz w swojej encyklopedii.

— Oczywiście, Ronny — przytaknął ojciec chłopca. — Nie możemy zawracać głowy panu pilotowi. Na pewno ma mnóstwo pilnych zajęć.

— Rzeczywiście mam trochę roboty — powiedział Barrent. — Możecie sobie tu wszystko obejrzeć. I powodzenia w obronie pracy, Ronny.

Ruszył szybko przed siebie, czując ciarki pełzające wzdłuż kręgosłupa. Przez pierwsze pięćdziesiąt metrów spodziewał się, iż lada chwila zostanie trafiony wiązką promiennika lub kulą zwykłego pistoletu. Ale kiedy

obejrzał się, ojciec i syn stali, odwrócenii do niego tyłem i uważnie przyglądali się olbrzymiemu statkowi. Barrent zawahał się, głęboko zaniepokojony. Do tej pory wszystko odbywało się zdecydowanie zbyt łatwo. Podejrzanie łatwo. Ale cóż mógł na to poradzić? Trzeba było brnąć dalej. Droga / kosmodromu prowadziła obok rzędu szop i ginęła w iesie. Barrent szedł nią tak długo, dopóki nie stracił z oczu otwartej bramy. Wtedy szybko zbiegł na pobocze i skręcił między drzewa. Jak na pierwszy dzień pobytu na Ziemi miał zdecydowanie dość kontaktów z ludźmi. Wolał nie kusić losu. Chciał spokojnie sobie wszystko przemyśleć, przespać noc w lesie i dopiero rano poszukać jakiegoś miasta lub wsi.

Przecisnął się przez gęste zarośla i zanurzył w cień olbrzymich dębów. Wszędzie wokół słyhać było ćwierkanie i bieganie niewidocznych zwierząt i ptaków. Dalej w przodzie znajdowała się duża biała tablica przybita do drzewa. Barrent podszedł do niej i przeczytał: **PARK NARODOWY FORESTDALE. ZAPRASZAMY NA PIKNIKI I BIWAKI.**

Poczuł się nieco rozczarowany, choć zdawał sobie sprawę, że w tak bliskiej odległości od kosmodromu trudno się było spodziewać dziewiczej głuszy. Prawdę mówiąc, na planecie tak starej i tak wysoko rozwiniętej jak Ziemia najprawdopodobniej w ogóle nie było już terenów dziewiczych, może poza rezerwatami.

Słońce stało już nisko nad horyzontem i w cieniu pod drzewami robiło się chłodno. Barrent znalazł sobie wygodne miejsce u stóp potężnego dębu, wymościł je liśćmi i położył się. Miał mnóstwo rzeczy do przemyślenia. Dlaczego, na przykład, nie było żadnych straży na najważniejszym punkcie kontaktowym Ziemi, międzygwiazdnym kosmodromie? Czy środki

bezpieczeństwa obejmowały dopiero osiedla i miasta? Czy też może był już pod jakimś nadzorem, obserwowany za pomocą niezwykle subtelnego systemu kontroli, który pozwalał śledzić jego ruchy i zatrzymać go dopiero wtedy, gdy ktoś uzna to za stosowne? Czy też to zbyt fantastyczny pomysł? A może raczej...

— Dobry wieczór — rozległo się obok jego prawego ucha. Barrent rzucił się jak najdalej od dochodzącego głosu w nerwowym odruchu reakcji obronnej, sięgając jednocześnie po promiennik.

— A wieczór jest rzeczywiście wyjątkowo przyjemny — ciągnął głos. — Tu u nas, w Parku Narodowym Forestdale, temperatura wynosi w tej chwili dwadzieścia pięć i sześć dziesiątych stopnia Celsjusza, wilgotność powietrza 23 procent, a barometr ustalił się na poziomie dwadzieścia dziewięć przecinek dziewięć. Jestem pewien, że stali bywalcy rozpoznali już mój głos. Gdyby jednak byli wśród państwa również nowi miłośnicy przyrody, pozwolę sobie przedstawić się. Jestem Dąbek, wasze oddane drzewo. Pragnę serdecznie powitać wszystkich państwa w naszym miłym parku narodowym.

Barrent siedział sztywno w narastających ciemnościach i rozglądał się wokół. Nie mógł zrozumieć, co to za jakaś sztuczka. Tymczasem głos rzeczywiście zdawał się dochodzić z pnia ogromnego dębu.

— Korzystanie z uroków natury — mówił Dąbek •— jest obecnie łatwe i wygodne. Możecie państwo znaleźć spokój i ciszę absolutnego odosobnienia nie oddalając się więcej niż dziesięć minut drogi od najbliższego środka komunikacji. Tym, którzy nie mają ochoty na całkowite odosobnienie, proponujemy grupowe wycieczki naszymi starymi polanami za symboliczną opłatą. Nie zapominajcie opowiedzieć swym przyjaciółom o urokach waszego milego

parku narodowego. Każdy jego zakątek oczekuje na wszystkich miłośników niezapomnianych przeżyć na łonie natury.

Pień drzewa rozwarł się, a z jego wnętrza wysunęły się zrolowany śpiwór, termos i pojemnik z kolacją.

— Życzę państwu udanego wieczoru wśród dzikiego piękna świata cudów natury — powiedział Dąbek. — A teraz Narodowa Orkiestra Symfoniczna pod dyрекcją Ottera Kruga wykona dla państwa „Pieśń mateczników” Ernesto Nestrichalego. Nagrania

dokonano w studio Narodowej Północnoamerykańskiej Sieci RadiowoTelewizyjnej. Wasz oddany Dąbek żegna się z państwem, dobranoc.

Z kilkunastu ukrytych głośników rozległa się muzyka. Barrent podrapał się w czoło, ale w końcu doszedł do wniosku, że nie ma co się zastanawiać, zjadł kolację, wypił kawę z termosu, po czym odwinął śpiwór i położył się. W ogarniającej go senności zaczął rozmyślać o lesie z nagłośnieniem, dębach serwujących kolacje oraz miejsca do spania, i to nie dalej niż dziesięć minut drogi od najbliższego środka komunikacji. Ziemia rzeczywiście dbała o swoich mieszkańców. Cóż, najprawdopodobniej ludzie lubili tu tego rodzaju atrakcje. Chociaż czy naprawdę o to chodziło? A jeśli była to jakaś gigantyczna i niezwykle wyrafinowana pułapka, którą zastawiły nań władze?

Przez jakiś czas przewracał się z boku na bok, próbując przywyknąć do muzyki. Wreszcie dźwięki orkiestry stopiły się z szelestem poruszanych wiatrem liści i delikatnym poskrzypywaniem gałęzi. Usnął.

Rano Dąbek uraczył go śniadaniem, a także wysunął przybory do golenia. Barrent najadł się, umył i ogolił, po czym ruszył w kierunku najbliższego miasta. Ani na chwilę nie zapominał o stojących przed nim zadaniach. Musiał zdobyć jakieś nie budzące podejrzeń ubranie i nawiązać kontakt z ziemskim podziemiem. Następnie miał zebrać jak najwięcej różnych wiadomości, zwłaszcza dotyczących tajnej policji i wojska.

Grupa II opracowała specjalny plan, według którego powinien tutaj działać. Zbliżając się do miasta, Barrent miał nadzieję, że plan ten zda egzamin. Dotychczas bowiem Ziemia, na której wylądował, tylko w nieznacznym stopniu przypominała tę Ziemię, jaką wyobrażała sobie Grupa.

Szedł nie kończącymi się ulicami wśród małych, białych domków. W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że wszystkie wille są dokładnie takie same. Różniły się co prawda jednym czy dwoma detalami architektonicznymi, jak po pewnym czasie zauważył, ale różnice te nie tyle nadawały im jakąkolwiek odrębność, co podkreślały jeszcze ich monotonne podobieństwo. Domów tych były setki. Stały wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć, każdy na maleńkim skrawku starannie utrzymanego trawnika. Ich identyczność działała na Barrenta przygnębiająco.

Zupełnie niespodziewanie zateśnił nagle do dziwacznych, niezdarnych, skleconych naprędce, ale jakże różnych domów Tetrahydy.

Doszedł do centrum handlowego. I tu sklepy naśladowały schemat, któremu podporządkowały się domy. Były niskie, dyskretne i bardzo do siebie podobne. Trzeba było uważnie przyglądać się wystawom, by dostrzec różnice między sklepem spożywczym a sklepem z artykułami sportowymi. Minął niewielki budynek, na którym widniał

szyl: AUTOMATYCZNY KONFESJONAŁ — czynne całą dobę. Wyglądało to na coś w rodzaju kościoła.

Wypracowany przez Grupę II sposób porozumiewania się z ziemskim podziemiem był bardzo prosty. Specjaliści twierdzili, iż rewolucjonistów spotyka się najczęściej wśród warstw i klas społecznie upośledzonych. Ubóstwo rodzi niezadowolenie: ci, którzy nie posiadają nic, chcą zająć miejsce tych, którzy mają wszystko. Stąd też, logicznie biorąc, wywrotowców szukać należy w slumsach.

Była to bardzo zgrabna teoria. Problem w tym, że Barrent nie mógł znaleźć żadnych slumsów. Od wielu godzin mijał wyłącznie schludne sklepy i miłe, małe domki, place zabaw i wypielegnowane parki, zadbane farmy, a potem znowu takie same domki i sklepy. Nic tu nie wyglądało ani gorzej, ani • lepiej niż cokolwiek innego.

Z nastaniem wieczoru czuł się wymęczony i miał obolałe nogi. Wszystko wskazywało na to, że przez cały dzień nie odkrył niczego godnego uwagi. Jeśli chciał poznać życie na Ziemi głębiej, musiał zacząć rozmawiać z ludźmi. Było to posunięcie niebezpieczne, ale nie do uniknięcia.

Zmierzchało już, kiedy zatrzymał się obok sklepu z ubraniami i zaczął obmyślać plan działania. Postanowił udawać cudzoziemca, kogoś, kto właśnie przyjechał z Azji lub Europy. W ten sposób zadawane przez niego pytania nie powinny wzbudzać zbyt wielu podejrzeń.

Po chwili spostrzegł, iż w jego kierunku zmierza jakiś człowiek, przeciętny, otyły mężczyzna w brązowym, biurowym uniformie. Zdecydował się do niego podejść.

— Najmocniej pana przepraszam powiedział. — Jestem tu zupełnie obcy, właśnie przyjechałem z Rzymu.

— Ach tak? — powiedział mężczyzna.

— Otóż nie bardzo mogę się tutaj we wszystkim połapać

— ciągnął Barrent z lekkim, przepraszającym uśmiechem.

— Na przykład nie mogę znaleźć żadnego taniego hotelu. Gdyby mógł mi par, powiedzieć...

— Obywatelu, czy wy się dobrze czujecie? — spytał mężczyzna, a jego twarz wyraźnie stężała.

— Jak powiedziałem, jestem cudzoziemcem i szukam...

— Słuchajcie, obywatelu — przerwał mu nieznajomy. — Wicie przecież równie dobrze jak ja, że już od dawna nie ma żadnych cudzoziemców.

— Nie ma?

— Oczywiście, że nie ma. Ja też byłem w Rzymie. Tam jest dokładnie tak samo jak tu, w Wilmington. Takie same domy i sklepy. Dziś nikt nie jest już cudzoziemcem. Barrent nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Uśmiechnął się tylko nerwowo.

— Co więcej — ciągnął mężczyzna — nie istnieją żadne tanie hotele. Bo i po co? Kto miałby w nich mieszkać?

— No właśnie, kto? — powiedział głupkowato Barrent. — Zdaje się, że chyba trochę za dużo wypilem.

— Przecież nikt już nie pije — zdziwił się mężczyzna. — Nie rozumiem. Co to za jakieś wyglupy?

— A jak się panu zdaje? — odparł Barrent ratując się techniką, którą rekomendowali mu specjaliści Grupy. Mężczyzna popatrzył na niego badawczo i zmarszczył czoło.

— Chyba już wiem — powiedział po chwili. — Musicie być ankieterem.

— Hm — mruknął Barrent wymijająco.

— Tak, to oczywiste — powiedział mężczyzna. — Jesteście jednym z tych obywateli, którzy chodzą i pytają ludzi o opinie. Do prac badawczych i tak dalej. Zgadza się?

— Bardzo inteligentnie to rozszyfrowaliście — powiedział Barrent.

— Och, to nie było chyba takie trudne. Ciągłe spotyka się ankieterów, wpytujących ludzi o najróżniejsze rzeczy.

Natychmiast bym się tego domyślił, gdybyście byli stosownie ubrani. — Mężczyzna znowu zmarszczył czoło.

— Dlaczego nie macie na sobie odpowiedniego stroju?

— Właśnie zostałem przyjęty do pracy i nie zdążyłem jeszcze dostać — odparł Barrent.

— Ach tak. No cóż, powinniście sprawić sobie właściwy uniform — powiedział mężczyzna sentencjonalnie. — Bo w jaki sposób obywatel może rozpoznać, kim jesteście?

— To taki mały test na spostrzegawczość — odparł Barrent. — Dziękuję bardzo za wykazaną współpracę. Może będę jeszcze miał okazję przeprowadzić z wami wywiad.

— Jestem do usług — odpowiedział mężczyzna, po czym uklonił się uprzejmie i odszedł.

Przemyślawszy sobie to wszystko, Barrent doszedł do wniosku, że zawód ankietera jest wprost wymarzony dla niego. Dawał mu niekwestionowane prawo zadawania pytań, nawiązywania kontaktów z ludźmi, dociekania, jak wygląda życie na Ziemi. Oczywiście musiał zachować ostrożność, by nie ujawnić swej całkowitej ignorancji. Ale nawet pracując bardzo oględnie, powinien w ciągu kilku dni uzyskać podstawową wiedzę o ziemskiej cywilizacji.

Przed wszystkim jednak musiał sobie kupić strój ankietera. Wydawało się, że to dość ważne. Niestety Barrent nie bardzo miał czym zapłacić. Grupa nie była w stanie odtworzyć ziemskich pieniędzy; nikt nie mógł sobie nawet przypomnieć, jak wyglądały.

Ale zaopatrzone go w środki, mające dopomóc mu w pokonaniu także i tej przeszkody. Odwrócił się i wszedł do sklepu z odzieżą.

Właścicielem był niski człowieczek o porcelanowoniebieskich oczach i przyklejonym, zawodowym uśmiechu sprzedawcy.

— Szukam stroju ankietera — powiedział Barrent. — Właśnie podjąłem pracę.

— Oczywiście, sir — odparł właściciel. — I bardzo dobrze pan trafił. Większość sklepów prowadzi ubiory tylko dla... hm... bardziej popularnych zawodów. Ale my tutaj, w firmie Jules Wonderson, mamy gotowe stroje dla wszystkich pięciuset dwudziestu głównych profesji wymienionych w Almanachu Statusów Cywilnych. Jestem Jules Wonderson.

— Miło mi — odparł Barrent. — Ma pan coś mojego rozmiaru?

— Z całą pewnością. Życzy pan sobie model zwykły czy specjalny?

— Myślę, że wystarczy zwykły.

— Większość młodych ankieterów wybiera specjalny — powiedział Wonderson. — Dyskretna symulacja ręcznego wykończenia zyskuje uznanie w oczach ankietowanych.

— W takim razie wezmę specjalny.

— Znakomicie. Gdyby jednak zechciał pan poczekać dzień lub dwa, mógłbym zaproponować panu zupełnie nowy materiał: symulację tkaniny robionej domowym sposobem z naturalnymi błędami w osnowie. Dla osób zwracających baczną uwagę na status. To naprawdę towar ogromnie przydający prestiżu.

— Być może zdecyduję się na tę tkaninę — powiedział Barrent. — Na razie jednak chciałbym to, co pan ma na składzie.

— Oczywiście, sir — odparł Wonderson, dzielnie skrywając rozczarowanie. — Zechce pan chwilę zaczekać...

Po kilku przymiarkach Barrent został ubrany w czarny biurowy garnitur z cienką białą lamówką wokół klap marynarki. Dla niedoświadczonego oka strój ten wyglądał dokładnie tak samo, jak wszystkie inne wystawione na sprzedaż u Wondersona, a przeznaczone dla bankierów, maklerów giełdowych, sprzedawców warzyw, księgowych i tak dalej. Ale dla Wondersona, który nie przestawał mówić o klapach marynarki bankiera, wyłogach w ubiorze maklera i kroju garnituru agenta ubezpieczeniowego, musiały się one różnić równie wyraźnie, jak stroje poszczególnych klas na Omedze. Barrent uznał, że jest to tylko kwestia wprawy

— Proszę bardzo — powiedział Wonderson. — Leży wprost idealnie, a na materiał dajemy nieograniczoną gwarancję. I wszystko za jedne trzydzieści dziewięć dziesięćdziesiąt pięć.

— Doskonale — odparł Barrent. — Ale jeśli chodzi o zapłatę...

— Tak, sir?

Barrent zebrał się na odwagę:

— Otóż ja nie mam pieniędzy.

— Nie ma pan? Muszę przyznać, że to dość niezwykle.

— To prawda — powiedział Barrent. — Niemniej jednak posiadam pewne wartościowe przedmioty. — Sięgnął do kieszeni i wydobyl trzy pierścionki z brylantami, w które zaopatrzyła go Grupa. — Te kamienie to prawdziwe diamenty, co chętnie potwierdzi każdy jubiler. Gdyby zechciał pan zatrzymać jeden z nich do momentu, kiedy będę miał pieniądze...

— Ależ, proszę pana — powiedział Wonderson — diamenty i inne kamienie nie mają żadnej wartości. I to już od roku dwudziestego trzeciego, kiedy to von Blon napisał

swoją pracę ostatecznie obalającą teorię wartości dóbr rzadkich.

— Jasne — wykrztusił z siebie Barrent, nie mając pojęcia, co powiedzieć. Wonderson spojrział na pierścionki.

— Przypuszczam jednak, że przedmioty te mają pewną wartość pamiątkową.

— O tak, są własnością naszej rodziny od kilku pokoleń.

— W takim razie nie chciałbym ich pana pozbawić. Och. żadnych protestów, sir! Sentyment to najcenniejsze z uczuć. Nie

spalbym po nocach, gdybym zatrzymał choć jedną z tych pańskich rodzinnych pamiątek.

— Ale przecież muszę panu jakoś zapłacić!

— Zapłaci mi pan w wolnej chwili.

— Chce mi pan powiedzieć, że mi pan zaufa pomimo tego, że mnie pan w ogóle nie zna?

— Ależ oczywiście — odparł Wonderson, uśmiechając się przebiegle. — Widzę, że i na mnie próbuje pan swoich testujących metod, co? Więc dobrze, panie ankieterze: nawet dziecko wie, że nasza cywilizacja opiera się na zaufaniu, a nie na gwarancjach. Podstawą stosunków międzyludzkich jest założenie, iż ufać można osobie zupełnie nieznannej, chyba że czynami swymi dowiodła niezbitcie i definitywnie, iż tak jej traktować nie można.

— Czy nie został pan nigdy oszukany?

— Oczywiście że nie. W dzisiejszych czasach przestępstwo nie istnieje.

— A co w takim razie z Omega? — zapytał Barrent.

— Słucham?

— Z Omega, planetą-więzieniem. Musiał pan o niej słyszeć.

— Chyba słyszałem - odparł ostrożnie Wonderson. — No cóż, być może powinienem był powiedzieć, że przestępstwo

prawie nie istnieje. Przypuszczam, iż zawsze znajdzie się kilku osobników o wrodzonych skłonnościach przestępczych, łatwych zresztą do zidentyfikowania. Ale, jak słyszałem, nie spotyka się ich więcej niż kilku czy kilkunastu rocznie w społeczeństwie liczącym sobie blisko dwa miliardy osób. — Uśmiechnął się szeroko. — Tak więc szansę, żebym to ja natknął się na któregoś z nich, są niezwykle małe.

Barrent pomyślał o statkach więziennych nieustannie kursujących między Ziemią a Omega, wyladowujących swój ludzki ładunek i wracających natychmiast po następną partię. Zastanowił się, skąd Wonderson wziął swoje dane. I gdzie właściwie jest policja? Od opuszczenia statku nie widział ani jednego wojskowego czy policyjnego munduru. Korciło go, żeby o to spytać, ale doszedł do wniosku, że lepiej nie przeciągać struny.

— Dziękuję panu bardzo za zaufanie — powiedział. — Wrócę z pieniędzmi najszybciej, jak to będzie możliwe.

— Ależ oczywiście — odparł Wonderson, ciepło potrząsając ręką Barrenta. — Zapłaci mi pan w wolnej chwili. Naprawdę nie ma żadnego pośpiechu.

Rozdział 26

Barrent podziękował mu jeszcze raz i wyszedł na ulicę. Teraz miał zawód. I jeśli wszyscy byli równie ufni jak Wonderson, to miał także niewyczerpane możliwości kredytowe. Znajdował się na planecie, która na pierwszy rzut oka wydawała się Utopią. Oczywiście, jak w każdej utopii musiały w niej istnieć pewne wewnętrzne sprzeczności. Miał nadzieję, że w ciągu kilku najbliższych dni uda mu się dowiedzieć czegoś więcej na ich temat. Zaraz za rogiem znalazł hotel „Mała Chwilka”. Wynajął w nim pokój na cały tydzień — na kredyt.

Rankiem następnego dnia zapytał o drogę do najbliższej biblioteki publicznej. Doszedł do wniosku, że najpierw musi zapoznać się z wszelkimi informacjami dostępnymi w książkach. Posiadając odpowiednie wiadomości z zakresu historii rozwoju ziemskiej cywilizacji, powinien lepiej wiedzieć, czego się spodziewać i na co zwracać szczególną uwagę.

Strój ankietera ułatwił mu dostęp do zamkniętych półek, na których trzymano podręczniki historii. Ale same książki mocno go rozczarowały. Większość z nich dotyczyła prastarych czasów, od zarania cywilizacji do odkrycia energii atomowej. Kiedy zabrał się do kartkowania, ogarnęło go uczucie, że już kiedyś te książki czytał, a po chwili zaczął sobie nawet niejasno przypominać niektóre z zawartych w nich treści. W ten sposób udało mu się szybko przeskoczyć od Grecji Peryklesa do Cesarstwa Rzymskiego, Karola Wielkiego i średniowiecza, a potem od Wilhelma Zdobywcy do Wojny Trzydziestoletniej i czasów Napoleona. Okres wojen światowych przestudiował już uważniej. Książka kończyła się w momencie wybuchu pierwszych bomb atomowych. Pozostałe podręczniki, stojące na półce, były po prostu rozwinięciami poszczególnych okresów historycznych omówionych skrótowo w pierwszym dziele.

Po długich poszukiwaniach znalazł w końcu niewielką pracę zatytułowaną: „Powojenny dylemat, tom I”, autorstwa Artura Whittlera. Opisywała ona czasy, do których pozostałe pozycje nie docierały — od zrzucenia bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki. Przysunął sobie krzesło i zaczął uważnie czytać.

Dowiedział się o zimnej wojnie lat pięćdziesiątych XX wieku, kiedy to niektóre państwa weszły w posiadanie broni atomowych i wodorowych. Już wówczas, podkreślał

autor, wśród narodów świata kielkowała idea totalnego, aż do absurdu, konformizmu. W Ameryce szalała wrogość wobec komunizmu. W Rosji i Chinach ze wszystkich sił zwalczano ideę kapitalizmu. Stopniowo wszystkie narody świata zostały wciągnięte do któregoś z tych dwóch przeciwstawnych obozów. Dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa wewnętrznego wszystkie państwa rozwijały i stosowały coraz nowocześniejsze metody propagandy oraz indoktrynacji. Wszystkie uważały, iż po to, by mogły przetrwać, konieczne im jest uzyskanie od obywateli bezwzględnej aprobaty dla oficjalnej, państwowej doktryny.

Presja, której poddawano jednostki, by bez reszty podporządkowały się woli i przekonaniom ogółu, przybierała na sile, a stosowane w tej dziedzinie metody stawały się coraz bardziej wyrafinowane.

Niebezpieczeństwo konfliktu zbrojnego minęło. Mozaika różnorodnych społeczeństw i narodów Ziemi zaczęła układać się w jeden spójny obraz superpaństwa. Ale presja na rozwój postaw konformistycznych nie tylko nie zelżała, lecz wręcz przeciwnie, gwałtownie wzrosła. Była to konsekwencja nieustającej eksplozji demograficznej, a także pojawienia się mnóstwa problemów związanych z koniecznością przewyciężenia podziałów narodowościowych i etnicznych. Różnice zdań mogły zaowocować nieobliczalnymi następstwami: zbyt wiele grup miało dostęp do broni wodorowej.

W tej sytuacji nie można sobie było pozwolić na tolerowanie jakichkolwiek odchyłeń w postawach i zachowaniu.

Pomimo ogromnych trudności proces zjednoczenia i ujednolicenia doprowadzony został do końca. Podbój przestrzeni kosmicznej trwał nadal, siatki do podróży na

Księżyc i planety Układu Słonecznego ustąpiły miejsca pojazdom międzygwiazdowym. Ale instytucje ziemskie zaczęły działać twardo i rygorystycznie. Cywilizacja skostniała bardziej niż jakikolwiek wytwór średniowiecznej Europy. Bezwzględnie karano każde odstępstwo od obowiązujących zwyczajów, nawyków i przekonań. Takie pogwałcenie umowy społecznej traktowano jako zbrodnię nie mniejszą niż morderstwo czy podpalenie. I odpowiednio surowo je karano. Szczególnego znaczenia nabrały wszystkie dawne instytucje aparatu przymusu, takie jak tajna policja, policja polityczna czy rozbudowana sieć donosicieli. Nie było sposobów i metod, których by nie stosowano dłu osiągnięcia najważniejszego ; nadrzędnego celu • totalnego konformizmu.

Dla nonkonformistów była Omega. Karę śmierci zniesiono już znacznie wcześniej, lecz okazało się, że nie starcza ani miejsca, ani środków na utrzymanie szybko rosnącej liczby przestępców, którzy zapelnili wszystkie więzienia. Przywódcy świata zdecydowali się w końcu przetransportować kryminalistów na osobną więzienną planetę. Posłużono się tutaj przykładami z historii, bo wszak tak właśnie postępowali z przestępcami Francuzi, zsyłając ich do Gujany i Nowej Kaledonii, czy Anglicy, wykorzystując do tego celu Australię, a w pierwszym okresie także Amerykę Północną. Ponieważ zarządzanie Omegą z Ziemi było zupełnie nierealne, władze nawet tego nie próbowały. Dbano jedynie o to, by żaden z więźniów stamtąd nie uciekł.

Na tym kończył się tom pierwszy. Notka na okładce zapowiadała, że tom drugi będzie stanowił studium nowej organizacji życia na Ziemi. Miał nosić tytuł „Cywilizacja hierarchii”.

Tomu drugiego na półkach nie było. Zapytany o tę pozycję bibliotekarz odparł, iż książka została zniszczona w interesie bezpieczeństwa publicznego.

Barrent opuścił bibliotekę, po czym poszedł do niewielkiego parku. Usiadł na ławce, wbił wzrok w ziemię i próbował zebrać myśli.

Oczekiwał, że zastanie Ziemię taką, jak opisana w książce Whittlera. Był przygotowany, że trafi na państwo policyjne, wszechobecny aparat kontroli, uciskaną ludność i rosnące wzburzenie społeczne. Wszystko to jednak najwyraźniej należało do przeszłości. Jak do tej pory nie widział ani jednego policjanta. Nie natrafił na żadne środki kontroli, a ludzie, których spotykał, wcale nie sprawiali wrażenia uciskanych. Wręcz przeciwnie: był to jakby zupełnie inny świat...

Tyle tylko, że statki ani na chwilę nie przestawały przywozić na Omegę swego ładunku więźniów z wypranymi mózgami. Kto tych ludzi aresztował? Kto ich sądził? Skąd się brali w tym tak idealnym społeczeństwie? Ale odpowiedzi na te pytania musiał znaleźć sam.

Rozdział 27

Następnego dnia rano rozpoczął swe poszukiwania. Zastosowana przez niego technika była bardzo prosta. Dzwonił do drzwi i zadawał pytania. Ostrzegął wszystkich swoich rozmówców, że główne kwestie jego ankiety mogą przeplatać się z pytaniami podchwytliwymi lub wręcz bezsensownymi, gdyż jego celem było również sprawdzenie poziomu świadomości ogólnej. Okazało się, że w ten sposób mógł dowiadywać się dosłownie wszystkiego na temat Ziemi, poruszać kontrowersyjne czy nawet nie istniejące problemy, i to bez ujawniania własnej ignorancji.

Nadal istniało niebezpieczeństwo, że ktoś poprosi go o okazanie dokumentów, potwierdzających wykonywanie zawodu ankietera, lub że policja zmaterializuje się nagle w najmniej spodziewanym momencie. Ale tego ryzyka nie można było uniknąć.

Zaczął od bulwaru Pomarańczy i posuwał się na północ, wstępując po drodze do wszystkich domów. Wyniki prowadzonych wywiadów były bardzo różne, co najlepiej pokazuje pewien wybrany fragment jego notatek:

(Obywatelka A.L. Gotthreid, lat 55, zawód— gospodyni domowa. Silna, wysoka kobieta, apodyktyczna, lecz uprzejma, sprawiająca wrażenie dość rozsądnej).

— Chce pan ze mną rozmawiać o klasach i hierarchii, tak?

— Tak, proszę pani.

— Wy, ankieterzy, zawsze pytacie o klasy i hierarchie.

Można by sądzić, że zdążyliście się już dowiedzieć na ten temat absolutnie

wszystkiego. Ale dobrze. Dziś, kiedy ludzie są równi, istnieje tylko jedna klasa. Klasa średnia. Powstaje jednak pytanie: do której części klasy średniej się należy? Górnej, dolnej czy środkowej?

— A po czym to można poznać?

— Och, po wielu rzeczach. Po sposobie, w jaki ktoś je, mówi, ubiera się, po sposobie, w jaki zachowuje się w miejscach publicznych. Po manierach, po ubraniu. Tak, osobę z wyższej średniej klasy zawsze da się poznać po ubraniu. Tu trudno się pomylić.

— Rozumiem. A niższa średnia klasa?

— No cóż, przede wszystkim brak im energii twórczej. Na przykład kupują gotową odzież i nie zadają sobie trudu, by ją w jakikolwiek sposób ulepszyć. To samo odnosi się do ich mieszkań. I pozwolę sobie dodać, że zwykle banalne ozdóbki tu nie wystarczą. Świadczą one tylko o niedawnym

awansie do wyższej klasy średniej. Takich ludzi nie przyjmuje się w domu.

— Dziękuję, obywatelko Gotthreid. A do której grupy zaliczyłaby obywatelka siebie?

(Właściwie bez wahania) — Och, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Ale chyba byłaby to wyższa średnia.

(Obywatel Dreister, lat 43, zawód — sprzedawca obuwia. Szczupły, spokojny mężczyzna, nie wyglądający na swoje lata).

— Tak, proszę pana. Myra i ja mamy troje dzieci w wieku szkolnym. Trzech synów.

— Czy mógłby mi pan pokrótce opowiedzieć, co wchodzi w skład ich edukacji?

— Nauka pisania i czytania oraz zasad postaw obywatelskich. Zaczęli już także uczyć się swoich zawodów. Najstarszy idzie w moje ślady: będzie sprzedawcą obuwia. Młodszy wybrali kursy praktyczne z handlu żywnością i marketingu. To specjalność rodziny mojej żony. Uczą się także, jak zachować status i jak wykorzystywać standardowe techniki awansu. To już chyba wszystko, jeśli chodzi o lekcje otwarte.

— A czy szkoła prowadzi jakieś lekcje, które nie są otwarte?

— Cóż, oczywiście są również lekcje zamknięte. Wszystkie dzieci na nie uczęszczają.

— I czego tam się uczą?

— Nie wiem. Jak już powiedziałem, są to lekcje zamknięte.

— Czy dzieci nigdy nie opowiadają, co jest przedmiotem tych zajęć?

— Nie. Opowiadają o wszystkim pod słońcem, ale nie o tym.

— To znaczy, że zupełnie nie orientuje się pan, czemu mają służyć lekcje zamknięte?

— Przykro mi, ale nie. Chociaż domyślam się, lecz proszę pamiętać, że tylko „domyślam”, iż mają one jakiś związek z religią. Ale o to musiałby pan spytać nauczyciela.

— Dziękuję za rozmowę. Proszę mi jeszcze tylko powiedzieć, w jaki sposób określiliby pan swoją pozycję klasową?

— Średnia klasy średniej. Tu nie ma żadnych wątpliwości. (Obywatelka Maryjane Morgan, lat 51, zawód — nauczycielka szkolna. Wysoka, koścista kobieta).

— Tak, proszę pana. To już chyba pełny wykaz przedmiotów wykładanych w naszej szkole.

— Poza lekcjami zamkniętymi.

— Słucham?

— Lekcje zamknięte. Jeszcze tego pani nie omówiła.

— Bo to przecież niemożliwe.

— Dlaczego, obywatelko Morgan?

— Czy to jedno z tych podchwytliwych pytań? Przecież każdy wie, że nauczyciele nie mają wstępu na lekcje zamknięte.

— A kto ma?

— No jak to? Dzieci, oczywiście.

— Ale kto je uczy?

— Tym zajmuje się rząd.

— Zgoda. Ale kto konkretnie zajmuje się nauczaniem w klasie?

— Nie mam pojęcia, proszę pana. To jest nie moja sprawa. Lekcje zamknięte mają długą i chwalebłą tradycję. To, co się na nich odbywa, ma pewnie jakiś związek z religią. Ale tak się tylko domyślam. Cokolwiek by to było, to nie moja sprawa. Ani pańska, młody człowieku, choćby był pan ankieterem.

— Dziękuję za rozmowę, obywatelko Morgan.

(Obywatel Edgar Nief, lat 107, zawód — emerytowany oficer. Wysoki, przygarbiony mężczyzna chodzący o lasce. Zimne spojrzenie błękitnych oczu, nie przytępione wiekiem).

— Proszę mówić głośniejszym głosem. Jak brzmiało pańskie pytanie?

— Chodziło mi o siły zbrojne. Pytałem mianowicie...

— A tak, już pamiętam. Cóż, młody człowieku, byłem pułkownikiem w 21. Północnoamerykańskiej Jednostce Specjalnej, która stanowiła integralną część Orbitalnego Korpusu Obronnego Ziemi.

— I wycofał się pan ze służby, tak?

— Nie. To służba się wycofała.

— Słucham?

— Tak, tak, dobrze pan usłyszał, młody człowieku.

Nastąpiło to dokładnie sześćdziesiąt trzy lata temu.

Ziemskie Siły Zbrojne zostały zdemobilizowane, poza policją oczywiście, ale ja tego nie liczę. Zdemobilizowano całą armię, do ostatniego oddziału.

— Dlaczego to zrobiono, proszę pana?

— Nie było z kim walczyć. Nie było nawet nikogo, przed kim trzeba byłoby się strzec. Tak nam przynajmniej powiedziano. Ale to cholerna głupota, moim zdaniem.

— Dlaczego pan tak uważa?

— Bo każdy stary żołnierz wie, że wróg może się pojawić w każdej chwili. Choćby teraz. I co wtedy?

— A czy nie dałoby się armii sformować ponownie?

— Pewnie że by się dało. Ale obecne pokolenie nie ma pojęcia o służbie w wojsku. Nie mamy już żadnych dowódców poza kilkoma starymi przykami, takimi jak ja. Na to zaś, żeby utworzyć sprawnie dowodzoną armię, trzeba lat.

— A tymczasem Ziemia jest kompletnie bezbronna wobec jakiegokolwiek inwazji z zewnątrz?

— Właśnie. Jedyną jej obronę stanowią oddziały policyjne, ale poważnie wątpię, żeby to była siła zdolna sprawdzić się w walce.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć coś więcej o policji?

— Nic na ten temat nie wiem. Nigdy nie zaprzątałem sobie głowy cywilami.

— Można jednak przypuszczać, że policja przejęła wiele funkcji wojska, nieprawdaż? Że stanowi znaczną i zdyscyplinowaną siłę paramilitarną?

— To możliwe. Dziś wszystko jest możliwe.

(Obywatel Moertin Honners, lat 31, zawód — werbalista. Szczupły marzyciel o żywej, chłopięcej twarzy i gładkich kukurydziana blond włosach).

— A więc jest pan werbalistą, obywatelu Honners?

— Owszem, proszę pana. Choć, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolalbym określenie „literat”.

— Oczywiście. Obywatelu Honners, czy obecnie pisze pan coś dla któregoś z periodyków sprzedawanych w punktach szerokiego kolportażu?

— Skądże znowu?! Dla nich piszą tylko totalne beztalencia schlebiające gustom samych dołów klasy średniej. Ich opowiadania, na wypadek gdyby pan nie wiedział, są wiernymi kopiami prac popularnych pisarzy XX i XXI wieku. Te miernoty podstawiają tylko inne przymiotniki i przysłówki. Chociaż podobno zdarza się, że jakiś odważniejszy pismak zastępuje czasownik, a nawet rzeczownik, ale to rzadkie przypadki. Wydawcy tych czasopism niezbyt przychylnie patrzą na jakiegokolwiek innowacje.

— I pan nie wykonuje tego rodzaju prac?

— O nie! Moja praca ma charakter niekomercyjny. Jestem twórczym odtwórcą dzieł Conrada.

— Czy nie zechciałby pan wytłumaczyć, co to znaczy, obywatelu Honners?

— Z największą przyjemnością. Wszystkie moje wysiłki twórcze zmierzają do ponownego stworzenia dzieł Josepha Conrada, pisarza żyjącego u schyłku ery przedatomowej.

— A w jaki sposób pan to robi?

— No cóż, w chwili obecnej zajmuję się stworzeniem piątej nowej wersji „Lorda Jima”. Żeby tego dokonać, staram się jak najgłębiej wczuć w oryginał dzieła. Następnie próbuję napisać je jeszcze raz, tak jak uczyniłby to sam Conrad, gdyby żył w dzisiejszych czasach. Jest to zajęcie wymagające niezwyklej staranności i absolutnego artystycznego powinowactwa. Jedno jedyne potknięcie może pogrzebać całą pracę. Jak pan widzi, trzeba w mistrzowskim stopniu opanować conradowskie słownictwo, tematykę, wątki, postaci, nastrój, podejście i tak dalej. Ale operując tym wszystkim, nie wolno jednocześnie stworzyć bezwolnej kopii. W twórczym odtworzeniu musi być powiedziane coś nowego, tak jak powiedziałby to sam Conrad.

— I udaje się to panu?

— Krytycy byli dla mnie bardzo łaskawi, a i ze strony wydawców słyszę ciągle słowa zachęty do dalszej pracy.

— A jakie ma pan plany na przyszłość? Po ukończeniu piątej nowej wersji „Lorda Jima”?

— Najpierw zafunduję sobie długi odpoczynek. A później spróbuję stworzyć nową wersję któregoś z mniej znanych dzieł Conrada. Może „Plantatora z Malaty”.

— Rozumiem. Czy takie twórcze odtwarzanie jest zasadą rządzącą wszystkimi dziedzinami sztuki?

— To cel, do którego dąży każdy prawdziwy artysta, bez względu na to, jakie obrał sobie tworzywo. Sztuka to niestety okrutna pani.

(Obywatel Willis Ouerka, lat 8, zawód — uczeń. Wesoly, czarnowlosy, opalony chłopiec).

— Przykro mi, panie ankieterze, ale rodziców nie ma w domu. — Nie szkodzi, Willis. Nie masz nic przeciwko temu, żebym zadał ci kilka pytań?

— Pewnie że nie. A co pan ma tam pod marynarką? To, co tak odstaje?

— Pytania to ja będę zadawał, dobrze, Willis?... Taaak, lubisz chodzić do szkoły?

— Szkoła jest w porządku.

— A jakie tam macie lekcje?

— No, pisanie i czytanie, zasad obywatelskich, lekcje rysunku, muzyki, architektury, literatury, baletu i teatru. Takie same, jak wszędzie.

— Rozumiem. To wszystko jest na lekcjach otwartych?

— Jasne.

— Czy uczęszczasz także na zajęcia zamknięte?

— No pewnie. Codziennie.

— Czy możemy porozmawiać na ten właśnie temat?

— Dlaczego nie? Czy to, co tak odstaje, to pistolet? Ja wiem, co to jest pistolet. Kilku starszych chłopców pokazywało sobie kilka dni temu w czasie lunchu takie różne obrazki i wszystko widziałem. To pistolet?

— Nie. Po prostu garnitur niezbyt dobrze na mnie leży... No więc, czy mógłbyś mi powiedzieć, czym zajmujecie się w czasie tych lekcji?

— Nie mógłbym.

— A dlaczego?

— Bo nie pamiętam.

— Nie opowiadaj, Willis.

— Naprawdę, panie ankieterze. Wszyscy wchodzimy do klasy i wychodzimy z niej po dwóch godzinach na przerwę.

To wszystko. Nic więcej nie pamiętam. Rozmawiałem nawet z innymi dziećmi, ale one też nic nie pamiętają.

— Dziwne...

— Nie, proszę pana. Przecież gdybyśmy mieli coś pamiętać, lekcje nie byłyby zamknięte.

— Może i tak. A czy pamiętasz, jak wygląda klasa albo kto prowadzi zajęcia w czasie lekcji zamkniętych?

— Nie, proszę pana. Ja naprawdę w ogóle nic z tych lekcji nie pamiętam.

— Dziękuję ci, Willis.

(Obywatel Cuchulain Dent, lat 37, zawód — wynalazca. Przedwcześnie wyłysiały mężczyzna o ironicznym spojrzeniu).

— Taaak, zgadza się. Jestem wynalazcą. Specjalizuję się w grach i zabawach. W zeszłym roku wymyśliłem „Triangulować, bo inaczej...!” Okazało się to całkiem niezłe. Może pan widział?

— Niestety, chyba nie.

— Coś w rodzaju gry zręcznościowej. O zagubionych w przestrzeni kosmicznej. Gracze otrzymują niekompletne dane dla swoich minikomputerów i żeby je uzupełnić, muszą trafnie rozwiązać pewne zadania. Za błędne odpowiedzi spotykają ich różne kosmiczne niebezpieczeństwa. Mnóstwo błyskających światełek, i tak dalej. Wielki szlagier rynkowy.

— Czy zajmuje się pan także wynalazkami z innych dziedzin, obywatelu Dent?

— Kiedy byłem dzieckiem, pracowałem nad udoskonalonym modelem siewniko-żniwiarki. Jej wydajność miała być mniej więcej trzy razy wyższa od maszyn używanych obecnie. I niech pan sobie wyobrazi, naprawdę miałem nadzieję, że ktoś ten pomysł kupi.

— I kupił?

— Oczywiście że nie. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że urząd patentowy na stałe zawiesił przyjmowanie wniosków poza sekcją gier i zabaw.

— Czy wywołało to w panu rozgoryczenie?

— No cóż, przyznam, trochę byłem zły. Ale szybko zdałem sobie sprawę, że modele, których używamy, są wystarczająco dobre. Nie ma potrzeby wprowadzać czegoś lepszego lub bardziej pomysłowego. Dziś ludzie cieszą się tym, co mają. A poza tym nowe wynalazki w żaden sposób nie mogłyby przysłużyć się ludzkości. Kontrola urodzeń i zgonów utrzymuje przyrost naturalny na poziomie zerowym, więc każdy może żyć dostatnio. By wprowadzić w życie jakiś wynalazek, trzeba byłoby wyposażyć fabryki w nowe maszyny i urządzenia. A to przecież zupełnie niemożliwe, gdyż wszystkie zakłady są całkowicie zautomatyzowane i same się naprawiają. Dlatego właśnie wprowadzono moratorium na wszelkie wynalazki poza nowinkami w dziedzinie gier i zabaw.

— A co pan osobiście o tym sądzi?

— A co tu można sądzić? Tak po prostu jest.

— I nie chciałby pan, żeby to się zmieniło?

— Może i chciałbym. Ale jako wynalazca i tak już jestem uważany za element potencjalnie niepewny.

(Obywatel Barn Threnten, lat 41, zawód— inżynier atomista, ze specjalnością: konstrukcja statków kosmicznych. Nerwowy, inteligentny mężczyzna o ciemnobrązowych, smutnych oczach).

— Chce pan wiedzieć, na czym polega moja praca?

Przykro mi, że pan o to pyta, gdyż prawdę mówiąc nie robię absolutnie nic poza obchodzeniem w kółko fabryki. Karta pracy wymaga, by na każdego robota i każdą zautomatyzowaną operację przypadał jeden ludzki

obserwator. I na tym właśnie polega moje zajęcie: stoję i obserwuję.

— Wydaje mi się, że jest pan rozgoryczony, obywatelu Threnten.

— To prawda. Chciałem być inżynierem atomista. Uczyłem się w tym kierunku. Lecz kiedy skończyłem studia, okazało się, że posiadam wiedzę sprzed pięćdziesięciu lat. Powiedziano mi także, że nawet gdybym nauczył się najnowszych rzeczy, to i tak nie miałbym gdzie ich zastosować.

— Dlaczego?

— Ponieważ w atomistyce wszystko jest zautomatyzowane. Nie wiem, czy większość społeczeństwa zdaje sobie z tego sprawę, ale to prawda. Od surowców po produkt końcowy wszystko jest całkowicie zautomatyzowane. Udział człowieka w tej dziedzinie ogranicza się do kontroli ilościowej w kategoriach indeksów demograficznych. Ale i ten jest zupełnie minimalny.

— A co się dzieje, kiedy jakaś maszyna lub część fabryki ulega uszkodzeniu?

— Uszkodzenie zostaje usunięte przez zespoły robotów.

— A jeśli one się zepsują?

— Te piekielne maszyny same się naprawiają. Mnie pozostaje tylko stać, przyglądać się i wypełnić formularz raportu. A jest to absurdalne zajęcie dla człowieka, który uważa się za inżyniera.

— To dlaczego w takim razie nie znajdzie pan sobie innego zajęcia?

— To by nic nie dało. Sprawdziłem już, że wszyscy inżynierowie robią dokładnie to samo co ja: przyglądają się zautomatyzowanym procesom, o których nie mają najmniejszego pojęcia. I to w każdej dziedzinie: w przemyśle spożywczym, samochodowym, budownictwie, w

biochemii. Wszędzie jest to samo. I albo zatrudnia się inżynierówobserwatorów, albo w ogóle nie ma żadnych miejsc pracy dla inżynierów.

— Odnosi się to także do lotów kosmicznych?

— Oczywiście. Żaden członek związku zawodowego pilotów kosmicznych nie opuścił Ziemi od blisko pięćdziesięciu lat. Dziś nie wiedzieliby nawet, jak poprowadzić statek.

— Rozumiem. Wszystkie statki kierowane są automatycznie.

— Właśnie. Zawsze i bez względu na okoliczności.

— A co by się stało, gdyby któryś ze statków znalazł się w jakiejś absolutnie nowej sytuacji?

— Trudno powiedzieć. Te statki nie są przecież w stanie myśleć. Po prostu działają zgodnie z wcześniej ustalonym programem. Gdyby któryś z nich znalazł się w sytuacji, na którą nie został zaprogramowany, pewnie doznałby czegoś w rodzaju paraliżu, przynajmniej na jakiś czas.

Przypuszczam, że wyposażono je w optymalizator wyboru, który powinien przejąć sterowanie w nieprzewidzianych sytuacjach, ale urządzenie to nigdy dotychczas nie zostało wypróbowane. Tak więc w najlepszym razie zareagowałyby ze znacznym opóźnieniem, a w naj gorszym — nie zareagowałyby wcale. I bardzo by mi to odpowiadało.

— Naprawdę tak pan uważa?

— Oczywiście. Mam już dość sterczenia przy maszynach, które dzień po dniu wykonują te same czynności. Zresztą większość znanych mi techników i inżynierów czuje podobnie. Chcemy coś zrobić. Cokolwiek. Czy pan wie, że sto lat temu pilotowane przez ludzi statki kosmiczne badały planety innych systemów gwiazdnych?

— Tak, wiem.

— No widzi pan, tym się właśnie powinniśmy zajmować. Szukać, badać, sięgać coraz dalej. Tego właśnie potrzebujemy.

— Zgadza się. Ale czy nie uważa pan, że to, co pan mówi, jest dość niebezpieczne?

— Wiem, że jest. Ale powiem szczerze, iż mało mnie to obchodzi. Jeśli chcą, mogą mnie wysłać na Omegę. Tutaj nie robię nic pożytecznego.

— A zatem słyszał pan o Omedze?

— Każdy, kto miał do czynienia ze statkami kosmicznymi, musiał słyszeć o Omedze. Przecież podróże na Omegę i z powrotem to jedyne zajęcie naszej kosmicznej floty. Co za koszmar. Osobiście winie za to wszystko duchowieństwo.

— Duchowieństwo?

— Właśnie. Tych świętoszkowatych durni plotących bez końca o Kościele Ducha Ludzkości Wcielonej. Już samo to wystarczy, żeby zacząć pragnąć odrobiny zła...

(Obywatel ojciec Boeren, lat 51, zawód — duchowny.

Dumny, otyły mężczyzna w szafranowej todze i białych sandałach).

— Zgadza się, mój synu. Jestem opatem miejscowego oddziału Kościoła Ducha Ludzkości Wcielonej. Kościół nasz jest oficjalnym i jedynym religijnym wyrazem rządu. Nasza religia przemawia w imieniu wszystkich ludów Ziemi. Składają się na nią najlepsze elementy wszystkich poprzednich religii, zarówno uniwersalnych, jak i lokalnych, zespolone starannie w jedną wszechogarniającą religię światową.

— Obywatelu opacie, czy między różnymi doktrynami, które złożyły się na tę wiarę, nie występują zasadnicze lub choćby istotne sprzeczności?

— Występowały. Jednak twórcy naszego Kościoła odrzucili wszelkie kontrowersyjne elementy. Chcieliśmy

wszak ugody, a nie waśni. Zachowaliśmy jedynie główne symbole wielkich wczesnych religii, symbole, z którymi wierni mogą się utożsamiać. W naszym Kościele nigdy nie było żadnej schizmy, ponieważ jesteśmy nieskończenie tolerancyjni. Każdy może wierzyć w to, co tylko mu się podoba, o ile nie godzi w Najświętszego Ducha Ludzkości Wcielonej. Bo widzisz, mój synu, nasza wiara jest w swej istocie prawdziwą wiarą w Człowieka. A duch, którego wielbimy, jest duchem Świętego i Boskiego Dobra.

— Czy nie zechciałby pan, obywatelu opacie, zdefiniować dla mnie pojęcia Dobra?

— Ależ oczywiście. Dobro to ta tkwiąca w nas moc, która każe nam postępować zgodnie z nakazami konformizmu i bezwzględnego posłuszeństwa. Ubóstwienie Dobra jest w swej istocie ubóstwieniem samego siebie, stąd też stanowi jedyne prawdziwe ubóstwianie. Wielbiona przez nas nasza własna osoba jest idealną istotą społeczną: człowiekiem zadowolonym ze swego miejsca w społeczności, a przecież gotowym do pochwycenia każdej nadarzającej się okazji awansu. Dobro jest wyrozumiałe, ponieważ jest prawdziwym odzwierciedleniem kochającego i współczującego wszechświata. Dobro zmienia się nieustannie w swych licznych formach, choć objawia się nam jako... Masz dziwny wyraz twarzy, młody człowieku.

— Przepraszam, obywatelu opacie. Wydaje mi się, że już gdzieś to kazanie słyszałem, a w każdym razie bardzo podobne.

— Prawda jest prawdą bez względu na to, kiedy i gdzie się ją wygłasza.

— Oczywiście. Jeszcze jedno pytanie: czy mógłby mi pan opowiedzieć, jak wygląda nauczanie religii w szkołach?

— Tę pracę wykonują za nas robotyspowiednicy.

— Słucham?

— Pojęcie to przejęliśmy z zakorzenionego w pradawnych czasach transcendentnego feudalizmu. Robotspowiednik poucza zarówno dzieci, jak i dorosłych. Zajmuje się ich problemami całkowicie obiektywnie. Jest ich stałym przyjacielem, społecznym mentorem, ich religijnym przewodnikiem. Będąc robotami spowiednicy są w stanie udzielać precyzyjnych i zawsze takich samych odpowiedzi na dowolne pytania. To ich ogromny wkład w dzieło Konformizmu.

— Rzeczywiście ogromny. Czym zajmują się w takim razie kapłaniludzie?

— Nadzorują pracę robotów-spowiedników.

— Czy roboty-spowiednicy biorą udział w lekcjach zamkniętych?

— Nie mam kompetencji do udzielenia odpowiedzi na to pytanie.

— Biorą, prawda?

— Ja naprawdę nie wiem. Zakaz wstępu na lekcje zamknięte dotyczy wszystkich dorosłych, a więc także opatów.

— Kto wydał ten zakazi

— Szef Tajnej Policji.

— Ach tak... Dziękuję, obywatelu opacie Boeren.

(Obywatel Enyen Dravivian, lat 43, zawód — pracownik administracji rządowej. Zmęczony, przedwcześnie postarzały mężczyzna o szczupłej twarzy i lekko skośnych oczach).

— Dobry wieczór panu. A więc jest pan pracownikiem administracji rządowej?

— Zgadza się.

— Rządu stanowego czy federalnego?

— Obu.

— Rozumiem. I od jak dawna jest pan tam zatrudniony?

- Od około osiemnastu lat.
- Ach tak. Może zechciałby mi pan powiedzieć, na czym konkretnie polega pańska praca?
- W żadnym wypadku. Jestem szefem Tajnej Policji.
- Jest pan... Rozumiem, sir. To bardzo ciekawe. Ja...
- Nie sięgajcie po swój promiennik, eksobywatelu Barrent. Mogę pana zapewnić, że w polu otaczającym ten dom jest zupełnie bezużyteczny. A jeśli pan go dotknie, spotka pana krzywda.
- W jaki sposób?
- Mam tutaj kilka dość wymyślnych systemów zabezpieczających.
- Skąd pan zna moje nazwisko?
- Dowiedziałem się o panu nieomal w momencie, gdy postawił

Rozdział 28

pan stopę na Ziemi. Widzi pan, my nie jesteśmy tacy znowu ślepi i głusi. Ale o tym wszystkim możemy porozmawiać wewnątrz. Zechce pan wejść?

- Dziękuję, raczej nie.
- Obawiam się, że będzie pan musiał. No, Barrent, przecież pana nie ugryzę.
- Czy nie jestem aresztowany?
- Ależ skądże! Po prostu utniemy sobie małą pogawędkę. Tak, tak, tędy, tamte drzwi. Proszę czuć się jak u siebie.

Dravivian zaprowadził go do dużego pokoju wyłożonego boazerią z orzecha. Wykonane z czarnego drewna politurowane meble były ciężkie i zawile rzeźbione. Biurko, proste i wysokie, sprawiało wrażenie antyku. Jedną ze ścian pokrywał wspaniały gobelin. W tracących ostrość barwach przedstawiał średniowieczną scenę polowania.

— Podoba się panu? — spytał Dravivian. — Do urządzenia tego pokoju przyczyniła się cała moja rodzina. Żona skopiowała ten gobelin z oryginału, który wisi w Metropolitan Museum. Moi dwaj synowie zajęli się umeblowaniem. Chcieli tu dać coś starego i hiszpańskiego w wyrazie, ale jednocześnie, żeby było nieco bardziej wygodne niż większość antyków. Udało im się to uzyskać dzięki kilku niewielkim zmianom linii. Natomiast mojego własnego wkładu nie można dostrzec. Moją specjalnością jest muzyka baroku.

— Poza pracą policyjną — powiedział Barrent.

— Owszem, poza pracą policyjną. — Dravivian odwrócił się od Barrenta i popatrzył, w zamyśleniu na gobelin. — Do tego tematu przejdziemy w odpowiednim czasie.

Najpierw niech mi pan powie, co pan myśli o tym pokoju?

— Jest bardzo piękny — odparł Barrent.

— Taak. I co dalej?

— No cóż... Nie jestem ekspertem. Trudno mi go osądzić.

— Chodzi właśnie o to, że pan musi osądzić — powiedział Dravivian. — W tym pokoju może pan ujrzeć całą ziemską cywilizację w miniaturze. Chcę wiedzieć, co pan o tym myśli.

— Trochę to jakby pozbawione życia. Dravivian odwrócił się z powrotem do Barrenta.

— Tak, to dobre określenie — powiedział uśmiechając się.

— Choć „zasklepione w sobie” byłoby może nawet lepsze.

To jest pokój człowieka o wysokim statusie, Barrent. W ulepszenie starych wzorów włożono tu mnóstwo twórczej inwencji. Moja rodzina powołała do życia pewien fragment przeszłości Hiszpanii. Inni zachowują się podobnie: odtwarzają elementy historii Majów, pierwszych osadników amerykańskich bądź niektórych plemion Oceanii. A jednak kryjąca się za tym wszystkim pustka

jest zupełnie oczywista. Nasze zautomatyzowane fabryki rok po roku produkują dla nas dokładnie takie same dobra. A ponieważ dobra te są takie same, odczuwamy potrzebę wprowadzania do nich zmian, ulepszania ich, ozdabiania po to, by wyrazić w nich siebie i poprzez nie — zaakcentować swoją pozycję społeczną. Taka właśnie jest Ziemia, Barrent. Swą energię i umiejętności trwonimy w pogoni za rzeczami, które w swej istocie są czysto dekadencjonalne. Ponownie rzeźbimy stare meble, trzęsiemy się nad pozycją i statusem, a tymczasem tajemnicze światy odległych planet pozostają nie zbadane i nie podbite. Już dawno zrezygnowaliśmy z rozwoju i ekspansji. Stabilizacja przyniosła niebezpieczeństwo stagnacji, na którą przystaliśmy. Staliśmy się cywilizacją tak niezwykle wysoko uspołecznioną, że wszelkie dążenia do indywidualizacji trzeba było skierować na zupełnie nieszkodliwe dziedziny, popchnąć je do wewnątrz, nie dopuścić, by otrzymały jakikolwiek znaczący wyraz. W czasie swego pobytu na Ziemi chyba dość się pan na to napatrzył, prawda?

— Owszem. Ale nigdy bym się nie spodziewał, że usłyszę to z ust szefa Tajnej Policji.

— Jestem dość niezwykle człowiekiem — powiedział Dravivian uśmiechając się ironicznie. — A Tajna Policja to niezwykle instytucja.

— Ale chyba bardzo skuteczna. W jaki sposób dowiedzieliście się o mnie?

— Nie było to zbyt skomplikowane. Większość mieszkańców Ziemi ma od dzieciństwa wpojone przestrzeganie środków bezpieczeństwa. Widzi pan, to część naszego dziedzictwa. Niemal wszyscy, z którymi pan rozmawiał, zdawali sobie sprawę, że coś jest z panem nie w porządku. Rzucił się pan w oczy nie mniej niż wilk w

stadzie owiec. Nie mogli tego nie zauważyć i meldowali bezpośrednio mnie.

— Dobrze — powiedział Barrent. — I co teraz?

— Przede wszystkim chciałbym, żeby opowiedział mi pan o Omedze.

Barrent opowiedział szefowi Tajnej Policji o swoim życiu na więziennej planecie. Dravivian kiwał głową, nieznacznie się uśmiechając.

— Cóż, wygląda to prawie dokładnie tak, jak się tego spodziewałem — powiedział. — Na Omedze zdarzyło się niemal to samo, co w pierwszych koloniach amerykańskich i australijskich. Jest tam ta sama dzika energia i pasja, i ta sama bezwzględność. Choć oczywiście są też pewne różnice, ale wy byliście znacznie bardziej odcięci od świata.

— I co pan zamierza teraz zrobić? — zapytał Barrent.

Dravivian wzruszył ramionami.

— To naprawdę nie jest ważne. Przypuszczam, że mógłbym pana zabić. Ale to nie powstrzymałoby pańskiej Grupy od wysłania innych szpiegów czy pochwycenia jednego z więziennych statków. A w momencie, gdy ludzie na Omedze zdecydują się na użycie siły, tak czy owak odkryją prawdę.

— Jaką prawdę?

— Przecież do tej pory musiał ją pan chyba poznać — powiedział Dravivian. — Ziemia nie widziała wojny od ponad ośmiuset lat. Dziś nie miałyby nawet pojęcia, jak ją prowadzić. Sieć statków wartowniczych krążących wokół Omegi to zwykły kamuflaż. Statki te są całkowicie zautomatyzowane, zbudowane zgodnie z potrzebami, jakie istniały kilkaset lat temu. Każdy sensownie przeprowadzony atak doprowadzi do pochwycenia któregoś z nich. A kiedy będziecie mieli jeden, reszta nie będzie stawiała oporu. I wtedy już nic nie będzie mogło

was powstrzymać przed powrotem na Ziemię. Tymczasem Ziemia po prostu nie ma się czym bronić. To właśnie, jak musiał się pan domyślić, jest powodem, dla którego wszystkich deportowanych więźniów pozbawia się pamięci. Gdyby bowiem pozwolono im ją zachować, bezbronność Ziemi byłaby faktem zbyt boleśnie jawnym.

— Skoro tak doskonale zdajecie sobie z tego sprawę — powiedział Barrent — to dlaczego wasi przywódcy nic z tym nie zrobią?

— Istniał kiedyś taki zamiar. Ale na zamiarze się skończyło. Woleliśmy o tym nie myśleć. Zakładaliśmy, że status quo będzie trwało w nieskończoność. Nikt z nas nie chciał myśleć o dniu, kiedy Omeganie powrócą na Ziemię.

— A co pan i pańska policja macie zamiar w tej sprawie zrobić?

— Cóż, ja także jestem zwykłym kamuflażem — odparł Dravivian. — I nie mam żadnej policji. Stanowisko szefa jest

czysto honorowe. Tutaj już od ponad stu lat nie było potrzeby używania sił policyjnych.

— Będziecie mieli taką potrzebę, kiedy Omeganie wrócą do domu — powiedział Barrent.

— To prawda. Znów pojawią się przestępstwa i inne poważne problemy. Ale uważam, że końcowy efekt tego wymieszania będzie pozytywny. Wy tam, na Omedze, macie ambicje, rozpiera was energia, chcecie sięgnąć gwiazd. Przypuszczam, że przyda wam się odrobina stabilizacji i twórczej inwencji, której dostarczy Ziemia. Zresztą bez względu na to, jaki to przyniesie skutek, połączenie jest nieuniknione. Zbyt długo już żyliśmy tutaj we śnie i trzeba nami mocno potrząsnąć, by nas z niego wyrwać.

Dravivian podniósł się z fotela.

— A teraz — powiedział — skoro zadecydowaliśmy już o losach Ziemi i Omegi, czy mogę zaproponować panu coś odświeżającego?

Rozdział 29

Przy pomocy szefa policji Barrent umieścił swoją przesyłkę na pokładzie następnego statku, który miał wyruszyć na Omegę. Opisywał w niej sytuację panującą na Ziemi i zalecał natychmiastowe podjęcie akcji.

Załatwiwszy tę sprawę, mógł już spokojnie przystąpić do drugiego etapu swojej misji — znalezienia sędziego, który skazał go za nie popełnione przestępstwo, i donosiciela, który kłamliwie oskarżył go przed sędzią. Wiedział, że jeżeli tych dwóch odnajdzie, ostatecznie będzie mógł usunąć wszystkie luki ze swojej pamięci.

Złapał nocny ekspres do Youngerstun. Podejrzliwość, niezwykle rozwinięta podczas pobytu na Omedze, ani na chwilę nie dawała mu spokoju. W całej tej cudownej prostocie był jakiś haczyk. Możliwe, że w Youngerstun to się wyjaśni.

Wczesnym rankiem był już na miejscu. Schludne rzędy domów wyglądały dokładnie tak samo, jak w każdym innym mieście. Barrentowi jednak wydawały się wyraźnie inne i boleśnie znajome. Pamiętał to miasto, a każdy z tych identycznych domów miał w jego oczach swoją indywidualność i znaczenie. W tym mieście urodził się i wychował.

Oto sklep Grothmeira, a naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, dom Haveninga, miejscowego mistrza dekoracji wnętrz. Tu zaś dom Billy'ego Havelocka. Billy był jego najlepszym przyjacielem. Wspólnie planowali swe międzygwiazdne podróże i nie przestali się przyjaźnić także po ukończeniu szkoły aż do momentu, kiedy Barrenta skazano na Omegę.

Tu mieszkał Andrew Therkaler. A zaraz za rogiem była szkoła. Teraz przypominał sobie, jak wyglądały sale lekcyjne. Przypominał sobie nawet, jak każdego dnia przekraczał próg drzwi wiodących do sali zajęć zamkniętych. Ale w dalszym ciągu nie mógł sobie przypomnieć, czego tam się uczył.

Właśnie tu, w tym miejscu, obok dwóch ogromnych wiązów, popełniono tamto morderstwo. Barrent podszedł do drzew i przypominał sobie, jak to było. Wracał do domu. Gdzieś zza pleców usłyszał rozdzierający krzyk. Odwrócił się i dostrzegł biegnącego ulicą mężczyznę. To był Illiardi, który po drodze rzucił czymś w Barrenta. Barrent instynktownie to chwycił i nagle zobaczył, iż trzyma w rękach pistolet. A potem jeszcze kilka kroków i spojrzał w wykrzywioną twarz martwego Andrew Therkalera.

A co było później? Osłupienie. Panika. Strach, że ktoś widział, jak stał z bronią nad zwłokami. Tam, przy końcu ulicy, było miejsce, gdzie poszedł się schronić.

Zbliżył się do tego miejsca i ujrzał budkę robotaspowiednika. To tu.

Wszedł do środka. Pomieszczenie było małe, a w powietrzu unosiła się delikatna woń kadzidla. Przodem do skomplikowanej, jasno oświetlonej płyty stało krzesło.

— Dzień dobry, Will — usłyszał pozdrowienie dochodzące od strony płyty.

Na dźwięk aksamitnego, syntetyzowanego głosu ogarnęło Barrenta nagle uczucie bezradności. Teraz sobie przypominał. Wyprany z emocji głos wiedział wszystko, wszystko rozumiał i niczego nie wybaczał. To właśnie ten doskonale spreparowany głos wysłuchał go, pouczył, osądził i skazał. A Barrent w jakimś majaku obdarzył robota-spowiednika postacią ludzkiego sędziego.

— Pamiętasz mnie? — spytał.

— Oczywiście — odparł robot-spowiednik. — Byłeś jednym z moich parafian, zanim zostałeś zesłany na Omegę.

— To ty mnie tam zesłałeś.

— Za popełnienie morderstwa.

— Ale ja go nie popełniłem! — zawołał Barrent. — Nie zrobiłem tego i ty musiałeś o tym wiedzieć!

— Oczywiście, że wiedziałem — powiedział robot-spowiednik. — Ale moje możliwości i obowiązki są ściśle zdefiniowane. Wyroki wydaję na podstawie dowodów, a nie intuicji. Prawo stanowi, że spowiednicy mogą brać pod uwagę jedynie przedstawione im konkretne dowody i muszą na ich podstawie, niezależnie od wątpliwości, orzekać. Prawdę mówiąc, już samo stawienie się przede mną oskarżonego o morderstwo stanowi poważne domniemanie winy.

— Czy miałeś przeciwko mnie jakieś dowody?

— Tak.

— Kto ich dostarczył?

— Nie wolno mi ujawnić jego nazwiska.

— Musisz! — zawołał Barrent. — Czasy się zmieniły.

Więźniowie wracają na Ziemię. Wiedziałeś o tym?

— Spodziewałem się tego.

— Muszę znać nazwisko donosiciela — powiedział Barrent. Wyciągnął z kieszeni promiennik i wycelował w tablicę.

— Maszyny nie da się zastraszyć — powiedział spowiednik.

— Nazwisko! — krzyknął Barrent.

— Nie mogę. Dla twojego dobra. Niebezpieczeństwo byłoby zbyt wielkie. Uwierz mi, Will...

— Nazwisko!

— Więc dobrze. Znajdziesz donosiciela na ulicy Klonowej pod numerem trzydziestym piątym. Ale szczerze ci radzę, żebyś, tam nie chodził. Inaczej zginiesz. Po prostu nie zdajesz sobie sprawy...

Barrent nacisnął spust i wąski promień przeciął tablicę. Światelka zamigotały i zgasły, odcięte od dopływu prądu. Na koniec tablica poczerniała i zaczął wydobywać się z niej ledwo widoczny szary dym.

Barrent odwrócił się i wyszedł z konfesjonału. Wsunął promiennik z powrotem do kieszeni, po czym ruszył w kierunku ulicy Klonowej.

Był już tutaj kiedyś. Znał tę ulicę, prowadzącą na wzgórze, wspinającą się stromo między szpalerem klonów i dębów. Te lampy uliczne to stare znajome, to pęknięcie chodnika to punkt orientacyjny z dzieciństwa. A oto i domy, ciężkie od wspomnień. Zdawały się pochylać ku niemu wyczekująco niby widzowie zafascynowani mającym nastąpić finałem zapomnianego już niemal dramatu. Stał przed wejściem do domu przy Klonowej trzydzieści pięć. Absolutna cisza, w której pogrążony był ten surowy budynek o białych okiennicach, wydała mu się nagle dziwnie złowieszcza. Wyjął z kieszeni swój promiennik, szukając w nim jakiegoś wsparcia, ale wiedział, że nic mu go nie dostarczy. Wspiał się po kilku kamiennych schodkach i nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły i wszedł do środka.

Po chwili zaczął odróżniać niewyraźne kontury lamp i mebli, matowo połyskujący obraz na ścianie, zarys rzeźby na hebanowym postumencie. Z promiennikiem w rękę przeszedł do następnego pomieszczenia.

I stanął twarzą w twarz z donosicielem.

Przyglądając się jego twarzy, wszystko sobie przypomniał. W przytłaczającym zalewie wspomnień zobaczył siebie,

małego chłopca, wchodzącego do sali zajęć zamkniętych. Znowu usłyszał kojący szum maszyn, zobaczył migocące, śliczne, kolorowe światelka, słyszał tuż przy uchu natarczywy szept mechanicznego głosu. Początkowo głos ten nappełnił go przerażeniem. To, co mówił, było straszne. Ale powoli zaczął się przyzwyczajać, przyzwyczajać do tego głosu i do tych wszystkich dziwnych rzeczy, które działy się podczas zajęć zamkniętych.

Uczył się. Maszyny nauczały na głębokich poziomach podświadomości. Oplatały swoje lekcje wokół naturalnych popędów, tkwały życiowe instynkty we wzór wyuczonego zachowania. Uczyły, potem odcinały świadomość od dostępu do wpojonej przez siebie wiedzy, by na koniec wiedzę tę uszczelnić i wtopić.

Czego go nauczyły? Dla dobra ogółu sam musisz być swoim policjantem i świadkiem. Musisz przyjąć na siebie odpowiedzialność za każde przestępstwo, które, choćby teoretycznie, mogło być popełnione przez ciebie.

Twarz donosiciela wpatrywała się weń bez wyrazu. Była to jego własna twarz, odbita w lustrze wiszącym na ścianie.

Sam na siebie doniósł. Tamtego dnia, kiedy stał z pistoletem w dłoni nad zwłokami zamordowanego człowieka, wyuczone, podświadome procesy zaczęły działać. Domniemanie winy było zbyt wielkie, by mógł mu się oprzeć, a możliwość winy stała się winą samą.

Poszedł do konfesjonału robota-spowiednika i bez wahania dostarczył kompletnych i przekonujących dowodów przeciwko sobie, oskarżając się na podstawie zwykłego prawdopodobieństwa.

Robot-spowiednik wydał obligatoryjny wyrok i Barrent opuścił konfesjonał. Doskonale wyuczony w szkole, samodzielnie zgłosił się do aresztu, a następnie udał się do najbliższego centrum kontroli procesów myślowych w

Trenton. Już wcześniej uległ częściowej amnezji, która została uruchomiona na podstawie zaprogramowanej instrukcji wpojonej mu w czasie lekcji zamkniętych. Wysoko kwalifikowane androidy w centrum kontroli myśli ciężko napracowały się, by proces amnezji doprowadzić do końca, usuwając wszystkie resztki wspomnień z umysłu Barrenta. Jako standardowe zabezpieczenie przed jakimkolwiek przypadkowym odzyskaniem pamięci wprowadzono mu do poziomów podświadomości logiczną wersję wydarzeń, które doprowadzić miały do popełnienia przezeń morderstwa. Zgodnie z przepisami wersja ta została tak skonstruowana, by wywołać iluzję niezwyklej potęgi Ziemi i ogromnego zasięgu jej oddziaływania. Kiedy praca została zakończona, automatyczny Barrent wymaszerował z centrum, udał się specjalnym ekspresem do doku lądowiskowego statków więziennych, wszedł do swojej celi, zamknął drzwi i zostawił za sobą Ziemię. Następnie zasnął i spał tak długo, aż statek opuścił Punkt Kontrolny, a na jego pokładzie pojawili się strażnicy, którzy obudzili więźniów i zaczęli przygotowywać ich do lądowania na Omedze.

Teraz, patrząc na swoją własną twarz w lustrze, czuł, jak z podświadomości do świadomości przesuwa się ostatnia lekcja wpojona mu w czasie zajęć zamkniętych: Wiedza nabyta w czasie zajęć zamkniętych nigdy nie może dotrzeć do świadomości danej osoby. Gdyby jednak to nastąpiło, organizm ludzki musi dokonać natychmiastowego aktu samounicestwienia.

Teraz zrozumiał, dlaczego podbój Ziemi przyszedł mu z taką łatwością: po prostu niczego nie podbił. Ziemia nie potrzebowała żadnych policyjnych sił bezpieczeństwa, ponieważ policjant i kat tkwił w umyśle każdego jej mieszkańca. Pod powierzchnią spokojnej i łagodnej

ziemskiej cywilizacji ukryta była samonapędzająca się cywilizacja robotów. A za uświadomienie sobie tej prawdy groziła śmierć.

I dopiero tutaj, w tym momencie, rozpoczyna się prawdziwa walka o Ziemię.

Wpojone wzorce zachowań, przemyślnie splecione z podstawowymi naturalnymi popędami, zmusiły Barrenta do uniesienia promiennika i wycelowania go we własną głowę. Przed tym właśnie próbował go ostrzec robotspowiednik, i to właśnie ujrzała w swojej projekcji mutantka. Młodszy Barrent, uwarunkowany na absolutny i bezmyślny konformizm, musiał się zabić.

Starszy Barrent, który poznał życie na Omedze, walczył z tym ślepyim impulsem. Schizofreniczny Barrent walczył przeciwko sobie. Dwie jego części prowadziły bezpardonowy bój o posiadanie broni, o kontrolę nad ciałem, o tytuł własności umysłu.

Rozdział 30

Drgająca lufa promiennika zatrzymała się o centymetry od jego głowy. Muszka zachwiała się. A potem powoli nowy omegański Barrent, Barrent nr 2, odwrócił broń od siebie. Lecz jego zwycięstwo było krótkotrwałe. Już w następnym momencie górę wzięły nauki z zajęć zamkniętych, zmuszając Barrenta nr 2 do ponownej walki z nieprzejednanym i pożądanym śmierci Barrentem nr 1.

Uwarunkowanie zaczęło brać górę i rzuciło walczących Barrentów do przeszłości subiektywnego czasu, do tych przełomowych wydarzeń, kiedy śmierć była blisko, kiedy nic życia doczesnego zaczynała się przecierać, kiedy koniec wydawał się nieunikniony. Uwarunkowanie zmusiło Barrenta nr 2 do ponownego przeżycia tych momentów. Tym razem jednak niebezpieczeństwo nasiliło się

wielokrotnie, wspomagane ze wszystkich sił przez destrukcyjne pół jego osobowości, morderczego donosiciela, Barrenta nr 1.

Barrent nr 2 stanął w rozjarzonych światłach splamionej krwią Areny. W rękę trzymał miecz. Odbywały się omegańskie Igrzyska. Zbliżał się do niego saunus, potężnie opancerzony gad o złośliwej twarzy Barrenta nr 1. Barrent nr 2 odciął potworowi ogon, który natychmiast zmienił się w trzy trichomotredy, stworzenia o twarzach Barrenta, wielkości szczura i usposobieniu rozwścieczonych rosomaków. Zabił dwa z nich, trzeci zaś wyszczerzył zęby i ugryzł go w lewą rękę do kości. Barrent zabił i jego, po czym ujrzał krew Barrenta nr 1 wsiąkającą w mialki piasek...

Trzech obdartych mężczyzn zaśmiewało się z czegoś na ławce, a dziewczyna wręczyła mu niewielki pistolet: — Powodzenia — szepnęła. — Mam nadzieję, że wiesz, jak się z tym obchodzić.

Barrent skinął głową w podziękowaniu i dopiero wtedy zorientował się, że dziewczyną tą nie była Moera. Była nią mutantka, która w czasie projekcji ujrzała jego śmierć. Mimo to wyszedł na ulice i stanął naprzeciw trzech Hadjich.

Dwaj z nich byli nieznajomymi o zamazanych twarzach. Trzeci, Barrent nr 1, wystąpił do przodu i błyskawicznie podniósł pistolet gotowy do strzału. Barrent nr 2 rzucił się na ziemię i nacisnął spust nie znanej mu broni. Poczul, jak zawibrowała w jego rękę i spostrzegł, że głowa i ramiona Hadjiego Barrenta nr 1 czernieją i zaczynają się kruszyć. Nim zdążył wycelować po raz drugi, wyrwany potężną siłą rewolwer wypadł mu z ręki. Spóźniony strzał Barrenta nr 1 utracił mu czubek lufy.

Rozpaczliwie rzucił się za swoją bronią. Turlając się w jej kierunku spostrzegł, że drugi z mężczyzn, teraz także już z twarzą Barrenta nr 1, unosił pistolet i starannie do niego mierzy. Barrent nr 2 poczuł błyskawicę bólu rozdzierającego mu ramię i tak już poszarpane kłami trichomotreda. Udało mu się zastrzelić tego Barrenta nr 1, lecz przez mgłę bólu ujrzał, że i trzeci z mężczyzn stał się nagle Barrentem nr 1. Ramię gwałtownie mu drętwiało, ale zmusił się do naciśnięcia spustu...

Przyjąłeś ich reguły gry, powiedział do siebie Barrent nr 2. Samobójcze uwarunkowanie wykończy cię, zabije. Musisz przez nie przejść, wyrwać się. Przecież to nie dzieje się naprawdę, to jest tylko w twoim umyśle...

Ale nie było czasu na myślenie. Znajdował się w dużej, wysoko sklepionej kamiennej sali w podziemiach Ministerstwa Sprawiedliwości. Miał zostać poddany próbie Ordaliów. W jego stronę toczyła się już połyskująca, czarna maszyna w kształcie półkuli, wysoka na prawie sto dwadzieścia centymetrów. Kiedy zbliżyła się, wśród migających na jej pancerzu czerwonych, zielonych i pomarańczowych światełek dostrzegł zniechęconą twarz Barrenta nr 1.

Teraz jego wróg przybrał formę ostateczną: niezmienną, sztucznej świadomości, równie zakłamaną i wystylizowaną, jak wpajane ludziom wyobrażenia o Ziemi. Maszyna Barrent nr 1 wysunęła pojedynczy, wiotki czulek zakończony migającą plamką białego światła. Podjechała do Barrenta nr 2 i w tym samym momencie czulek zniknął, a na jego miejsce pojawiło się metalowe, przegubowe ramię zakończone ostrzem. Barrent nr 2 uchylił się, słysząc jednocześnie zgrzyt ostrza uderzającego o kamienną ścianę.

To wszystko ci się tylko wydaje, mówił do siebie Barrent nr 2. To nie jest maszyna, a ty nie jesteś na Omedze. Walczysz wyłącznie ze swoją drugą polową; to nic innego, jak tylko zabójcza iluzja.

Ale nie mógł w to uwierzyć. Maszyna Barrent znów na niego nacierała. Tym razem jej metalowa skorupa lśniła odrażającą, zieloną substancją, w której Barrent nr 2 natychmiast rozpoznał truciznę kontaktową. Rzucił się do ucieczki, próbując uniknąć śmiertelnego dotknięcia.

Wcale nie jest śmiertelne, mówił sobie.

Neutralizator splukał metalową powierzchnię, usuwając z niej truciznę. Teraz maszyna próbowała go staranować, a Barrent próbował ją zepchnąć na bok. Zrobił to jednak bez przekonania; maszyna uderzyła w niego z oszalamiającą siłą. Poczul, jak pękają mu żebra.

To nie dzieje się w rzeczywistości! Pozwalasz, żeby uwarunkowany majak zaszczul cię na śmierć! Nie jesteś na Omedze! Jesteś na Ziemi, w swoim własnym domu i patrzysz w lustro!

Ale ból był prawdziwy i uzbrojone w maczugę metalowe ramię czuć było prawdziwie, gdy runęło na jego bark. Barrent zatoczył się do tyłu.

Ogarnęło go przerażenie. Nie przed śmiercią, lecz przed śmiercią zbyt wczesną, zanim zdążyłby ostrzec Omegan przed największym z niebezpieczeństw, tkwiących głęboko w ich własnych umysłach. Nikt inny nie mógł ich ostrzec przed katastrofą, która spadłaby na każdego, kto odkryłby swoje własne wspomnienia z Ziemi. Według tego, co było mu wiadome, żaden człowiek nie zdołał jeszcze przeżyć takiej próby. I jeśli jemu by się to udało, wówczas można by było spróbować zastosować jakieś przeciwśrodki, jakoś przeciwdziałać zakodowanemu uwarunkowaniu.

Podniósł się i wyprostował. Odezwało się w nim poczucie społecznej odpowiedzialności, wpajane mu od dzieciństwa. Nie mógł sobie pozwolić na śmierć w momencie, gdy to, czego się dowiedział, było w stanie uratować Omegę.

To nie jest prawdziwa maszyna.

Raz po raz powtarzał sobie te słowa, podczas gdy maszyna Barrent zatoczyła koło, nabrała prędkości i rzuciła się na niego z przeciwległego końca sali. Zmuszał się, by patrzeć poza nią, by przejrzeć cierpliwe buczenie lekcji w zamkniętej klasie, które stworzyły w jego umyśle tego potwora.

To nie jest prawdziwa maszyna.

Uwierzył.

I rąbnął pięścią w znieawidzoną twarz odbijającą się w polerowanym metalu.

Przeszył go obezwładniający ból, a potem stracił przytomność. Kiedy ją odzyskał, był sam w swoim domu na Ziemi. Bolało go ramię i ręka, miał chyba kilka złamanych żeber. Na lewej dłoni rysował się ślad po ukąszeniu trichomotreda.

Ale pociętą i krwawiącą ręką udało mu się rozbić lustro. Roztrzaskał je wraz z Barrentem nr 1 bez reszty i na zawsze.